



**UUK**

TERRY PRATCHETT

**NOMÓW KSIĘGA WYJŚCIA**

Księga pierwsza  
sagi o nomach



# SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI. . . . .	2
Nomy i czas . . . . .	4
Na początku... . . . .	5
Rozdział pierwszy . . . . .	7
Rozdział drugi . . . . .	22
Rozdział trzeci . . . . .	35
Rozdział czwarty . . . . .	43
Rozdział piąty . . . . .	53
Rozdział szósty . . . . .	58
Rozdział siódmy. . . . .	65
Rozdział ósmy . . . . .	84
Rozdział dziewiąty. . . . .	94
Rozdział dziesiąty . . . . .	101
Rozdział jedenasty . . . . .	110
Rozdział dwunasty . . . . .	113
Rozdział trzynasty . . . . .	127
Rozdział czternasty . . . . .	141

Jeszcze jedna dla Rhianny

## Nomy i czas

Nomy są małe, a generalnie rzecz ujmując, małe istoty nie żyją długo. Za to mogą żyć szybko.

Na przykład: jednym z najkrócej żyjących na Ziemi stworzeń jest pospolita jętka, zwana jednodniówką. Najbardziej zaś długowieczny jest pewien gatunek sosny, którego najstarsi przedstawiciele mają cztery tysiące siedemset lat i nadal rosną.

Może się to wydać niesprawiedliwe dla jętek, ale najważniejsze przecież nie jest to, ile czasu faktycznie się żyje, lecz jak długo to trwa dla przedstawicieli danego gatunku. Dla jętki jedna godzina może trwać równie długo jak stulecie. Ot, choćby stare jętki mogły toczyć długie pogawędki o tym, że życie w tej minucie jest znacznie gorsze, niż to kiedyś było — dajmy na to ze dwie godziny temu. Świat był młodszy, słońce jaśniejsze, a larwy okazywały starszym choć trochę szacunku.

Sosny natomiast, nie słynące z szybkiego refleksu, mogły właśnie zauważyć, jak dziwnie niebo migoce, co pewnie ma związek z podsyhajacymi korzeniami, a być może też z natręctwem korników.

Wszystko, a zwłaszcza czas, jest w pewien sposób względne — im szybciej się żyje, tym czas się bardziej rozciąga. Dla nomów rok trwa tak samo długo, jak dla ludzi dziesięć lat. Należy o tym pamiętać.

I nie należy się tym przejmować.

Nomy się nie przejmują. Prawdę mówiąc, nawet o tym nie wiedzą.



## Na początku...

- I. Na początku było Miejsce.
- II. I przybył tam Arnold Bros (zał. 1905) i dostrzegł, iż ma ono Możliwości.
- III. Jako że znajdowało się przy High Street.
- IV. A także było dogodnie dla Autobusów.
- V. I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Niech stanie się tu Sklep i niechaj będzie to Sklep, jakiego do tej pory Świat nie widział.”
- VI. „Niechaj jego długość będzie od Palmer Street po Fish Market, szerokość zaś od High Street po Disraeli Road.”
- VII. „Zasię jego wysokość niechaj będzie na Pięć Pięter, a także Piwnicę. Niechaj znajdą się w nim Windy, niechaj w Kotłowni płonie Wieczysty Ogień, a ponad wszystkim niechaj się stanie Rachuba Klientów, by Zamawiać Dobra Wszelakie.”
- VIII. „I niechaj wszyscy wiedzą, że Arnold Bros (zał. 1905) to Dobra Wszelakie pod Jednym Dachem. I niechaj nazwany zostanie: Sklep Arnolda Brosa (zał. 1905).”
- IX. I tak się stało.
- X. I podzielił Arnold Bros (zał. 1905) Sklep na Działy, jako to: Towary Żelazne, Gorsety, Moda, Materiały Piśmienne i wiele innych według potrzeb jego. I stworzył mrowie Ludzi, by je zapełnili Dobrami Wszelakimi i dziwowali się wielce: „Zaprawdę Wszelakie Dobra tu są.” I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Niechaj staną się Auta Ciężarowe, a ich barwy niechaj będą Czerwień i Złoto, i niechaj wyjadą, aby wiadomym było, iż Arnold Bros (zał. 1905) dostarcza Dóbr Wszelakich, jednakże jedynie po Umówieniu.”
- XI. „I niechaj się staną Groty Świętego Mikołaja<sup>1</sup>, Wyprzedaje Zimowe, Obniżki Letnie, Znów do Szkoły i inne Okazje w Porach Właściwych.”

---

<sup>1</sup>Przed gwiazdką w dużych sklepach amerykańskich i brytyjskich buduje się groty, w których siedzi Święty Mikołaj z drobnymi upominkami i przyjmuje dzieci. W Polsce dotąd ten obyczaj się nie przyjął, choć w niektórych sklepach (zwłaszcza większych) można spotkać Świętego Mikołaja (przyp. tłum.).

XII. I do Sklepu przybyli nomowie, obierając go na swą Siedzibę po Wieczne Czasy.

*Księga nomów, Piwnice, w. I-XII*

## Rozdział pierwszy

Jest to opowieść o powrocie do domu.

Jest to także opowieść o krytycznej drodze.

I jest to również opowieść o ciężarówce, która z rykiem silnika przejechała przez śpiące miasto, demolując latarnie i wystawy, a gdy już za miastem zatrzymała ją policja, okazało się, że nikt nią nie kierował. Gdy ogłupieni policjanci meldowali o tym przez radio, ciężarówka spokojnie odjechała i zniknęła w mrokach nocy.

Bynajmniej nie jest to koniec opowieści.

Prawdę mówiąc, nie jest to także jej początek.

\* \* \*

Z nieba padało przygnębienie i nuda. Był to ten złośliwy rodzaj mżawki, który moczył znacznie dokuczliwiej i szybciej, niż porządny deszcz padający dużymi kroplami albo inny, przypominający spływające z góry morze, w którym z rzadka występują przerwy.

Krople wystukiwały zwariowany rytm na starych pudełkach po hamburgerach i torebkach po frytkach, które wypełniały drucziany kosz stanowiący chwilową kryjówkę Masklina.

Masklin był mokry, zziębnięty i wybitnie zaniepokojony. I miał dziesięć centymetrów wzrostu.

Kosz z zasady stanowił całkiem dobry teren łowiecki, nawet zimą. Często znaleźć można było kilka frytek — zimnych co prawda, ale za to w torebce. Czasem nie całkiem ogryzioną kość kurczaka, a raz albo dwa nawet szczura. Ostatni szczur wystarczył im na tydzień, choć kłopot polegał na tym, że miało się go naprawdę dość trzeciego dnia. Prawdę mówiąc, to nawet przy trzecim gryzie... ale mimo wszystko był to dobry dzień — ten, w którym spotkał owego szczura.

Masklin ponownie przyjrzał się parkingowi dla ciężarówek.

Dokładnie o czasie zjawiła się ta, na którą czekał, rozpryskując kałuże i zatrzymując się z sykiem. Przez ostatnie cztery tygodnie obserwował jej przybycie każdego ranka we wtorek i czwartek, i sprawdzał, jak długo trwa każdy postój.



Wyszło mu, że trzy minuty, co dla dziesięciocentymetrowego osobnika stanowi równowartość pół godziny.

Ześliznął się po wytłuszczonym papierze, wypadł przez dziurę w dnie kosza i pognął ku zaroślom na skraju parkingu, w których czekała Grimma i starzy.

— Już tu jest! — oznajmił. — Chodźcie!

Podnieśli się, mamrocząc i narzekając; przyglądał się temu ze zniecierpliwieniem, ale po dwóch tuzinach prób doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu ich ponaglać krzykiem. Podniesiony głos powodował jedynie poirytowanie i większe niż zwykle ogłupienie kończące się falą zrzędzeń i narzekań. Narzekali zresztą zawsze i na wszystko — na zimne frytki, mimo że Grimma podgrzewała je nad ogniskiem, na szczury i na ich brak. Poważnie się zastanawiał, czy ich nie zostawić i nie opuścić okolicy samemu, ale nie mógł się na to zdobyć. Prawda była taka, że go potrzebowali.

Choćby po to, by mieć na kogo gderać.

Ale byli tak powolni. . . zamiast jednak ich poganiać, zwrócił się do Grimmy:

— Chodź! Albo podziąła na nich, że oboje odchodzimy, albo trzeba ich będzie popędzać kijem. Sami nigdy się nie ruszą!

— Są przerażeni. — Poklepała go po ramieniu. — Idź przodem, przyprowadzę ich na czas, nie bój się.

Czasu właśnie nie mieli, toteż postanowił nie marnować go na spory.

Biegając przez błotnistą nawierzchnię parkingu, zdjął z ramienia zwój liny zakończonej kotwiczką, której wykonanie zajęło mu tydzień. Na szczęście drut w płocie nie był zbyt gruby. Kilka kolejnych dni spędził na ćwiczeniach, zanim doszedł do jakiejś takiej wprawy, ale za to gdy się zatrzymał przy kole ciężarówki, kotwiczka zataczała już ze świstem kręgi nad jego głową.

Ostrze zaczęło o plandekę przy drugiej próbie. Masklin sprawdził, czy solidnie, i zaczął wspinaczkę, wymacując stopami nierówności opony. Radził sobie całkiem sprawnie, ale przecież robił to już czwarty raz.

Wgramolił się przez szczelinę między burta, a plandeką w wypełniającą wnętrze ciemność i natychmiast przywiązał linkę do jednej z grubych lin mocujących brezent do drewna. Lina była grubości jego ramienia, ale obwiązał ją starannie swoją linką i pospieszył do otworu, przez który dostał się do środka.

Grimma na szczęście zaganiała starych w stronę ciężarówki. Szło jej to nawet nieźle, skoro słyszał już ich narzekania. Tym razem głównie na kałuże. I tak zresztą trzęsło go ze zniecierpliwienia, bo cała operacja zdawała się trwać godzinami. A przecież tłumaczył im milion razy, że konieczny jest pośpiech.

Lecz za młodu nie wdrapywali się na skrzynie ciężarówek i nie bardzo rozumieli, dlaczego mają zacząć to robić na starość. Na przykład Babka Morkie uparła się, żeby wszyscy się odwrócili, kiedy zakasywała spódnice. A stary Torrit tak skamlał, że Masklin musiał go opuścić, by Grimma mogła zawiązać mu oczy.

Gdy wciągnął kilkoro pierwszych, szło już łatwiej, ponieważ byli jakąś pomocą przy windowaniu następnych.

Grimmę podciągnął ostatnią. Była zadziwiająco lekka. Po prawdzie to każdy z nich był lekki. No cóż — nie co dzień trafia się szczur.

Ku swemu szczeremu zaskoczeniu stwierdził nagle, że wszyscy są już na górze, a nie trzasnęły jeszcze drzwi kierowcy, którego powolne, ciężkie kroki słyszał wyraźnie.

— Dobra — odsapnął z ulgą. — Skoro wreszcie jesteśmy w komplecie, to wystarczy, jak. . .

— Upuściłem Rzec! — jęknął nagle stary Torrit. — Rzec! Upuściłem ją przy kole, kiedy ona zawiązywała mi oczy. Zejdz i przynieś ją, chłopcze.

Masklin wytrzeszczył oczy. Najpierw na starego, a potem na dół przez odchyloną plandekę. Rzeczywiście, w dole dostrzegł niewielki, czarny sześcian leżący na ziemi.

Rzec.

Sześcian leżał w samym środku kałuży obok koła, co zresztą było bez znaczenia — woda na niego nie działała, nic innego również nie. Nie można go było nawet spalić.

— Nie ma czasu! — sprzeciwił się, słysząc zbliżające się kroki.

— Nie możemy bez niej odejść! — Grimma niespodziewanie poparła Torrita.

— Naturalnie, że możemy. To tylko przedmiot. Na nic się nam nie przyda tam, dokąd jedziemy! — Wstyd mu się zrobiło, ledwie to powiedział, ale i tak jego reakcja była niczym w porównaniu z reakcjami pozostałych.

Grimma zaniemówiła, a Babka Morkie wyprostowała się niczym drżąca struna.

— Zapominasz się, młodzieńcze! — warknęła. — Tym razem bluźnierstwa ci nie pomogą. Powiedz mu, Torrit!

Ton i szturchnięcie w żebra pobudziły Torrita do kolejnej wypowiedzi:

— Bez Rzeczy nigdzie nie jadę! — oznajmił stanowczo. — Niewłaściwe jest. . .

— Wódz ci to mówi! — przerwała mu Babka Morkie. — Więc zrób, co mówi. Zostawić?! Też coś! To nie byłoby właściwe! Ani uczciwe! Przestań tak stać i gapić się na mnie, tylko złaź i przynieś ją. Natychmiast!

Masklin spojrzął z obrzydzeniem na kałużę i bez protestów przerzucił za burtę linę, po której ześliznął się na dół. Padało mocniej niż przed chwilą, w dodatku do deszczu dołączył śnieg, choć jeszcze nieśmiało. Wiatr przybrał na sile i zdrowo nim potrząsnął, nim minął koło i z chlupotem wylądował w kałuży. Masklin złapał Rzec i usłyszał trzask drzwi kierowcy. . .

Gorączkowo zaczął się wspinać, gdy ciężarówka ożyła.

Najpierw ryknęła; nie był to już dźwięk, lecz solidna ściana hałasu. Potem parsknęła falą smrodu, a w końcu zadygotała, aż zatrzęsa się ziemia.

Masklin krzyknął rozpaczliwie, nie przerywając jednakże wspinaczki, gdy dotarło doń, że nawet on nie słyszy własnego głosu. Ktoś na górze musiał jednak myśleć — najprawdopodobniej była to Grimma, gdyż równocześnie z drgnięciem wielkiego koła lina nagle poderwała się, unosząc go tak szybko, że zaniechał wspinaczki, kurczowo trzymając się sznura.

Niemal bliski ogłuchnięcia, kręcił się i obijał, usiłując równocześnie wmówić sobie, że nie jest przerażony. Wielkie koło obróciło się o centymetry od jego oczu i stwierdził, że nie jest przerażony. To było coś znacznie gorszego.

Poza tym był pewien, że zginie. I to za chwilę. A najgorsza była świadomość, że zginie przez Rzec, czyli przez coś, co się nigdy nikomu na nic nie przydało. Przez bezużyteczne coś, co było zwykłą rzeczą, trafi do nieba. Ciekawe, czy stary Torrit ma rację co do tego, co się dzieje, gdy się umrze?

Wydawało mu się, że to lekka przesada — zginąć, by się o tym przekonać, tym bardziej że od lat wpatrywał się w niebo i nigdy nie zauważył tam żadnego noma. . .

Teraz zresztą i tak nie miało to znaczenia. . .

Czyjeś dłonie złapały go pod ramiona i wciągnęły pod plandekę, a potem z pewnym trudem wyciągnęły mu z zanadru Rzec.

Puste pola za rozpędzającą się ciężarówką przesłoniła entuzjastyczna fala deszczu. Nie tylko na polach nie było już upraw — w całym kraju nie było już nomów.

\* \* \*

W czasach, w których znacznie mniej padało, nomów było dużo — Masklin osobiście pamiętał, że było ich ponad czterdzieścioro. Potem zbudowano autostradę, strumień umieszczono w podziemnych rurach, a najbliższe krzewy wycięto. Nomy zawsze zamieszkiwały rozmaite kąty, a tu nagle okazało się, że na świecie nie ma już żadnych kątów.

Nic więc dziwnego, że liczba nomów zaczęła maleć. Częściowo spowodowane to było przyczynami naturalnymi, a dla dziesięciocentymetrowych osobników to oznacza wszystko, co ma zęby, szybkie nogi i ochotę na polowanie. Częściowo powodem był Pyrrince, który — jako typ najbardziej awanturiczny — poprowadził ekspedycję przez autostradę, by zbadać leżący za nią las. Wyruszyli pewnej nocy i nigdy nie wrócili. Niektórzy utrzymywali, że przyczyną były sokoły, inni, że ciężarówka, a jeszcze inni twierdzili wręcz, że wyprawa dotarła do połowy autostrady i wciąż tkwi na rozdzielającym jezdnię pasie zieleni, nie mogąc ani pójść dalej, ani się cofnąć, odcięta nie kończącymi się sznurami samochodów.

Potem przy drodze wybudowano bistro, co można było uznać za poprawę. Ocena zależała od punktu widzenia. Jeśli ktoś uznaje zimne frytki i pozostałości

po szarych kurczakach za jedzenie, to nagle zrobiło się go wystarczająco dużo dla wszystkich.

W końcu zaczęło się lato i Masklin z pewnym zdziwieniem stwierdził, że pozostało ich zaledwie dziesięcioro, z czego osiem sztuk jest zbyt starych, by przydać się na cokolwiek. Torrit miał prawie dziesięć lat! Było to upiorne lato. Grimma robiła, co mogła, próbując organizować rajdy na kosze na śmieci (z reguły o północy), Masklin zaś usiłował polować.

Samotne polowanie najbardziej przypominało umieranie po kawałku, ponieważ większość tego, na co się poluje, także poluje na myśliwego. A jeśli nawet ma się szczęście i upoluje szczura, to jak go dostarczyć do domu? Ostatnio zabrało mu to dwie doby ciągnięcia za ogon i noc spędzoną na przeganianiu wszystkiego, co także miało ochotę na szczura, ale nie miało ochoty na polowanie.

Dziesięciu silnych myśliwych mogło zrobić wszystko — obrabować ul, napaść myszy, odkopać kreta. Lecz jeden, i to nie mający oczu z tyłu głowy, był w wysokiej trawie po prostu następnym obiadem dla wszystkiego, co miało kły i pazury.

Żeby mieć co jeść, potrzeba wielu silnych myśliwych, ale żeby mieć dużo myśliwych, potrzebna jest okolica, w której można znaleźć dużo jedzenia. I w tym właśnie tkwił problem.

Grimma co prawda twierdziła, że na jesieni się poprawi, gdyż będą grzyby, jagody, orzechy i wszystko. Okazało się, że grzybów nie ma w ogóle, a padało tak, że większość jagód zgniła na krzaczkach, zanim zdążyły dojrzeć. Orzechów za to było dużo, tylko co z tego? Najbliższa leszczyna rosła o pół dnia marszu, a on sam mógł zabrać najwyżej tuzin orzechów, jeśli wpiery wyłuskał je ze skorup i ciągnął w papierowej torbie znalezionej w koszu. Zabierało to w sumie cały dzień i pociągało za sobą ryzyko wypatrzania przez jastrzębie, a dawało w efekcie jedzenie dla wszystkich na jeden dzień. Ledwie.

Na koniec zawaliła się, podmyta przez deszcze, tylna ściana nory. Wtedy to właśnie Masklin zaczął niemal z przyjemnością opuszczać norę: nawet samotne polowania były lepsze od ciągłego zrządzenia, że nie przeprowadza podstawowych napraw. Tym, co przepełniło czarę, czyli wyczerpało definitywnie jego cierpliwość, był ogień. A raczej jego brak.

Ogień był potrzebny tak do gotowania, jak i do odstraszenia różnych stworzeń, zwłaszcza nocnych. Dlatego ognisko rozpalano przy wejściu i zawsze go pilnowano. Tyle że Babka Morkie zasnęła pewnego dnia na warcie i ogień zgasł. Dobrze, że miała choć na tyle przyzwoitości, by się do tego przyznać i przeprosić.

Masklin, gdy wrócił tamtego wieczoru i zobaczył wygasłe ognisko, wbił dźwidę w ziemię i wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo, aż się rozplakał, a potem wyszedł i siedział na zewnątrz. Grimma przyniosła mu skorupę orzecha pełną herbaty pokrzywowej. Zimnej naturalnie.

A potem doszło do następującej wymiany poglądów:

— Bardzo ich to wzburzyło — pierwsza odezwała się Grimma.

— Pewnie, że tak — parsknął. — Słyszałem nawet, jak bardzo, Torrit właśnie zażądał nowego niedopałka, bo mu się tytoń kończy, a reszta ma ochotę na rybę, którą naturalnie też ja powinienem przynieść. No i stałe zrządzenie, że młodzi myślą tylko o sobie, nie to, co za ich czasów. . .

— Tacy już są — westchnęła. — Tylko nie dociera do nich, że gdy byli młodzi, były tu setki nomów.

— Sporo czasu minie, nim znów będziemy mieli ogień. — Masklin bez celu pogrzebał w błocie.

Mieli soczewkę ze znalezionych na parkingu okularów, ale do rozpalenia ognia niezbędny był jeszcze słoneczny dzień.

— Mam tego dość — stwierdził cicho i zdecydowanie. — Zamierzam się stąd wynieść.

— Ależ. . . my cię potrzebujemy.

— Ja też się potrzebuję. To znaczy: co to jest za życie?

— Ale jeśli odejdziesz, oni umrą!

— Oni i tak umrą — zauważył rozsądnie.

— Jesteś okrutny!

— Takie już jest życie, każdy kiedyś umiera. My też. Popatrz na siebie: spędzasz całe dni na myciu, gotowaniu i chodzeniu wokół nich. Masz prawie trzy lata! Najwyższy czas, żebyś miała własne życie.

— Babka Morkie była dla mnie miła, kiedy byłam mała. Poza tym ty też kiedyś będziesz stary.

— Tak? I kto wtedy będzie się o mnie troszczył?

Było to pytanie kończące wymianę poglądów.

Sytuacja denerwowała go coraz bardziej. Był przekonany, iż ma rację, a czuł się tak, jakby jej nie miał. To jedynie pogarszało sprawę.

Myślał o tym od dłuższego czasu i zawsze się złościł, przekonany, że dał się zrobić. Wszyscy sprytni i odważni odeszli dawno temu w ten czy inny sposób. Na pożegnanie mówili mu, że jest porządny chłop i żeby opiekował się starymi, a oni będą z powrotem, nim się obejrzy. Gdy tylko znajdą lepsze miejsce. Za każdym razem ustępował i zostawał, mimo że miał ochotę z nimi iść, i to właśnie najbardziej go denerwowało. Cokolwiek sobie obiecał, i tak zawsze dawał się wmanewrować. Inni odchodzili, a on zostawał ze starymi, przejmując na siebie obowiązek opieki nad nimi.

Zdał sobie sprawę, że Grimma wpatruje się w niego niezbyt przychylnie.

Wzruszył ramionami, zrezygnowany.

— Już dobrze, dobrze, mogą iść z nami — burknął.

— Wiesz, że nigdzie nie pójda, są za starzy. Tu się urodzili i wyrosli, tu zawsze żyli i tu im się podoba.

— Im się podoba, dopóki jesteśmy w pobliżu, by się o nich troszczyć — poprawił ją.

Na tym dyskusja się skończyła.

Na kolację były orzechy. Masklin znalazł w swoim wkładkę mięsną, czyli robaka. Potem poszedł na wzgórze, siadł, podpierając brodę dłońmi, i obserwował autostradę, przypominającą strumień białych i czerwonych świateł. Światła należały do pudeł na kołach, w których siedzieli ludzie spieszący w jakichś tajemniczych interesach. Ludzie zawsze za czymś gonią, cokolwiek to jest.

Gotów był się założyć, że nie jadają szczurów. Ludzie w sumie mają dobrze — są duzi i powolni, ale nie muszą żyć w wilgotnych norach, czekając, aż jakaś tępa, stara baba zapomni dołożyć do ognia. Piją ciepłą herbatę i wyrzucają orzechy z wkładką mięsną. Jeżdżą, dokąd chcą, i robią, co chcą, a to dlatego, że cały świat należy do nich.

I całą noc jeżdżą w tę i z powrotem: czyżby nigdy nie sypiali? Muszą ich być całe setki.

Od dawna śnił, że odjedzie stąd ciężarówką — jedną z tych, które często zatrzymywały się przy bistro. Łatwo by było znaleźć się w którejś z nich; no, powiedzmy, w miarę łatwo.

Wszystkie były lśniące i czyste — musiały pochodzić z lepszego miejsca niż to. Alternatywy w sumie nie było — w żaden sposób nie można liczyć na to, że przetrzymają tu zimę, a o wędrowce piechotą przez zaśnieżone pola nawet nie ma co marzyć.

Dotąd kończyło się naturalnie na marzeniach, jak zwykle w całym jego życiu. Można było tylko śnić o tych migających światłach... albo o gwiazdach widocznych na niebie. Torrit gadał zawsze, że gwiazdy są bardzo ważne, z czym Masklin prywatnie nie bardzo się zgadzał. Bo tak: zjeść się ich nie dało, nawet dobrze nie świeciły i mało co było widać bez księżycy. Jak się tak głębiej zastanowić, gwiazdy były właściwie bezużyteczne...

Ktoś krzyknął.

Masklin był na nogach i w biegu, zanim zdał sobie w pełni sprawę z tego, co robi i dokąd zmierza. A zmierzał ku wejściu do nory.

Wejście było w całości zablokowane przez łeb lisa, którego reszta znajdowała się na zewnątrz i machała radośnie ogonem. Masklin rozpoznał go natychmiast — miał już z nim kilka bliskich spotkań.

Gdzieś w głowie Masklina jego część, o której stary Torrit mawiał, że to prawdziwy Masklin, z przerażeniem obserwowała, jak jego ręka łapie dzidę wbitą w ziemię przed norą i z całych sił dźga lisa w tylną łapę.

Z nory doszedł stłumiony skowyt i po chwili łeb dołączył do reszty lisa, parą błyszczących ślepi przyglądając się napastnikowi, który odskoczył, nie wypuszczając broni z rąk. Był to jeden z tych momentów, gdy czas zwalnia, a wszystko wygląda znacznie bardziej realnie. Może kiedy się wie, że się umiera, zmysły pa-

kują do głowy, ile tylko zdołają szczegółów, korzystając z tego, że jeszcze mają okazję...

Ślepią lisa były żółte i złe, a pysk umazany we krwi... Masklin poczuł wściekłość rosnącą w nim niby gigantyczny bąbel. Nie przepadał za starymi, ale to nie powód, by takie coś mogło sobie z nich robić przekąskę. Widząc czerwony jęzor zlizujący krew z pyska, Masklin zrozumiał, że ma tylko dwie możliwości — uciec lub zginąć.

Dlatego też zaatakował. Celnie rzucona włócznia trafiła lisa prosto w pysk, wbijając się w wargę, a nim zaskoczony drapieżnik skończył skomleć, próbując się jej pozbyć, Masklin dopadł jego boku, skoczył i wdrapał się po rudym futrze na lisi grzbiet, siadł mu okrakiem na karku i kamiennym nożem zaczął dźgać tak energicznie, jakby próbował odpłacić za całe zło tego świata...

Lis zaskomlał i odskoczył. Gdyby Masklin był zdolny do logicznego myślenia, zrozumiałby, że nożem może jedynie wkurzyć zwierzę. Lis natomiast nie był przyzwyczajony do odgryzających się zaciekle przekąsek, toteż zrezygnował z jedzenia i podał tyły. Naturalnie rzucił się prosto przed siebie, a że stał akurat zwrócony ku autostradzie, pognął ku rzece światła.

Pęd i gwizd wiatru w uszach otrzeźwiły nieco Masklina, dzięki czemu ponownie zaczął myśleć. Słyszając coraz głośniejszy hałas ciężarówek, skoczył w wysoką trawę, tuż przed tym jak lis wypadł na asfalt. Ciężko wylądował, przetoczył się po trawie i stracił oddech. Ale nie stracił zdolności obserwacji, a to, co zobaczył, naprawdę na długo zapadło mu w pamięć. Sam był zdziwiony, bowiem zobaczył potem tyle dziwów, że na nic więcej nie powinno mu starczyć miejsca w pamięci.

Otóż lis wpadł na asfalt i zamarł, oświetlony lampami najbliższej ciężarówki, a potem spróbował warknąć głośniej niż ona. W następnej sekundzie doszło do spotkania nieruchomego drapieżnika z dziesięcioma tonami metalu poruszającego się z prędkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę.

Coś łupnęło, pisnęło i zniknęło.

Masklin leżał przez długą chwilę, wtulając twarz w mokrą trawę i wysilając wyobraźnię. Gdy uznał, że wyobraził sobie wystarczająco makabryczne rzeczy, wstał i ruszył ku norze.

Przy wejściu czekała Grimma, trzymając pałkę z gałęzi, którą omal go nie zdzieliła, gdy wytoczył się z ciemności. Delikatnie, acz stanowczo odsunął zniechęconia w pobliżu ucha broń i spojrzał pytająco na Grimmę.

— Nie wiedzieliśmy, co się z tobą stało. — Słysząc było, że tylko mały krok dzieli ją od hysterii. — Usłyszeliśmy hałas i tam, gdzie ty powinieneś być, był lis i dostał Merta i Cooma, i zaczął kopać... — Zamilkła i jakby zapadła się w siebie.

— Serdeczne dzięki za troskę — odparł chłodno. — Tak, jestem cały. Miło, że pytasz.

— Co... co się stało?



Zignorował ją, wszedł do ciemnego wnętrza i położył się po omacku. Słyszał szepty pozostałych, skulonych w ciemnościach, i doskonale wiedział, o czym szepczą.

O tym, że powinien tu wtedy być.

Bo oni naprawdę są od niego zależni.

I dlatego muszą jechać razem z nim. Wszyscy.

\* \* \*

Wtedy wyglądało to na doskonały pomysł.

Teraz wyglądało to troszkę inaczej.

Teraz wszyscy siedzieli skuleni w kącie ogromnej, ciemnej ciężarówki. Byli cicho, bo na żaden hałas nie było miejsca — ryk silnika szczelnie wypełniał całe wnętrze. Czasami przygasał, ale jedynie po to, by wybuchnąć z nową siłą. Chwilami całą ciężarówką szarpało i rzucało.

Grimma przeczołgała się po dygoczącej podłodze do siedzącego przy burcie Masklina.

— Jak długo potrwa, zanim tam dojedziemy? — spytała.

— Gdzie „tam”?

— Tam, dokąd jedziemy. Gdziekolwiek to jest.

— Pojęcia nie mam.

— Widzisz, oni są głodni.

Nie było to nic nowego czy zaskakującego — zawsze byli głodni. Masklin spozjrzał w stronę skulonych starych: jeden czy dwoje obserwowało go wyczekująco.

— Nic na to nie poradzę — odparł zrezygowany. — Też jestem głodny, ale sama widzisz, że tu nic nie ma. Ani do jedzenia, ani w ogóle.

— Babka Morkie robi się bardzo nerwowa, gdy nie dostaje posiłku na czas — dodała Grimma.

Masklin spozjrzał na nią pustym wzrokiem, po czym przeczołgał się do skulonej grupy i siadł między Torritem, a starą zrzędą. Uświadomił sobie, że tak naprawdę nigdy z nimi nie rozmawiał. Gdy był mały, oni byli olbrzymami, którzy go nie interesowali; potem był łowcą przebywającym z innymi myśliwymi, a tego roku albo szukał pożywienia, albo spał jak zabity. Wiedział, dlaczego Torrit jest wodzem — był najstarszy, a najstarszy nom był zawsze przywódcą i co do tego nigdy nie było żadnej wątpliwości. Podobnie jak co do tego, że musi to być nom płci męskiej, i nawet Babka Morkie wiedziała, że nie do pomyślenia jest, aby było inaczej. Ogólnie było to nieco dziwne, gdyż akceptując tę tradycję, i tak traktowała Torrita jak idiotę, a on nie podjął żadnej decyzji, nie patrząc na nią choćby kątem oka. Masklin westchnął ciężko i wlepił wzrok we własne kolana.

— Posłuchajcie, nie wiem jak długo...

— Nie martw się o nas, chłopcze — odparła Babka Morkie zadziwiająco niskim głosem. — To wszystko jest raczej podniecające, nie sądzisz?

— Ale może zająć wieki. Nie wiem, ile to potrwa. To był w sumie zwariowany pomysł... — Masklin urwał, czując kościsty palec między zębami.

— Młodzińcze, przeżyłam Wielką Zimę tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku, a była straszna. Nie powiesz mi nic nowego o głodzie. Grimma to dobra dziewczyna, ale za bardzo się zamartwia.

— Przepraszam, ale ja nawet nie wiem, dokąd jedziemy! — nie wytrzymał Masklin.

Torrit, trzymający na kolanach Rzec, przyjrzał mu się krytycznie oczkami krótkowidza.

— Mamy Rzec — oznajmił niespodziewanie. — Ona pokaże nam drogę. Pokaże.

Masklin ponuro kiwnął głową. Zabawne, skąd Torrit zawsze wiedział, czego chce Rzec. Zwyczajny czarny sześcian miał całkiem konkretne poglądy na ważność regularnych posiłków albo na to, że należy słuchać starszych. Zdawał się mieć odpowiedź albo radę na wszystko.

— A dokąd nas zaprowadzi ta droga? — spytał Masklin, starając się, by nie brzmiało to złośliwie.

— Doskonale wiesz. Do niebios.

— A, tak — mruknął zrezygnowany, podejrzliwie przyglądając się Rzeczy.

Był prawie pewien, że nic nie mówiła Torritowi. Nic w ogóle. Miał naprawdę dobry słuch, a nigdy nie zdarzyło mu się słyszeć, by choć szeptała cokolwiek. Ani nic nie mówiła, ani się nie ruszała, ani w ogóle nic nie robiła. Jedyne, co robiła przez cały czas, to wyglądała czarno i sześcinnie. W tym była naprawdę dobra.

— Tylko ściśle wypełniając polecenia Rzeczy, możemy być pewni, że trafimy do niebios — oznajmił niepewnie Torrit, zupełnie jakby ten tekst słyszał dawno temu, ale wciąż nie do końca go rozumiał.

— No dobra — zgodził się Masklin i wstał.

Tym razem do burty przeszedł, co było sporym wyczynem, jako że podłoga wyczyniała dzikie harce. Zebrał się na odwagę, wysunął głowę spod plandeki i rozejrzał się.

Na zewnątrz nie było nic poza rozmazanymi kształtami i światłami oraz dziwnymi woniami. Wszystko szło nie tak, jak powinno, a tydzień temu wydawało mu się takie sensowne i logiczne. Wszystko wydawało się lepsze od pozostania tam, gdzie byli dotychczas. Starzy zrzędzili i jęczeli praktycznie przy każdej okazji, kiedy im się coś nie podobało, za to teraz, gdy wszystko zaczęło wyglądać naprawdę źle, stali się niemal radośni. Wychodziło na to, że są znacznie bardziej skomplikowani, niż wyglądają. Może Rzec byłaby w stanie to wyjaśnić, gdyby się wiedziało, jak zapytać.

Ciężarówka nagle skręciła, wjechała w dół, w ciemność, i niespodziewanie stanęła. Zupełnie bez ostrzeżenia Masklin znalazł się w dużej, oświetlonej przestrzeni pełnej ciężarówek i, co gorsza, pełnej ludzi. . .

Cofnął czym prędzej głowę i pospieszył ku Torritowi.

— Hm. . . — zagał niepewnie.

— Tak, chłopcze?

— Niebios. Ludzie też tam trafiają?

— Niebios jest wiele, ale do tych niebios trafiamy tylko my.

— Jesteś tego absolutnie pewien?

— Absolutnie. — Torrit uśmiechnął się. — Naturalnie ludzie mogą mieć swoje własne, o których nic nie wiemy. Ale w naszych niebiosach ich nie ma. Możesz być tego pewien.

— Aha.

Torrit przyjrzał się Rzeczy.

— Zatrzymaliśmy się — stwierdził. — Gdzie jesteśmy?

Masklin spojrzał niepewnie w stronę brezentu.

— Myślę, że lepiej będzie, jak się dowiem — zgłosił się na ochotnika.

Na zewnątrz coś zagwizdało, huk ludzkich głosów stopniowo ucichł i światło zgasło. Coś przesunęło się ze zgrzytem i łoskotem, potem szczęknęło metalicznie i zapadła cisza.

\* \* \*

Po chwili od strony jednej z ciężarówek dobiegło ciche chrobotanie. Spod jej plandeki wysunęła się linka grubości nitki i wysuwała się tak długo, aż dotknęła tłustej podłogi garażu. Minęła minuta całkowitej ciszy i bezruchu.

Potem powoli i ostrożnie po linie opuściła się niewielka, krępa postać i stanęła na podłodze. Kilka sekund stała nieruchomo, wodząc jedynie oczami.

Postać wprawdzie była humanoidalna: miała odpowiednią liczbę rąk i nóg oraz innych elementów, jak oczy czy uszy, wszystko także znajdowało się na właściwym miejscu. Ale — odziana w mysie skóry — przemykała się po zacienionej podłodze, kształtem przypominając cegłę. Normalny nom zbudowany był tak, że zawodnik sumo wyglądał przy nim jak na wpół zagłodzona ofiara, a jego sposób poruszania się sugerował, że jest wytrzymalszy od wojskowych butów.

Prawdę mówiąc, Masklin był tak przerażony jak nigdy. Wokół nie było niczego, co mógłby rozpoznać albo co choćby wyglądało znajomo, jeśli nie liczyć zapachu <i>wo</i>, który — jak się przekonał — nieodłącznie towarzyszył ludziom, a zwłaszcza ciężarówkom (Torrit twierdził, że jest to płonąca woda, którą piją ciężarówki, co ostatecznie przekonało Masklina, że stary stracił resztki zdrowego rozsądku, jako że woda się przecież nie pali).

Nic tu w ogóle nie miało sensu. Wokół stały wysokie puszki i inne wielkie kawały metalu, co sugerowało, że znalazł się w ludzkich niebiosach. Ludzie uwielbiali metal, zwłaszcza taki, z którego coś zrobiono.

Ostrożnie ominął rozdeptany niedopałek, zapamiętując, gdzie leży, by w drodze powrotnej zabrać go dla Torrita.

Wszędzie wokół stały ciężarówki — ciche i ciemne. Masklin uznał, że jest to gniazdo ciężarówek. A to z kolei sugerowało, iż jedynym pożywieniem w okolicy będzie najprawdopodobniej pożywienie ciężarówek.

Odprężył się nieco i postanowił spenetrować mrok pod ławką, która górowała przy ścianie niczym dom. Leżały tam jakieś pogniecione papiery i coś znajomo pachniało... Zapach doprowadził go do całkiem sporego ogryzka jabłka, które ledwie zaczynało brązowieć. Było to całkiem niezłe znalezisko, toteż zarzucił je sobie na ramię i odwrócił się, chcąc wracać.

I znieruchomiał.

Dostrzegł bowiem przyglądającego mu się z namysłem szczura. I to większego niż te, z którymi walczył w koszu na śmieci. Zwierzę opadło na cztery łapy i ruszyło ku niemu niespiesznie. Masklin prawie się uśmiechnął — wreszcie coś znajomego: co to szczur i jak z nim postępować, wiedział doskonale i nie miało najmniejszego znaczenia, w jakich warunkach dochodzi do spotkania. Puścił ogryzek, zmienił uchwyt na drzewcu dzidy i powoli wymierzył grot dokładnie między oczy szczura...

Równocześnie wydarzyły się dwie rzeczy.

Zauważył, że szczur ma wąską, czerwoną obrozę, i usłyszał czyjś głos:

— Stop! Za długo go tresowałem! Na Raj Przecen, skąd ty się wzięłeś?!

Pytający wyszedł z cienia i Masklina zamurowało.

Obcy bowiem był nomem. Przynajmniej Masklin zmuszony był tak założyć, skoro wyglądał i poruszał się jak nom.

Tylko to ubranie...

Podstawowym kolorem stroju praktycznego noma, nie żywiącego skłonności samobójczych, zawsze był błotnisty. Tak nakazywał zdrowy rozsądek. Grima znała z pół setki sposobów uzyskiwania barwników z rozmaitych roślin, ale wszystkie dawały kolor będący, jeśli się dobrze przypatrzeć, w zasadzie odmianą błotnistej. Czasem był to żółtobłotny, czasem brązowobłotny, a czasem nawet zielonkawobury, ale błotnisty dominował. Powód był prosty: jakkolwiek nom paradujący po świecie w jaskrawej czerwieni czy intensywnym błękitcie miał przed sobą mniej więcej (z naciskiem na mniej) pół godziny życia, nim przytrafiło mu się coś trawienno, czyli mówiąc krótko, nim stał się czymś posiłkiem.

Ten zaś nom wyglądał niczym tęcza, a jego różnobarwne ubranie zrobione było z tak doskonałego materiału jak opakowania po czekoladkach. Pas nabijany miał kawałkami szkła, a na nogach wysokie buty z prawdziwej skóry. Na dokładkę

nosił kapelusz z piórkami, a gdy mówił, uderzał się po udzie smyczą, na której — co Masklin dostrzegł dopiero teraz — trzymał szczura.

— No?! — zirytował się nieco nom. — Odpowiedz mi!

— Przyjechałem ciężarówką — odparł krótko Masklin, nie spuszczać wzroku ze szczura.

Ten przestał się iskać za uchem, przyjrzał mu się niezbyt życzliwie i schował się za swoim panem.

— Ale co tu robisz? Odpowiadaj!

Masklin wyprostował się.

— Podróżujemy — odparł jeszcze zwięźle.

Kolorowy nom wytrzeszczył na niego oczy.

— Co to znaczy „podróżujemy”? — spytał po chwili.

— Przenosić się z miejsca na miejsce. No, przybyć z jednego, a udawać się do innego.

Oświadczenie wywarło dziwne wrażenie na kolorowym: nie żeby od ręki zrobił się uprzejmy, ale przynajmniej przestał być niemiły.

— Chcesz mi powiedzieć, że przybyłeś z zewnątrz?!

— Właśnie.

— Ależ to niemożliwe!

— Naprawdę? — Masklin lekko się zaniepokoił.

— Zewnątrz nie ma!

— Naprawdę? Przykro mi, ale stamtąd właśnie przybywamy. Sprawia ci to jakiś kłopot?

— Ty naprawdę masz na myśli Zewnątrz? — spytał nom, przysuwając się bliżej.

— Chyba naprawdę. Nigdy się właściwie nad tym nie zastanawialiśmy. Co to za mie...

— Jakie ono jest?

— Co?!

— Zewnątrz. Jakie ono jest?

Pytanie zaskoczyło Masklina.

— No... — odparł po namyśle. — Duże...

— I?

— No... i jest go tam naprawdę dużo...

— Tak?

— No i... jest tam cała masa różnych rzeczy...

— Czy to prawda, że sufit jest tak wysoko, że go nie widać? — Kolorowy nom najwyraźniej nie potrafił opanować podniecenia.

— Nie wiem — przyznał Masklin. — Co to „sufit”?

— To — odparł kolorowy nom, wskazując na ledwie widoczną w górze plątaninę cieni i wsporników.

— Aha. . . niczego podobnego nie widziałem — poinformował go Masklin. — Zewnątrz jest niebieskie albo szare i czasami latają tam takie małe, białe.

— I. . . i ściany są tak daleko, i na podłodze leży taki zielony dywan, co rośnie? — Kolorowy nom zaczął podskakiwać z przejęcia.

— Nie wiem. — Masklin był jeszcze bardziej wyglupiony. — Co to „dywan”?

— Uch! — Kolorowy nom najwyraźniej jakoś się opanował i wyciągnął drżącą dłoń. — Nazywam się Angalo. Angalo de Pasmanterii, ale to ci naturalnie nic nie mówi. A to jest Bobo.

Szczur wyglądał, jakby się uśmiechał, a Masklin zaczął dochodzić do wniosku, że zdziwienie może nie mieć granic. Poza tym nigdy nie słyszał, by szczura nazywano inaczej niż „obiadem”.

— Jestem Masklin — przedstawił się. — Nie masz nic przeciwko temu, żeby reszta do nas dołączyła? To była naprawdę długa podróż,

— Jasne! To was jest więcej? I wszyscy z zewnątrz?! Ojciec mi nigdy nie uwierzy.

— Przepraszam, ale nie rozumiem. Co w tym takiego niezwykłego? Byliśmy na zewnątrz, teraz jesteśmy wewnątrz.

Tymczasem doszli do ciężarówki i na sygnał Masklina pozostali powoli zaczęli się opuszczać po linie.

— Starsi! — zdumiał się Angalo. — I wyglądają zupełnie jak my! I nawet nie mają spiczastych głów!

— Impertynent! — warknęła Babka Morkie i Angalo przestał się cieszyć.

— Madame, czy wie pani, do kogo mówi? — spytał lodowato.

— Do kogoś, kto nie jest wystarczająco stary, by nie przydało mu się lanie — odparła ze znanstwem. — Gdybym wyglądała tak jak ty, chłopcze, wyglądałabym na pewno o wiele lepiej. Spiczaste głowy, też coś!

Angalo bezgłośnie otworzył usta, po czym tak samo je zamknął.

— Zdziwiająca! — przyznał. — Dorcas uważał, że nawet jeśli życie na zewnątrz Sklepu jest możliwe, nie może to być życie, jakie znamy! Proszę za mną, wskażę drogę.

I pognął ku ścianie.

Pozostali wymienili znaczące spojrzenia, ale podążyli za nim. Gniazdo ciężarówek nie było miejscem zachęcającym do dłuższego pobytu.

— Pamiętam, jak twój ojciec kiedyś był za długo na słońcu i potem wygadywał rozmaite bzdury. Zupełnie jak ten tu — oceniła cicho Babka Morkie.

Wyglądało na to, że Torrit dochodzi do jakiegoś wniosku, co zawsze długo trwało, ale wszyscy zdążyli się do tego przyzwyczaić, toteż czekali w uprzejmej ciszy.

— Uważam — oświadczył wreszcie — uważam, że powinniśmy zjeść jego szczura.

— Och, zamknij się lepiej — skomentowała automatycznie Babka Morkie.

— Jestem wodzem... jestem? — upewnił się Torrit.  
— Oczywiście, że jesteś! — warknęła Babka. — Kto mówi, że nie jesteś?  
Nigdy nie powiedziałam, że nie jesteś wodzem! Jesteś wodzem.  
— Właśnie. — Torrit przestał jęczeć.  
— A teraz się zamknij — zakończyła.  
Masklin stuknął Angala w ramię i spytał uprzejmie:  
— Co to za miejsce?  
Angalo zatrzymał się przy ścianie i spojrzał na niego zdziwiony.  
— Nie wiecie?!  
— Jakbyśmy wiedzieli, to byśmy nie pytali, prawda? Po prostu myśleliśmy, że dobrze byłoby znaleźć się tam, dokąd udają się ciężarówki — odparła z godnością Grimma.  
— No, i mieliście rację. — Angalo nadał się dumnie. — To najlepsze miejsce, w którym można być. To Sklep!



## Rozdział drugi

XIII. I nie było w Sklepie Nocy ni Dnia, jeno Otwarcie a Zamknięcie. Takoz nie padał tam Deszcz ni Śnieg.

XIV. Namowie zasię obrastali tłuszczem i mnożyli się. Po latach zaczęły się Rywalizacje Działu z Działem i zapomnieli byli wszystko o Zewnątrz.

XV. Powiadali bowiem: „Azaliż Arnold Bros (zał. 1905) nie stworzył Dóbr Wszelakich pod Jednym Dachem?”

XVI. A ci, co mówili: „Być może nie Wszelakie Dobra”, byli wyśmiewani i wyszydzani.

XVII. Inni zasię mówili: „Nawet jeśli istnieje Zewnątrz, cóż takiego może tam być, czego byśmy potrzebowali? Mamy Elektrykę, takoz Emporium z Przy-smakami, jako i Inne Rozrywki.”

XVIII. I tak mijały lata miększe i wygodniejsze niżli poduszki w Wyścięta-nych Meblach (3 p.).

XIX. Aż przybył z daleka Obcy i zakrzyknął wielkim głosem: „Biada wam!”

*Księga nomów, Piętro Pierwsze, w. XIII-XIX*

Co chwila potykali się i wpadali na siebie, szli bowiem praktycznie cały czas, rozglądając się wokół i zerkając w górę, a często także z otwartymi z wrażenia ustami. Angalo doprowadził ich do dziury w ścianie i gestem zaprosił do środka.

Babka Morkie pociągnęła nosem, stanęła i stwierdziła oskarżycielsko:

— To szczurza nora! Co ty sobie myślisz, podrostku?! Torrit, on chce, żebyśmy weszli do szczurzej nory! Ani mi się śni tam wchodzić!

— A dlaczego? — zdziwił się Angalo.

— Bo to szczurza nora!

— A właśnie, że nie: to zamaskowane wejście, które tylko wygląda jak szczurza nora.

— Twój szczur właśnie tam wlaź, to jest szczurza nora! — odparła z tryumfem Babka Morkie, co ostatecznie pozbawiło przewodnika daru wymowy: spoj-rzał błagalnie na Grimme i podążył w ślad za swoim szczurem.

— Nie sądzę, żeby to była szczurza nora — powiedziała Grimma nieco stłu-mionym głosem, bo właśnie wsadziła tam głowę.

- A można wiedzieć, dlaczego tak nie sądzisz?  
— Bo w środku są schody. I małe lampki.

\* \* \*

To była długa wspinaczka i kilkakrotnie musieli robić przerwy, by starsi mogli odpocząć. Torritowi i tak trzeba było pomagać. Na górze schody kończyły się prawie normalnie wyglądającymi drzwiami, a za drzwiami...

Nawet w młodości Masklin nie widział nigdy więcej niż pół setki nomów naraz.

Tu było ich znacznie więcej.

A w dodatku było tu jedzenie.

Co prawda nie wyglądało znajomo, ale obecni je jedli, nie mogło więc być niczym innym.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli, miało wysokość ponad dwóch roślących nomów i ciągnęło się prawie w nieskończoność, a jedzenie poustawiano w zgrabne stosy, między którymi prowadziły proste i czyste przejścia. Pełne nomów wszelkich rozmiarów i w każdym wieku. No i obojga płci, ma się rozumieć. Tak więc nikt z obecnych nie zwrócił uwagi na ciasno zbitą gromadkę wędrującą cicho za Angalem, który jakby zyskał na pewności siebie.

Nie tylko Angalo prowadził szczura na smyczy, choć jego Bobo był najokazalszy. Niektóre co elegantsze damy prowadziły także na smyczkach myszy. Nie spotkało się to z aprobatą Babki Morkie, ale starała się ją wyrażać nader cicho (Masklin słyszał ją ledwie kątem ucha). Za to Torrita słyszeć było całym uchem, a nawet obydwoma:

— To znam! — ucieszył się nagle. — To się nazywa ser! W koszu była raz kanapka z serem w lecie osiemdziesiątego czwartego, pamiętasz...?

Pytanie mogło być skierowane jedynie do Babki Morkie i od niej też dostał odpowiedź popartą kościstym kuksańcem w żebra:

— Zamknij się! Nie rób z nas pośmiewiska i to w takim tłumie. Jesteś wodzem, to zachowuj się jak wódz! Bądź dumny!

Nie byli w tym dobrzy. Doskonale natomiast wychodziło im wędrowanie w oszałamiającej ciszy. Owoce i warzywa, które właśnie mijali, sprawnie rozdzielano na kawałki na długich stołach, a wszędzie pełno było produktów, których nikt z ich grupy nawet nie próbował zidentyfikować.

Masklin z początku także nie chciał okazywać ignorancji, ale w końcu ciekawość zwyciężyła.

— Co to takiego? — spytał Angala, ciągnąc go za rękaw i wskazując dzidą.

— Salami. Jadłeś kiedyś?

— Ostatnio na pewno nie — przyznał zgodnie z prawdą Masklin.

— Tu są daktyle, banany — rozgadał się Angalo. — Pewnie nigdy dotąd nie widzieliście banana, co?

Tym razem Babka Morkie była szybsza.

— Jakiś niewyrośnięty ten tu — sarknęła. — Całkiem mały, prawdę mówiąc, w porównaniu z tymi, które znamy.

— Doprawdy? — zdziwił się nie całkiem przekonany Angalo.

— Doprawdy. — Babka Morkie zaczynała się rozgrzewać. — O, ten tu jest całkiem mały, w domu to ledwie mogliśmy takiego wszyscy wykopać z ziemi.

Wymiana zdań dotyczyła banana rozmiarów średniej łódki. Angalo spróbował spiorunować Babkę wzrokiem, ale ta sztuka nigdy i nikomu się jeszcze nie udała, toteż się poddał.

— A, co tam — bąknął, odwracając wzrok. — Częstujcie się, czym chcecie, a jak będą pytać, to mówcie, że wszystko idzie na rachunek de Pasmanterii, tylko nie mówcie, że jesteście z zewnątrz. Chcę, żeby to była niespodzianka.

Zanim skończył, pozostał przy nim jedynie Masklin, reszta zniknęła. Wyłącznie Babka Morkie oddaliła się dystyngowanie (acz błyskawicznie) i ze zdziwieniem stwierdziła, że drogę zagroził jej placek.

Masklin, nie zważając na protesty żołądka, pozostał. Nie był pewien, czy kiedykolwiek zrozumie, jakie mechanizmy rządzą życiem w tym całym Sklepie, miał natomiast niepodważalną pewność, że jeśli nie stawi im się czoła od razu, to skończy się na robieniu rzeczy, z których nie będzie się zadowolonym.

— Nie jesteś głodny? — zdziwił się Angalo.

— Jestem, tylko nie jem. Skąd jest to całe jedzenie?

— Och, zabieramy je ludziom. Są raczej głupi, jak byś nie wiedział.

— A oni co na to?

— Myślą, że to szczury. Żeby ich w tym utwierdzić, rozkładamy w Emporium z Przymakami szczurze odchody, a raczej rody z Emporium to robią. A ludzie myślą, że to szczury.

Masklin zmarszczył brwi w wyraźnym wysiłku myślowym.

— Odchody? — spytał w końcu.

— No, wiesz... gówna.

— Aha — ucieszył się Masklin. — I to wystarcza, żeby uwierzyli?

— Mówiłem ci, że ludzie są raczej głupi — przypomniał mu Angalo i dodał: — Muszę cię przedstawić ojcu. Naturalnie, przyłączycie się do de Pasmanterii.

Masklin rozejrzał się, wyławiając z tłumu członków swego szczepu. Torrit koncentrował całą uwagę na kawale sera wielkości własnej głowy, Babka Morkie natomiast oglądała banana, jakby groził wybuchem. Reszta zachowywała się podobnie — nawet Grimma nie zwracała na niego żadnej uwagi.

Pierwszy raz w życiu poczuł się zagubiony. Był dobry w śledzeniu szczura po polach i uśmiercaniu go jednym rzutem dzidy, a potem przyciąganiu go do domu.

Zdawał sobie z tego sprawę nawet bez pochwał, których mu przy takich okazjach i tak nie szczędzono. Coś mu jednak mówiło, że banana nie trzeba śledzić.

— Twojemu ojcu? — spytał ostrożnie.

— Książę de Pasmantarii. — W głosie Angala brzmiała duma. — Obrońca Półpiętrza i Autokrata Stołówki dla Personelu.

— On jest w trzech osobach? — upewnił się Masklin.

— To jego tytuły, to znaczy część z nich. Jest prawie najpotężniejszym nomem w całym Sklepie. Tam, na zewnątrz, macie takie rzeczy jak ojcowie?

Masklin opanował się z pewnym trudem — Angalo był bezczelnym gówniarzem, wyjąwszy te momenty, gdy mówił o świecie poza Sklepem, bo wówczas przypominał małego chłopca pełnego marzeń.

— Miałem kiedyś jednego — odparł zwięźle, nie chcąc się nad tym rozwodzić.

— Założę się, że miałeś całą masę przygód!

Masklin przypomniał sobie część z tego, co mu się ostatnio przytrafiło, a raczej co mu się prawie przytrafiło, dokładniej rzecz ujmując, i westchnął.

— Miałem.

— I założę się, że były przyjemne.

Masklin już prawie nie pamiętał, co znaczy „przyjemny”. Ganiał po mokrych wykrotach, gdy goniło go coś z ostrymi zębami, definitywnie nie określał tym mianem.

— Polujecie? — spytał.

— Czasami. Na szczury w kotłowni. Nie możemy pozwolić, żeby się za bardzo rozmnożyły — odparł Angalo, drapiąc Boba za uchem.

— Zjadacie je?

Angalo wyglądał na zszokowanego.

— Po co mielibyśmy je jeść? — wykrztusił w końcu.

— Fakt. — Masklin rozejrzał się po otaczających go górach jedzenia. — Wiesz, nigdy nie sądziłem, że na świecie jest tyle nomów. Ilu nas tu właściwie żyje?

Angalo powiedział mu.

— Dwa co? — zdziwił się Masklin.

Angalo powtórzył i widząc, że wyraz twarzy Masklina się nie zmienia, dodał:

— Nie robi to na tobie wrażenia.

Masklin przyjrzał się z uwagą kamiennemu grotowi swej dzidy. Kamień znalazł któregoś dnia na polu, ale całe wieki zajęło mu przymocowanie go odciętym ze snopka sznurkiem do odpowiedniego drzewca tak, by stanowiły jedną całość. Teraz była to jedyna znajoma rzecz w pełnym niespodzianek świecie.

— Nie wiem — przyznał w końcu. — Co to „tysiąc”?

\* \* \*

Książę Cido de Pasmantarii, będący także Lordem Protektorem Górnej Windy, Obrońcą Półpiętra i Rycerzem Lady, powoli i uważnie obejrzał Rzecz. Następnie odrzucił ją na stół.

— Ciekawe — ocenił. — Nawet radosne.

Znajdowali się w książęcym pałacu — ciasno zbity grupka niepewnych nomów. Pałac mieścił się aktualnie pod podłogą Działu Mebli Wyściełanych. Książę miał na sobie zbroję i nie był specjalnie radosny.

— A więc jesteście z zewnątrz, tak? — spytał i dodał, nim ktokolwiek miał szansę mu odpowiedzieć: — I myślicie, że wam uwierzę?

— Ojczy, ja sam... — zaczął Angalo.

— Bądź cicho! Znasz słowa Arnolda Brosa (zał. 1905)! Wszystko pod Jednym Dachem. Oto te słowa! Wszystko! A skoro wszystko, to nie może być żadnego Zewnątrz, bo tam nic nie ma! A więc i nomów! I dlatego, moi mili, nie możecie stamtąd przybywać, tylko z jakiejś odległej części Sklepu. Z Gorsetów być może albo z Młodej Mody... nigdy tak naprawdę nie zbadaliśmy tych rejonów.

— Jesteśmy z... — zaczął Masklin, ale gospodarz uciszył go władcym gestem.

— Posłuchajcie mnie uważnie — dodał książę, przesywając wzrokiem Masklina. — Nie winie was: znam swojego syna i wiem, jak bujną ma wyobraźnię i jak potrafi być przekonujący, gdy mu naprawdę na czymś zależy. Nie mam też cienia wątpliwości, że to on was do wszystkiego namówił. Za dużo czasu spędza na przyglądaniu się ciężarówkom i słuchaniu głupich bajek. Nic dziwnego, że czasem mózg mu się przegrzewa. Jestem jednak rozsądnym nomem i nie uwierzę w niemożliwe, co wcale nie znaczy, że nie znajdzie się dla was miejsce wśród de Pasmantarii. Taki silny, młody nom jak ty może zrobić karierę w mojej straży. Proponuję więc, abyśmy zapomnieli o tym całym nonsensem i przeszli do rzeczy. Zgoda?

— Ale my naprawdę przybyliśmy z zewnątrz — upierał się Masklin.

— Nie ma żadnego Zewnątrz! — zirytował się książę. — Naturalnie poza tym, które czeka dobrego noma, jeśli prowadził właściwe życie. Wtedy tam trafia i w splendorze żyje wiecznie. No, dość tych nonsensownych pogawędek, czas zabrać się do poważnych i odważnych przedsięwzięć.

— Jakich i po co? — odezwał się Masklin ostrożnie.

— Nie chciałbyś chyba, aby Żelaznotowarowi zajęli nasz dział, prawda? — spytał książę.

Masklin zerknął na Angala, który zdecydowanie potrząsnął głową.

— Chyba nie — odparł — ale przecież wszyscy jesteście nomami, nie? A miejsca tu starczy dla każdego, więc spędzanie czasu na kłótniach o nie wy-

daje mi się nieco głupawym zajęciem. — Kątem oka dostrzegł, jak Angalo łapie się oburącz za głowę.

Książę poczerwieniał.

— Głupawym, powiadasz?

Masklin na wszelki wypadek nieco się odsunął, ale ponieważ wychowano go w poszanowaniu uczciwości, nie ustąpił. Poza tym czuł, że nie jest wystarczająco bystry, by daleko zajechać na kłamstwach.

— No cóż... — odparł potwierdzająco.

— Słyszałeś może kiedyś o honorze? — spytał zadziwiająco spokojnie książę.

Masklin wyteżył pamięć i przecząco potrząsnął głową.

— Żelaznotowarowi chcą opanować cały Sklep — dodał pospiesznie Angalo. — A to byłoby straszne. Kapeluszowi są prawie tak samo groźni.

— Dlaczego? — zainteresował się Masklin.

— Dlaczego? — zagrzemiał książę. — Dlatego, że zawsze byli naszymi wrogami. A teraz możecie odejść.

— Dokąd? — zaciekawił się Masklin.

— Do Żelaznotowarowych. Albo Kapeluszowych, albo Piśmiennych. A najlepiej z powrotem na zewnątrz. Nic mnie to nie obchodzi!

— Bez Rzeczy nigdzie nie pójdziemy — poinformował go rzeczowo Masklin.

Książę złapał sześcian i cisnął nim ze złością w Masklina.

\* \* \*

— Przepraszam — wykrztusił Angalo, gdy odeszli spory kawałek od pałacu. — Powinienem był was uprzedzić, że ojciec jest raczej cholerycznego usposobienia.

— To po co go denerwowałeś? — zirytowała się Grimma. — Skoro musimy do kogoś przystać, to moglibyśmy się przyłączyć do was. Co się teraz z nami stanie?

— Był nieuprzejmy — przypomniała jej Babka Morkie. — I to bardzo.

— I nigdy nie słyszał o Rzeczy — dodał Torrit. — Ani o Zewnątrz, czy jak tam oni to nazywają. A przecież ja się tam urodziłem, wychowałem i żyłem. I tam nie ma żadnych umarłych nomów, że o życiu w splendorze nie wspomnę. Gbur i nieuk!

Jak na tę parę, była to zadziwiająca zgodność poglądów.

Masklin przyjrzał im się podejrzliwie, ale wyglądali normalnie. Wzruszył ramionami i spojrzał pod nogi. Szli po czymś, co przypominało krótko przystrzyżony, suchy trawnik, a co Angalo nazywał chodnikiem. Kolejna ciekawostka skradziona z ludzkiej części Sklepu. Na końcu języka miał uwagę, że to wszystko jest bez sensu: ledwie nom miał co jeść i pić, zaczynał się kłócić albo bić z innymi nomami, zupełnie jakby nie miał nic ciekawszego do roboty.

I druga sprawa, która nie dawała mu spokoju: skoro ludzie są tacy głupi, to jak zdołali zbudować ten Sklep i ciężarówkę, o autostradzie nie wspominając? Skoro nomy są sprytniejsze, to one powinny mieć wszystko, a ludzie powinni im podkraść żywność, nie na odwrót. Ludzie może są powolni, ale tak naprawdę muszą być znacznie inteligentniejsi. Prywatnie Masklin był pewien, że są przynajmniej tak inteligentni jak szczury.

Ale nic takiego nie powiedział, ponieważ nim doszedł do wniosków końcowych, spojrzawszy przypadkiem na Rzeczną podróżującą w uścisku Torrita i nagle miał pewność, że coś konkretnego zaraz przyjdzie mu do głowy. Zrobił sobie nawet w niej kawałek miejsca i cierpliwie czekał, co też to będzie i kiedy wreszcie się pojawi, gdy Grimma niespodziewanie spytała:

— A co się dzieje z nomami, które nie należą do żadnego działu?

— Prowadzą naprawdę smutne życie — odparł Angalo. — Muszą radzić sobie same, jak potrafią. — Pociągnął nosem i wyglądał przez chwilę, jakby miał zamiar się rozpłakać, opanował się jednak i tylko powiedział rozpaczliwie: — Wierzę wam. Ojciec uważa, że tracę czas, obserwując ciężarówkę, ale to nieprawda. Czasami przyjeżdżają zakurzone, czasami mokre, a to znaczy, że coś się z nimi dzieje, gdy ich nie ma, czyli że Zewnątrz istnieje, nie jest snem. Może byście trochę poczekali, nim się na coś zdecydujecie, a ja spróbuję go przekonać. Tymczasem pokażę wam Sklep.

\* \* \*

Sklep był naprawdę wielki.

Masklin jeszcze niedawno był przekonany, że ciężarówka jest ogromna, ale przyznawał, że Sklep jest nieporównywalnie większy. Ciągnął się w nieskończoność labiryntem podłóg, ścian i schodów, które nawet Masklinowi dały się we znaki. Wszędzie panował ruch i gwar nomów zajętych własnymi sprawami. Ogólnie rzecz biorąc, określenie „wielki” było za małe w stosunku do Sklepu. Żeby go opisać, potrzebne było zupełnie nowe określenie.

Zresztą, w pewien sposób Sklep był większy nawet niż Zewnątrz, gdyż Zewnątrz było tak przeogromne, że się go nie zauważało. Nie miało krawędzi czy sufitu, nie myślało się więc o nim jako o czymś, co w ogóle ma jakiegokolwiek wymiary. Po prostu było. Sklep zaś miał granice i dach, ale były one od siebie tak odległe, że brakowało na to słów. Był, krótko mówiąc, naprawdę duży.

Gdy maszerowali za Angalem, Masklin w końcu doszedł ze sobą do ładu i o tym, co z tego dochodzenia wynikło, postanowił w pierwszej kolejności poinformować Grimme.

— Wracam! — oznajmił zwięźle.

— Przecież dopiero co przybyliśmy! Co ci się stało?



— Nie wiem. Wiem tylko, że tu wszystko jest na opak. Czuję to i wiem, że jeśli zostanę dłużej, to faktycznie przestanę wierzyć, że na zewnątrz istnieje cokolwiek, a przecież tam się urodziłem! Gdy znajdziemy jakieś miejsce, gdzie będziecie mogli żyć, to wracam. Jak chcesz, możesz wrócić ze mną... ale nie musisz.

— Ale... ale tu jest ciepło i jest tyle rozmaitego jedzenia!

— Mówiłem, że nie potrafię tego wytłumaczyć. Najprościej rzecz ujmując, czuję się obserwowany.

Grimma odruchowo spojrzała w górę. Dostrzegła jedynie sufit o kilkanaście centymetrów nad głową. Wcześniej wszystko, co ich obserwowało, zazwyczaj myślało o posiłku. Przypomniała sobie, gdzie jest, i roześmiała się nieco nerwowo.

— Nie bądź głupi — poradziła.

— Nie jestem bezpieczny, a to ważniejsze.

— Powiedziałabym raczej, że nie jesteś potrzebny. Albo raczej nie czujesz się potrzebny — powiedziała cicho i niespodziewanie poważnie.

— Że jak?

— A co, nieprawda? Cały czas spędzałeś na troszczeniu się o innych, byli na twojej głowie i nagle nie musisz tego robić. Dziwne wrażenie, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, odeszła.

Masklin natomiast stał niczym słupek, zaskoczony, że ktoś jeszcze myśli w taki właśnie sposób. Zwłaszcza zaś Grimma. Z tego, co sobie mogli przypominać, zawsze widział ją piorącą, szyjącą, próbującą ugotować czy upiec to, co zdołał dociągnąć z polowania, albo próbującą organizować pozostałych do jakiegoś rozsądnego działania. I żeby ktoś tego żałował?! Naprawdę dziwne.

Zdał sobie sprawę, że pozostali także przystanęli. I że przestrzeń przed nimi, oświetlona małymi żarówkami, jest pusta. Z tego, co opowiadał Angalo, Żelaznotowarowi kazali sobie za to światło słono płacić i nie dopuszczali nikogo do tajemnicy kontrolowania elektryczności, bo tak się nazywa to, co świeci w przy-mocowanych do ścian żarówkach. Głównie zresztą dlatego byli tak liczącą się w Sklepie siłą.

— Chwilowo tu się kończy terytorium de Pasmantarii — odezwał się Angalo. — Dalej jest teren Kapeluszy, z którymi ostatnio nie jesteśmy w najlepszych stosunkach, więc tego... wolałbym dalej z wami nie tego... no, nie iść...

— Będziemy się trzymać razem — zdecydowała Babka Morkie, spoglądając wymownie na Masklina, po czym uroczyście skinęła na Angala. — Odejdź w pokoju, młodzieńcze. A ty, Masklin, wyprostuj się!... Teraz lepiej! No to... naprzód!

— Z jakiej racji mówisz „naprzód”?! — obruszył się Torrit. — Ja jestem wodzem... jestem. I wydawanie rozkazów to moje zajęcie!

— No, to je wydawaj! — poradziła mu spokojnie.

Torrit przez chwilę bezgłośnie poruszał ustami i w końcu oznajmił:

— Właśnie! Naprzód!

— Dokąd? — zdziwił się Masklin.  
I omal nie dostał zachęcającego kopa od Babki Morkie.  
— Znajdziemy jakieś „dokądś” nadające się do życia — oświadczyła, gotowa ponowić próbę. — Przeżyłam Wielką Zimę tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego roku i taki dupek w puszcze nie będzie mi rozkazywał! Ten cały księżę niedługo by wytrzymał podczas tej zimy. Możecie mi wierzyć.  
Zrezygnowany Masklin ruszył przodem. Reszta ruszyła za nim.  
— Nic nam nie grozi, dopóki słuchamy Rzeczy — oświadczył niespodziewanie radośnie Torrit, poklepując ją czule.  
Masklin stanął jak wryty — zdecydował, że ma już tego naprawdę, serdecznie dość.  
— A co takiego Rzeczeń mówi? — spytał, nawet nie wysilając się na uprzejmość. — Dokładnie, jeśli łaska? Co konkretnie mówi nam, żebyśmy teraz zrobili? No?!

Torrit miał nieco zdesperowaną minę i wykrztusił:  
— No... jest... no... jasne, że jeśli będziemy się trzymać razem i zachowywać się wła...  
— Wymyślasz to na poczekaniu! — przerwał mu Masklin.  
— Jak śmiesz tak do niego mówić... — zaczęła Grimma, ale urwała, gdyż dzida Masklina wylądowała nagle z trzaskiem na podłodze.  
— Mam tego dość! — oznajmił jej właściciel. — Rzeczeń powiedziała to, Rzeczeń każe tak albo owak. Rzeczeń plecie bzdury, ale nigdy nie mówi niczego, co mogłoby być naprawdę użyteczne.  
— Rzeczeń była przekazywana z pokolenia na pokolenie od setek lat — powiedziała poważnie Grimma. — Jest bardzo ważna.  
— Dlaczego?  
Grimmie zabrakło nagle słów, toteż spojrzała na Torrita.  
Torrit obliznął wargi i poblebł.  
— Ona pokazuje nam... — zaczął.  
— „Przysuń mnie bliżej elektryczności.”  
— Wychodzi na to, że ta cała Rzeczeń jest ważniejsza niż... coście się tacy bledzi zrobili jak mgła na polu? — zdziwił się Masklin, tracąc wątek.  
— „Bliżej elektryczności.”  
Torrit, którego dłonie zaczęły nagle dygotać, spojrzał na trzymaną w nich Rzeczeń.  
Ściany sześcianu nie były już smolście czarne — tańczyły na nich setki różnobarwnych światełek. Masklin z dumą stwierdził, że mogło ich być nawet więcej — mogły ich być tysiące.  
— Kto chce bliżej elektryczności? — zainteresował się.

Rzecz wypadła ze zmartwiałych palców Torrita i potoczyła się po podłodze, nieruchomiejąc pośrodku przejścia. Wciąż błyskała mrowiem światełek, w które wszyscy wpatrywali się z przerażeniem i fascynacją.

— A więc Rzecz jednak mówi... — zdziwił się Masklin. — O rety!

Torrit zamachał gwałtownie rękoma i zaprotestował:

— Ale nie tak...! Nie powinna mówić głośno! Nigdy zresztą dotąd tego nie robiła!

— „Blżej elektryczności!”

— Chce bliżej — zauważył przytomnie Masklin.

— Ja tam tego nie dotknę!

Masklin wzruszył ramionami, podniósł dzidę i czubkiem ostrza ostrożnie przesunął migoczący sześcian pod ścianę, z której zwisały przewody łączące żarówki.

— Jak ona mówi? — zaciekawiła się Grimma. — Przecież nie ma ust.

Rzecz nagle zafurkotała, a na jej ścianach pojawiły się barwne kształty zmieniające się szybciej, niż Masklin zdołał je dostrzec. W każdym razie przeważała czerwień.

Niespodziewanie Torrit runął na kolana.

— Jest zła — jęknął zawodząco. — Nie powinniśmy jeść tego szczura! Nie powinniśmy tu być! Nie powinniśmy...

Masklin przestał go słuchać i przykucnął. Wiedziony dziwną ciekawością, ostrożnie dotknął jednej ze ścianek. Nie była gorąca, nie była nawet ciepła. Ponownie miał to dziwne wrażenie, że jego umysł chce coś powiedzieć, tylko brakuje mu odpowiednich słów.

— Kiedy Rzecz poprzednio mówiła ci różne rzeczy... — zaczął wolno i z trudem — wiesz: jak powinniśmy żyć właściwie czy...

Torrit spojrział nań, jakby właśnie konał, i szepnął:

— Nigdy nic nie powiedziała!

— Ale mówiłeś...

— Bo kiedyś, dawno temu, przemawiała! Stary Voozel twierdził, gdy mi ją dawał, że przemawiała, ale setki lat temu przestała, nie wiadomo dlaczego.

— Co?! — Babką Morkie aż zatrzęsło. — I przez te wszystkie lata wmawiałeś nam, że Rzecz mówi to albo Rzecz mówi tamto, a ona faktycznie nic nie mówiła?!

Torrit najwyraźniej zaczął się bać.

— No?! — Głos Babki Morkie stał się czystą groźbą. — Mowę ci odebrało?

— Uhm... — bąknął Torrit. — Eee... cóż... No, stary Voozel powiedział mi, przekazując Rzecz, że trzeba pomyśleć, co też Rzecz powinna powiedzieć, a potem powiedzieć to głośno. Żeby pomagać innym we właściwym życiu i pomóc im trafić do niebios. To ostatnie jest bardzo ważne. Rzecz może nam pomóc trafić do niebios. Voozel mówił, że to właśnie jest najważniejsze.

— Co?! — ryknęła Babka. — Co jest najważniejsze?

— Żebym postępował tak, jak mi powiedział. No i tyle lat działało, nie?

Masklin nie zważał na coraz gorętszą dyskusję. Skoncentrował uwagę na Rzeczy, po której ściankach przepływały kolorowe linie, tworząc hipnotyzujące wzory. Czuł, że powinien wiedzieć, co one oznaczają, bo był pewien, że coś oznaczają.

Czasami — w tych miłych dniach, gdy nie musiał cały czas polować — wspinał się na wzgórze i obserwował bistro, i parking dla ciężarówek. Była tam wielka niebieska tablica, na której znajdowały się różne obrazy i kształty. W koszach na śmieci też znajdował pudełka i papierki, na których były różne obrazki i kształty. Pamiętał pewną długą dyskusję na temat pudełek po kurczakach, na których był obrazek starego człowieka z wąsami. Większość upierała się, że to kurczak, ale Masklin nie sądził, by ludzie zajadali się własnymi starcami, nazywając ich w dodatku „kurczakami”. Tu musiało chodzić o coś więcej — może starzy mężczyźni robili kurczaki.

Rzecz zamruczała i oznajmiła:

— „Minęło piętnaście tysięcy lat.”

Masklin spojrzał wyczekująco na pozostałych.

— Ty z nią gadaj! — poleciała Babka Morkie Torritowi, ale ten aż się cofnął.

— Ja nie! I tak nie wiedziałbym, co powiedzieć!

— No, przecież ja nie będę tego robić! — warknęła Babka Morkie. — To zajęcie dla wodza, no nie?

— „Minęło piętnaście tysięcy lat” — powtórzyła Rzecz.

Masklin wzruszył ramionami — zdaje się, że znowu padło na niego.

— Kogo minęło? — spytał.

Rzecz sprawiała wrażenie, że myśli intensywnie. W końcu spytała:

— „Znacie jeszcze takie określenia, jak: komputer pokładowy albo nawigacja lotu?”

— Nie — odparł pospiesznie Masklin. — Żadnego nie znamy.

Świeące linie zmieniły kształt.

— „A wiecie cokolwiek o podróżach międzygwiazdnych?”

— Nie.

Sześcian niedwuznacznie wyglądał na poważnie rozczarowanego odpowiedzią. I Masklinem.

— „A wiecie, że przybyliście z daleka?”

— A tak, to wiemy doskonale.

— „Z miejsca odleglejszego niż Księżyc.”

— Ep... — Masklin zawahał się: podróż rzeczywiście długo trwała i było możliwe, że po drodze minęli i Księżyc. W końcu wielokrotnie widzieli go nad horyzontem i był pewien, że ciężarówka przejechała dłuższą drogę. — Tak... prawdopodobnie.

— Język się zmienia przez lata — oceniła z namysłem Rzecz.

— Naprawdę? — spytał uprzejmie Masklin.

— „Jak nazywacie tę planetę?”

— Nie wiem, co to jest „planeta” — wyznał po namyśle Masklin.

— „Ciało niebieskie naturalnego pochodzenia.”

Tępy wzrok Masklina wyraźnie świadczył, że nic mu to nie wyjaśniło.

— „Jak nazywacie to miejsce?”

— Nazywa się Sklep.

— „Nazywasieśsklep.” — Światełka zamigotały, jakby Rzecz znów myślała intensywnie.

— Młodzieńcze, nie mam zamiaru stać tu cały dzień i gadać o nonsensach z tym czymś — oznajmiła niespodziewanie Babka Morkie. — Teraz istotne jest, żebyśmy się zdecydowali, co zamierzamy zrobić i dokąd idziemy.

— Racja — przytaknął energicznie Torrit.

— „A pamiętacie chociaż, że jesteście rozbitkami?”

— Jestem Masklin — przedstawił się na wszelki wypadek Masklin. — Nie wiem, kto jest „rozbitkami”.

Światełka ponownie zmieniły konfigurację, co skojarzyło się Masklinowi z głębokim westchnieniem.

— „Moim zadaniem jest służyć wam radą i pomocą.”

— Widzicie? — ucieszył się Torrit, ostatnio nieco niedowartościowany. — Miałem rację.

Masklin szturchnął Rzecz bez cienia szacunku.

— Ostatnio niczym nam nie służyłaś. Prawdę mówiąc, wcale się nie odzywałaś.

— „Ponieważ musiałam zachować rezerwę mocy. Teraz mogę korzystać z zasilania zewnętrznego, którego jest tu pod dostatkiem.”

— To miłe — oceniła Grimma.

— Chcesz powiedzieć, że żywisz się światłem? — upewnił się Masklin.

— „Chwilowo takie wyjaśnienie można uznać za zadowalające.”

— To dlaczego wcześniej się nie odzywałaś?

— „Słuchałam.”

— Mhm.

— „A teraz czekam na polecenia.”

— Na co? — zaciekała się Grimma.

Tym razem westchnął Masklin.

— Ona chce powiedzieć, że pragnie nam pomóc, tylko nie wie jak — wyjaśnił. Usiadł i obserwując światełka, spytał: — Co potrafisz robić?

— „Tłumaczyć, liczyć, namierzać, asymilować, porównywać i ekstrapolować.”

— Wątpię, żebyśmy chcieli robić coś z tej wyliczanki — ocenił, ale na wszelki wypadek upewnił się: — Chcemy?

Babka Morkie wyglądała, jakby się poważnie zastanawiała.

— Nie chcemy — zdecydowała w końcu. — Za to banan byłby mile widziany.  
— Myślę, że tak naprawdę wszyscy chcielibyśmy być w domu i czuć się bezpiecznie — powiedział bardziej do siebie niż do kogokolwiek Masklin.

— „Być w domu.”

— Właśnie.

— „I czuć się bezpiecznie.”

— Tak.

Później te siedem słów stało się jednym z najsłynniejszych cytatów w historii nomów. Nauczano ich w szkołach, wryto w kamieniu i aż dziwne, że gdy zostały wypowiedziane po raz pierwszy, nikt nie sądził, że są specjalnie ważne. Praktycznie jedyną reakcją było stwierdzenie Rzeczy:

— „Zaczynam obliczenia.”

Po tym oświadczeniu wszystkie światelka zgasły. Pozostało tylko jedno zielone, które zaczęło regularnie migotać.

— Co za ulga! — ucieszyła się Grimma. — Co robimy teraz?

— Zgodnie z tym, co mówił ten młody Angalo, musimy sobie radzić, jak potrafimy — odparła pogodnie Babka Morkie.

## Rozdział trzeci

I. Gdyż nie wiedzący przynieśli ze sobą Rzeczą, która zbudziła się w obecności Elektryki, a jako jedyna znała ich Historię.

II. Gdyż nomowie mieli pamięć z Krwi i Kości, Rzeczą zaś z Silikonu, którego jest jako Kamień i zostaje po wieczne czasy, gdy inne pamięci w pył się zamieniają.

III. I polecenie jej dali, wszelako nie wiedząc o tym.

IV. I powiedzieli: „Oto jest Skrzynka z Zabawnym Głosem.”

V. Rzeczą zaś liczyć zaczęła, jak to utrzymać wszystkich nomów w bezpieczeństwie.

VI. Jako też, jak zaprowadzić ich do Domu. VII. Wszelakich nomów aż do samego Domu.

*Księga nomów, Półpiętrze, w. I-VII*

Pod podłogą łatwo było się zgubić. Nie trzeba się było nawet o to starać w labiryncie ścian, kabli i warstw kurzu. Na dobrą sprawę nie tyle byli zagubieni, jak to ujął Torrit, ile zeszedli na złą drogę, gdyż drogi, ścieżki i szlaki krzyżowały się dosłownie co krok, za to żadna nie miała najmniejszego choćby oznaczenia czy informacji, dokąd prowadzi. Od czasu do czasu mijał ich jakiś nom spieszący w sobie tylko znanym celu i nie zwracający na nich żadnej uwagi.

Przespali się w alkwie utworzonej przez dwie masywne, drewniane ściany i obudzili się w takim samym, średnio jasnym, sztucznym świetle jak to, przy którym się kładli. W Sklepie najwyraźniej nie rozróżniano dnia i nocy, choć wydawało się, że jest głośniejsze. Gdzieś w oddali słychać było przytłumiony szum.

Rzeczą pobłyskiwała kilkoma różnobarwnymi światełkami. Wyrosło z niej coś małego, tulejopodobnego i obracało się wolno na cienkim patyku.

— Nie powinniśmy odszukać tego miejsca z masą jedzenia? — spytał z nadzieją Torrit.

— Wydaje mi się, że trzeba być członkiem jakiegoś działu, żeby móc tam jeść — bąknął Masklin. — Ale to nie może być jedyne miejsce z jedzeniem, nie?

— Jak tu przybyliśmy, było na pewno ciszej — stwierdziła Babka Morkie. — Co to za hałas?

Masklin rozejrzał się i dostrzegł szczelinę, przez którą przedostawało się jasne światło. Dostał się do niej i przyłożył oko.

— Oj — jęknął słabo.

— Co się stało? — zaniepokoiła się Grimma.

— Ludzie się stali. Więcej ludzi w jednym miejscu, niż dotąd w życiu widziałem!

Szczelina znajdowała się przy połączeniu sufitu i ściany ogromnego pomieszczenia (prawie tak wielkiego jak gniazdo ciężarówek), które było jasno oświetlone i pełne ludzi. Sklep był otwarty.

Z punktu widzenia nomów ludzie żyli nadzwyczaj powoli — Masklin sam kilkakrotnie wpadł na człowieka podczas samotnych polowań i z doświadczenia wiedział, że bez trudu zdoła dobiec do najbliższego krzaka i ukryć się, nim człowiek skończy odwracać w jego kierunku głowę. To jest w kierunku miejsca, z którego Masklin na niego wpadł i w którym od dawna już go nie było.

Pomieszczenie wypełniał tłum wolno poruszających się ludzi. Stawiali wielkie kroki i porozumiewali się ze sobą głębokimi, dudniącymi głosami. Ponieważ szczelina nie była wysoko, wszyscy się wdrapali i przez długi czas obserwowali zafascynowani wnętrza hali — tylu ludzi naraz nawet Torrit nigdy nie widział.

— Co oni trzymają? — spytała Grimma. — Wygląda to trochę podobnie jak Rzec.

— Pojęcia nie mam — przyznał Masklin.

— Zobacz: biorą je z półek, dają coś temu jednemu człowiekowi, potem wkładają to do torby i wychodzą. To wygląda, jakby wiedzieli, co robią!

— Nie wiedzą! — oznajmił Torrit autorytatywnie. — Są jak mrówki: wydają się inteligentni, ale przy dokładniejszej obserwacji okazuje się, że to jednak nie jest rozumne działanie.

— Budują różne rzeczy... — bąknął Masklin.

— Podobnie robią ptaki, mój chłopcze.

— Tak, ale...

— Jeśli chodzi o ptaki, to ludzie najbardziej podobni są do srok: też najbardziej lubią to, co błyszczą.

— Hm...

Masklin zdecydował się nie dyskutować. Zresztą, jeśli nie było się Babką Mor-  
kie, dyskusja z Torritem była po prostu niemożliwa, bo miał on w głowie miejsce jedynie na ściśle określoną liczbę pomysłów, a kiedy któryś się tam zadomowił i zakorzenił, usunięcie go było niewykonalne. Masklinowi cisnęło się na usta pytanie: „Skoro są tak głupi, to dlaczego nie oni kryją się przed nami, tylko odwrotnie?” Nagle coś mu przyszło do głowy — podniósł Rzec i zagadnął:

— Hej, Rzec?

Przez moment nic się nie działo, po czym odezwał się cichy głos:

— „Wykonanie głównego zadania zawieszono. Czego potrzebujesz?”



— Wiesz, czym są ludzie?

— „Tak. Podejmuję wykonanie głównego zadania.”

Masklin spojrział zaskoczony na przyjaciół.

— Rzecz?

— „Wykonanie głównego zadania zawieszono. Czego potrzebujesz?”

— Chciałem, żebyś mi opowiedział o ludziach.

— „Nieprawda. Zadałeś pytanie, czy wiem, czym są ludzie. Moja odpowiedź była poprawna pod każdym względem.”

— Niech ci będzie. Teraz powiedz mi, czym są ludzie!

— „Ludzie są tubylczymi mieszkańcami świata, który obecnie nazywasz Nazywasieśklep. Podejmuję wykonanie głównego zadania.”

— A nie mówiłem! — Torrit pokiwał głową z zadowoleniem. — Są tubylczymi. Sprytni, ale tylko tubylczy. Wszystko to tylko cała masa tubylstwa... tubylczości.

— Czy my jesteśmy tubylczymi? — spytał Masklin.

— „Wykonanie głównego zadania przerwane. Nie mówi się tubylczymi, tylko tubylcami. Nie jesteście. Główne zadanie podjęte.”

— Naturalnie, że nie jesteśmy — obruszył się Torrit. — Mamy swoją dumę.

Masklin otworzył usta, by spytać, co właściwie znaczy „tubylczymi” czy „tubylcami”, bo zdawał sobie sprawę, że nie wie, a pewien był, że Torrit też nie ma pojęcia, ale nie zapytał. Chciał zadać całą masę pytań, lecz zrozumiał, że musi się zastanowić, jak je zadać i jakich słów użyć. Największym bowiem problemem była niezajomość potrzebnych słów — nie można myśleć o wielu sprawach, gdy się nie wie, jak myśleć, i nie ma sensu pytać, jeśli się nie rozumie odpowiedzi.

Zanim na dobre zajął się przemyśleniem tego problemu, zza pleców dobiegło go pytanie:

— Dziwne, no nie? I strasznie ostatnio zajęci. Zastanawia mnie, co w nich wstąpiło.

Zadał je starszy, muskularny nom. Jego ubranie było błotnistobrązowe, co jak na mieszkańca Sklepu było niezwykle. Zewnętrzzną częścią garderoby był fartuch z dużą liczbą powypychanych czymś kieszeni.

— Szpiegujesz nas? — upewniła się Babka Morkie.

Obcy wzruszył wymownie ramionami.

— Zazwyczaj przychodzę tu obserwować ludzi. To dobre miejsce i przeważnie nikt mi nie przeszkadza. Z jakiego działu jesteście?

— Z żadnego — poinformował go Masklin.

— Po prostu jesteście — dodała Babka.

— I nie jesteście tubylczy, to jest tubylcami — poprawił się pospiesznie Torrit. Obcy uśmiechnął się i wstał z drewnianego wspornika, na którym przysiadł.

— Aha — ucieszył się. — To wy jesteście ci nowi z zewnątrz? Słyszałem o was. — Wyciągnął prawą rękę.

Masklin przyjrzał się jej ostrożnie i spytał na wszelki wypadek uprzejmie:  
— Tak?  
Obcy westchnął.  
— Powinieneś ją uścisnąć — wyjaśnił.  
— A dlaczego?  
— Taka tradycja. Nazywam się Dorcas del Ikates. — Uśmiechnął się lekko. —  
Znacie swoje nazwiska?  
Masklin zignorował rękę i zaczepkę.  
— Co to znaczy, że obserwujesz ludzi? — spytał w zamian.  
— No, przyglądam się, studiuję. Wiesz, można się sporo nauczyć o przyszłości, obserwując ludzi.  
— Tak jak z pogodą, o to ci chodzi?  
— Pogodą? Ach, naturalnie, z pogodą! — Dorcas uśmiechnął się szeroko. —  
Wy przecież wiecie wszystko o pogodzie! Mocna rzecz, pogoda, nie?  
— Słyszałeś o niej? — zdziwił się Masklin.  
— Tylko stare opowieści. Hm. — Dorcas przyjrzał mu się krytycznie. — Z tego, co słyszałem, powinniście mieć inny kształt. Życie na zewnątrz nie jest takie jak tu. Chodźcie ze mną, to pokażę wam, o co mi chodzi.  
Masklin powoli rozejrzał się po pokrytej kurzem okolicy. Stracił cierpliwość: nie dosyć, że było tu za ciepło i za sucho, to każdy traktował go jak durnia, a teraz jeszcze na dodatek okazało się, że ma niewłaściwy kształt.  
— Wiesz... — zaczął, gdy nagle rozległ się cichy, ale wyraźny głos spod jego własnej pachy.  
— „Potrzebujemy go” — oznajmiła Rzecz.  
— Też tak myślę — poparł ją Dorcas. — Ale mają radio, no nie. Cały czas wszystko zmniejszają, ciekawe po co.

\* \* \*

Dorcas doprowadził ich do zwykłej dziury — dużej, prostokątnej, głębokiej i ciemnej. Wisiało w niej kilka kabli grubszych od noma, których końce niknęły gdzieś w dole.

— Żyjesz tam, na dole? — zainteresowała się Grimma.

Dorcas najpierw pomacał w ciemnościach, aż coś kliknęło. Daleko w górze coś załomotało metalicznie i rozległ się odległy ryk.

— Hm?... Co? A, nie — odparł, przytomniejąc. — Długo trwało, zanim się w tym wszystkim połapałem. To się nazywa winda i jest taką klatką na linach, która porusza się w górę i w dół. Z ludźmi w środku. Więc tak sobie pomyślałem, że skoro nie robię się młodszy, to po co mam się męczyć, chodząc po schodach, i zainteresowałem się tą klatką bliżej. Zasada działania jest prosta, zresztą musi być, bo inaczej ludzie nie wiedzieliby, jak jej używać. Proszę się nieco odsunąć.

Z góry opadło coś ogromnego i czarnego, i zatrzymało się o kilkanaście centymetrów nad ich głowami. Nieco wyżej rozległy się łomoty i znajome już odgłosy ludzkich kroków i rozmów. Pod podłogą windy był podwieszony na sznurku druciany kosz.

— Jeśli myślisz, że zamierzam wejść do drucianego koszyka dyndającego na sznurku, to lepiej się poważnie zastanów. . . — odezwała się z naganą Babka Morkie.

— To bezpieczne? — spytał Masklin.

— Mniej więcej — odparł Dorcas, wsiadając i zajmując się pękiem przewodów przymocowanych do jednego z boków kosza. — Pospieszcie się, jeśli łaska. Tędy będzie najwygodniej, madame.

— To mniej czy więcej? — Masklin nie ustąpił tak łatwo.

Babka Morkie, zaskoczona, że ktoś zwrócił się do niej tak elegancko, wsiadła bez protestów.

— Cóż, mojego rękodzieła jestem pewien tak, że to jest to więcej. Tego wyżej jestem mniej pewien, bo składali je ludzie, więc nigdy nic nie wiadomo. Ale oni nie są tak głupi, żeby używać czegoś, co nie jest bezpieczne. Proszę się trzymać, jedziemy do góry.

Nad nimi coś grzmotnęło, szarpnęło i w końcu ruszyli w górę.

— Sprytnie, co? Dużo czasu straciłem, żeby obejść wszystkie przyciski, ale się w końcu udało. Z początku martwiłem się, że to zauważą, bo tak: oni naciskają guzik w dół, a ja w górę i winda, ma się rozumieć, jedzie tam, dokąd ja chcę. Pusta, z ich punktu widzenia. Ale oni są naprawdę tępi: nic nie zauważyli. Oto jesteśmy!

Winda zatrzymała się z kolejnym szarpnięciem tak, że kosz znalazł się dokładnie na poziomie kolejnego piętra pod podłogą.

— Artykuły Gospodarstwa Domowego — oznajmił Dorcas. — Czyli niewielki dział, który nazywam własnym. Nikt mi się tu nie naprzykrza, nawet opat. Pewnie dlatego, że jestem jedynym, który wie, jak działają pewne rzeczy.

Było tutaj pełno drutów, kabli i przewodów biegnących pojedynczo lub wiązkami we wszystkich kierunkach. W samym środku tego wszystkiego kilka młodych nomów rozbierało coś z entuzjazmem na czynniki składowe.

— Radio — wyjaśnił Dorcas. — Zdziwiająca sprawa: właśnie próbują się dowiedzieć, jak ono gada.

Przerzucił stertę papierów, znalazł kartkę, o którą mu chodziło, i podał ją nieśmiało Masklinowi.

Na kartce narysowany był różowy stożek z kępką włosów na szczycie. Nomy nigdy nie widziały pijawki, w przeciwnym razie wiedziałyby, że rysunek przypomina właśnie ją. Z wyjątkiem włosów, naturalnie.

— Ładne — pochwalił na wszelki wypadek. — Co to takiego?

— No... to było moje wyobrażenie, jak powinien wyglądać mieszkaniec Zewnątrz — przyznał Dorcas.

— Ze spiczastą głową?!

— Deszcz. To pojęcie z legend z czasów przed Sklepem. Chodzi o wodę spadającą cały czas z nieba. To się nazywa deszcz. Musi gdzieś spływać, stąd taki kształt. A opływowe boki, żeby wiatr nie miał punktu zaczepienia i nie mógł przewrócić... zrozumcie, że miałem do dyspozycji jedynie stare legendy...

— Przecież to nie ma nawet oczu!

— Ma — sprzeciwił się Dorcas. — Nieduże, ale ma. O, tu, zaraz pod włosami, żeby ich słońce nie oślepiło. To takie wielkie, jasne światło na niebie.

— Wiemy. Widzieliśmy je nieraz.

— Co on mówi? — zainteresował się niespodziewanie Torrit.

— On mówi, że powinieneś tak wyglądać — odparła zgryźliwie Babka Morkie.

— Takiej ostrej głowy to ja nie mam.

— A nie, niestety, nie masz — zgodziła się niespodziewanie.

— Nie ulega kwestii, że troszeczkę ci się pomyliło — odezwał się po długim namyśle Masklin. — Jak widzisz, to nie tak wygląda. Nie mógł ktoś wyjść i sprawdzić, jak jest na zewnątrz?

— Widziałem, jak otwierają się wielkie wrota... raz widziałem. Te na dole, w garażu — wyjaśnił Dorcas. — Ale za drzwiami było tylko oślepiająco białe światło.

— Jak się cały czas siedzi w półmroku, to normalne światło pewnie może się takie wydawać... — mruknął niepewnie Masklin.

Dorcas siadł na szpulce od nici.

— Musicie mi wszystko opowiedzieć. Wszystko, co pamiętacie o tym Zewnątrz.

Rzecz spoczywająca w objęciach Torrita zaczęła błyskać drugim zielonym światełkiem.

\* \* \*

Po pewnym czasie jeden z młodych nomów przyniósł jedzenie, a oni rozmawiali, sprzeczali się i kłócili, czyli spełniali życzenie Dorcasa. Nom zaś słuchał i pytał.

Powiedział im, że jest wynalazcą. Głównie wszystkiego, co było związane z elektrycznością. Na początku, gdy nomy dopiero zaczynały podłączać się do systemu zasilania Sklepu, wielu próbujących przypląciło to życiem. Od tego czasu wynaleziono znacznie bezpieczniejsze sposoby, ale prąd już cieszył się złą sławą, a elektryczność wciąż kryła masę tajemnic, toteż niewielu było ochotników, którzy chcieli mieć z nią bliższe kontakty. Dlatego przywódcy każdego działu,

nawet opat Piśmiennych, zostawiali Dorcasa w spokoju. On zaś uznał, że to niezły pomysł — być dobrym w czymś, w czym nikt inny nie chce lub nie może taki być, bo daje to poczucie niezależności i spokój. Wspecjalizował się więc w wynajdywaniu różnych rzeczy. Dzięki temu mógł nawet publicznie i głośno snuć rozważania o Zewnątrz. Pod warunkiem że nie były zbyt publiczne lub zbyt głośne.

— I tak tego wszystkiego nie zapamiętam — westchnął w pewnym momencie. — Co to było, to drugie światło? To, które się zapala, kiedy jest Zamknięcie? To znaczy, jak jest ta, no... kloc, zdaje się.

— Noc, nie kloc — poprawił go Masklin. — Masz na myśli księżyc.

— Księżyc — powtórzył Dorcas, smakując nazwę. — Ale on nie jest taki jasny jak słońce? Dziwne, doprawdy dziwne... Sensowniej byłoby mieć jaśniejsze światło, gdy jest ciemniej, czyli w nocy, a nie w dzień, kiedy i tak wszystko widać. Sądzę, że nie wiecie, dlaczego tak jest.

— Tak po prostu jest — stwierdził Masklin.

— Co ja bym dał, żeby to zobaczyć! Kiedy byłem młody, często obserwowałem ciężarówkę, ale nigdy nie starczyło mi odwagi, żeby wsiąść do którejś. — Niespodziewanie pochylił się i dodał ciszej: — Uważam, że Arnold Bros (zał. 1905) umieścił nas w Sklepie po to, żebyśmy dowiadywali się różnych nowych rzeczy. Żebyśmy o nich uczyli. No bo po co mielibyśmy mózgi? Jak myślisz?

Pytanie przyjemnie zaskoczyło Masklina, który po raz pierwszy od pojawienia się w Sklepie poczuł się doceniony, ale zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Grimma uprzedziła go pytaniem:

— Wszyscy mówicie o jakimś Arnoldzie Brosie (zał. 1905), ale nikt nam nie powiedział, kto to właściwie jest.

Dorcas westchnął.

— On stworzył Sklep. W 1905 roku — powiedział powoli. — Od Kuchni w Podziemiu do Rachuby Klientów. No i wszystko pomiędzy, ma się rozumieć. Nie kwestionuję tego, żebyśmy się dobrze zrozumieli: ktoś musiał to zrobić. Ale sądzę, i ciągle to powtarzam, że to nie znaczy, że nie możemy...

Zielone światełka zgasły, wirujący talerzyk schował się, a Rzecz cicho warknęła, wydając z siebie odgłos przypominający chrząknięcie.

— „Monitoruję komunikację telefoniczną” — oznajmiła.

Obecni popatrzyli na siebie wymownie.

— To miło z twojej strony — odezwała się w końcu Grimma. — Prawda, Masklin?

— „Właśnie uzyskałem ważne informacje, które trzeba jak najszybciej przekazać przywódcom tej społeczności. Zdajecie sobie sprawę, że życie w skonstruowanym środowisku, które ma ograniczony czas istnienia?”

— Fascynujące! — westchnął Dorcas. — Te wszystkie słowa... Prawie można sobie wyobrazić, że da się zrozumieć, co one znaczą jako całość. Tam, w górze,

są rzeczy takie jak to: nazywają się „radia”. Niektóre oprócz słów mają też obrazy. To są telewizory. Zdziwiający.

— „Niezwykle ważne jest, abym przywódcom społeczności przekazał informacje o wyjątkowym znaczeniu. Informacje dotyczą nieuchronnego zniszczenia tego artefaktu.”

— Przepraszam, ale mógłbyś to powiedzieć normalnie? — poprosił Masklin.

— „Nie pojmujecie tych informacji?”

— A co to jest „pojmujecie”?

— „Najwyraźniej język zmienił się w sposób, którego nie rozumiem.”

Masklin spróbował choć wyglądać pomocnie.

— „Spróbuję uprościć moje oświadczenie” — oznajmiła po chwili Rzecz, błyskając kilkoma światełkami.

— Fajnie — mruknął Masklin.

— „Wielka buda, Sklep, zrobić łubu-du prędko prędko. Jasne?” — spytała z nadzieją Rzecz.

Słuchacze popatrzyli po sobie i widać było, że dla nikogo nic nie jest jasne.

Rzecz ponownie odchrząknęła i spytała:

— „Wiecie, co znaczy zniszczony?”

— O, tak — ucieszył się Dorcas.

— „To właśnie czeka Sklep. Za dwadzieścia jeden dni.”

## Rozdział czwarty

I. „Biada wam, biada Żelaznotowarowym i Pasmanterii, biada Kapeluszwym, wam, Delikatesy i wam, Młodamodo, także biada. I wam, Gorseciarze, a nawet wam, Piśmienni. Wszystkim wam biada!”

II. „Albowiem Sklep jest zaledwie Miejscem wewnątrz Zewnątrz.”

III. „Biada wam, albowiem Arnold Bros (zał. 1905) rozpoczął Wyprzedaż Ostateczną. Wszystko Musi Pójść.”

IV. Oni zaś wyśmiali go, mówiąc: „Obcy tu jesteś i w niczym nie masz rozeznania, ba, nawet nie istniejesz.”

*Księga nomów, Dostawy, w. I-IV*

Odgłosy powolnej i niezrozumiałej aktywności ludzi były stłumione przez strop i chodniki, toteż w zakurzonych przejściach nomów przypominały grzmot odległej burzy.

— On nie może mieć racji — upierała się Babka Morkie, przy czym zupełnie nie przeszkadzało jej szybkie tempo marszu. — To miejsce jest za duże, żeby można je było zniszczyć. Pomyślcie logicznie.

— Mówiłem ci, no nie? — wysapał Torrit, dla którego tempo było zbyt duże, ale któremu zawsze wieści o kłopotach i stratach nadzwyczajnie poprawiały humor. — Zawsze mówili, że Rzecz wie różne rzeczy. Ja ci to mówiłem. A ty nic, tylko kazałaś mi się zamknąć.

— Właściwie to po co my tak gnamy? — uprzytomnił sobie nagle Masklin. — Dwadzieścia jeden dni to całkiem dużo czasu.

— Nie w polityce — odparł Dorcas ponuro.

— A myślałem, że jesteśmy w Sklepie.

Dorcas stanął tak gwałtownie, że Babka Morkie odbiła się od jego pleców.

— Pomyśl! — zażądał z wymuszoną cierpliwością Dorcas. — Jak ci się wydaje, co powinniśmy zrobić, jeśli Sklep miałby faktycznie zostać zniszczony?

— Wyjść na zewnątrz i... — zaczął Masklin bez namysłu.

— Ale większość nomów nie wierzy nawet w istnienie Zewnątrz! Prawdę mówiąc, ja też nie do końca jestem o tym przekonany, a podobno mam nadzwyczaj

elastyczny i ciekawski umysł. Z ich punktu widzenia po prostu nie ma żadnego miejsca, dokąd mogliby się udać! Rozumiesz wreszcie?

— Na zewnątrz jest cała masa miejsc, które. . .

— Tylko wtedy, gdy w nie wierzysz!

— Wcale nie, one naprawdę tam są!

— Obawiam się, że nomy są bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Zresztą i tak musimy się zobaczyć z opatem. To upierdliwy stary despota, ale całkiem bystry na swój sposób. Droga jest dość długa i lepiej by było, żebyśmy nie zwracali na siebie uwagi — dodał, spoglądając znacząco na pozostałych. — Mnie wszyscy z reguły zostawiają w spokoju, ale generalnie nie jest rozsądnie pałętać się bez powodu poza terenem własnego działu. Ponieważ wy nie macie żadnego terenu, po którym moglibyście spokojnie się pałętać. . . — Wzruszył wymownie ramionami, co miało oznaczać cały asortyment nieprzyjemności, jakie mogą przytrafić się „bezdziałowym pałętacjom”.

\* \* \*

Najpierw skorzystali z windy, która dowiozła ich do słabiej niż zazwyczaj oświetlonego poziomu. Nie było tam nikogo widać. W porównaniu z gwarem wcześniej poznanych działów było tu prawie nieprzyjemnie cicho i spokojnie. Według Masklina nawet spokojniej niż na polach, na których w końcu powinien panować spokój. Podpodłogowe poziomy natomiast powinny być pełne nomów.

Tę subtelną różnicę odczuli wszyscy. I odruchowo skupili się w grupkę.

— O, wielobarwne żaróweczki! — ucieszyła się nagle Grimma, chyba głównie po to, by przerwać dojmującą ciszę. — I błyskają! Nigdy dotąd nie błyskały.

— Co roku kradniemy ich całe pudełka w czasie Kiermaszu Świątecznego. — Dorcas nawet się nie obejrzał. — Ludzie wieszają je na drzewach.

— Po co?

— Skąd mam wiedzieć? Pewnie żeby je lepiej widzieć; z ludźmi to nigdy nic nie wiadomo.

— Wiesz, co to są drzewa! — ucieszył się Masklin. — Nie sądziłem, że macie je w Sklepie.

— Pewnie, że mamy. Duże zielone rzeczy z plastikowymi klujstwami tylko trochę bardziej tępymi niż igły. Niektóre nie są zielone, tylko błyszczące, najczęściej srebrne. Gdy jest Kiermasz Świąteczny, to przez to cholerstwo spokojnie chodzić nie można.

— Te na zewnątrz są naprawdę wysokie — rozmarzył się Masklin. — I mają takie nieduże liście, które co roku spadają, jak przestają być zielone.

Dorcas przyjrzał mu się podejrzliwie.

— Co znaczy „spadają”? — spytał nieufnie.



— No, zmieniają kolor i opadają na ziemię — powiedział nieco zaskoczony Masklin.

Pozostali poparli go zgodnym chórem. Ostatnio było wiele spraw, co do których nie byli pewni, ale co do tego, co działo się z liśćmi rok w rok, byli zgodni. I byli ekspertami.

— I tak jest każdego roku? — upewnił się Dorcas.

— Każdego.

— Fascynujące! I kto je z powrotem przykleja?

— Nikt. Same się w końcu pojawiają na drzewach.

— Całkiem same?

Ponownie zgodnie przytaknęli. Jeśli choć jedno nie ulega wątpliwości, trzeba się tego trzymać, żeby nie dać się zwariować.

— Same — potwierdził Masklin. — Nigdy co prawda nie dowiedzieliśmy się dlaczego. Tak się po prostu dzieje.

Dorcas podrapał się w zamyśleniu.

— No, nie wiem. . . — przyznał niepewnie. — To mi wygląda na wybitnie złą obsługę i brak koordynacji. Jesteście pewni. . .

Nie dokończył, gdyż nagle wyrosły wokół nich dziwne postacie. Zagroził im drogę brodaty jegomość z przepaską na jednym oku. W zębach trzymał nóż, przez co jego uśmiech był, łagodnie mówiąc, niesamowity.

— O rany — jęknął Dorcas.

— Kto to? — zainteresował się Masklin.

— Bandyci. W Gorsetach zawsze były problemy. — Dorcas westchnął, podnosząc ręce. — I są.

— Co to „bandyci”? — zdziwił się Masklin.

— Co to „gorsetach”? — zdziwiła się Grimma.

Dorcas wskazał palcem deski nad głową.

— Dział nad nami nazywa się Gorsety i Bielizna. Tyle że nikt się nim nie interesuje, bo tam nie ma nic użytecznego. Głównie jest różowy — wyjaśnił, a po namyśle dodał: — Czasami też elastyczny. . .

— Doopyteek aapo szyyyjee — zdenerwował się ten z nożem.

— Przepraszam, że co? — spytała uprzejmie Grimma.

— Powełałem doopyytek aapo szyyyjee!

— To przez ten nóż, tak mi się przynajmniej wydaje — wyjaśnił Masklin. — Jakbyś go wyjął z ust, to pewnie byśmy cię lepiej zrozumieli.

Brodaty błysnął wściekle dobrym okiem, ale po namyśle wyjął nóż z otworu gębowego.

— Powiedziałem: dobytek albo życie! — powtórzył.

Masklin spojrzał pytająco na Dorcasa.

— On chce, żebyście mu oddali wszystko, co macie — wyjaśnił ich przewodnik, nie opuszczając rąk. — Naturalnie, nie zabiją was, jeśli tego nie zrobicie, ale potrafią być naprawdę nieprzyjemni.

Masklin i pozostali zbili się w kupę i odbyli naradę, sytuacja bowiem przekraczała praktycznie granice ich pojmowania. Z trudem, ale byli w stanie zrozumieć okradanie ludzi z różnych rzeczy, natomiast to, żeby jeden nom kradł coś drugiemu, po prostu nie mieściło im się w głowach. Prawdopodobnie dlatego że tam, skąd pochodzili, nie bardzo było komu co ukraść.

— Czy oni nie rozumieją, jak się do nich normalnie mówi? — zdziwił się brodaty. — Przecież chyba mówię wyraźnie, jak nom do noma, nie?

— Musisz wziąć poprawkę na to, że są tu nowi — zasugerował Dorcas.

Narada najwyraźniej się skończyła, gdyż kupa nieco się rozluźniła, wypychając z siebie Masklina.

— Zdecydowaliśmy, że nic wam nie damy — oznajmił. — Macie pecha, bo lubimy to, co mamy.

I uśmiechnął się promiennie.

Brodaty też, to znaczy otworzył usta i pokazał zęby.

— Hm, no... — odezwał się Dorcas. — Tego akurat nie możecie powiedzieć, wiecie... no, nie można powiedzieć, że się nie chce być obrabowanym.

Po czym, widząc minę Masklina, szybko dodał:

— „Obrabowanym” to znaczy, że ktoś zabierze ci wszystko, co masz. Nie możesz powiedzieć, że nie chcesz, żeby tak się stało, i uznać sprawę za zakończoną.

— Dlaczego nie? — zdziwiła się Grimma.

— No bo... prawdę mówiąc, nie wiem... tradycja albo co...

Brodaty przerzucił nóż do drugiej ręki.

— Nowi to nowi — ocenił. — Niech tam już będzie moja strata. Brać ich!

Dwóch bandytów złapało Babkę Morkie.

Był to poważny błąd. Z zaskakującą szybkością, wskazującą na dużą wprawę, zaatakowana odwinęła się, rozległy się dwa głośne klaśnięcia i obaj napastnicy cofnęli się, trzymając się za obite policzki.

Ten, który próbował złapać Torrita, siadł, jakby spuszczone z niego powietrze, co też w pewnym sensie nastąpiło, gdyż Torrit trafił go kościstym łokciem w żołądek. Wymachujący nożem przed nosem Grimmy stwierdził nagle, że jego dłoń znalazła się w stalowym uścisku, i wypuścił nóż, padł na kolana i zaczął wydawać dźwięki dziwnie przypominające skomlenie.

Masklin pochylił się, złapał niższego prawie o głowę brodatego za koszulę i jedną ręką uniósł tak, by ich oczy znalazły się na jednym poziomie.

— Nie jestem do końca przekonany, czy dobrze rozumiemy ten dziwaczny zwyczaj — oświadczył. — Jestem za to pewien, że nom nie powinien krzywdzić innego noma. Nie sądzisz, że mam rację?

— Sądzę-sądzę-sądzę — oświadczył pospiesznie brodaty.

— W takim razie wydaje mi się, że byłoby dobrze, jakbyście sobie zaraz stąd poszli. Co ty na to? — zaproponował Masklin, puszczając go.

Brodaty opadł na czworaki, odnalazł nóż, wyszczerzył się nerwowo i pognął w półmrok. Jego kompani pospieszyli za nim najprędzej, jak potrafili, co nie wszystkim wychodziło równie szybko.

Dorcas trząsał się ze śmiechu.

— No, dobrze. — Masklin przyjrzał mu się podejrzliwie. — O co tu naprawdę chodziło?

Dorcas oparł się o ścianę i trwało dłuższą chwilę, nim się uspokoił.

— Naprawdę nie wiesz?

— Jakbym wiedział, to bym nie pytał — wytłumaczył mu cierpliwie Masklin.

— Gorseciarze to bandyci: zabierają innym różne rzeczy i kryją się tutaj, bo odszukanie ich wymagałoby więcej trudu, niż warte jest to, co zrabują. Ich ulubioną rozrywką jest straszenie przechodzących przez ten dział. Są bardziej dokuczliwi niż groźni.

— A dlaczego ten brodaty trzymał nóż w zębach? — zaciekawiała się Grimma.

— Bo przez to miał wyglądać groźnie, jak sędzę.

— Przez to wyglądał głupio — oceniła rzeczowo.

— Jak tylko który wróci, to popamięta moją rękę! — ostrzegła Babka Morkie. — Za drugim razem nie będę taka łagodna.

— Wątpię, żeby wrócili. — Dorcas zachichotał. — Musiało nimi nieźle wstrząsnąć, że niedoszłe ofiary ich pobiły: nie są do tego przyzwyczajeni. Wiecie, naprawdę zaczynam być ciekawy, jakie wrażenie zrobicie na opacie! Nie sędzę, abyśmy tu kiedykolwiek byli świadkami czegoś takiego... Jesteście jak... zaraz, jak się nazywa to, czego na zewnątrz jest tyle, że aż za dużo?

— Świeże powietrze? — podsunął Masklin.

— O, właśnie!

I tak dotarli do terenów Piśmiennych.

Dla księcia de Pasmantierii Piśmienni i Zewnątrz to prawie to samo. Nie ulegało także wątpliwości, iż głowy innych wielkich rodów również nie ufają posiadającym dziwne i tajemnicze umiejętności Piśmiennym. Przede wszystkim umieli czytać i pisać, a każdy, kto potrafi powiedzieć, co mówi kawałek papieru, musi być dziwny, a być może i nienormalny.

Po drugie — rozumieli wiadomości Arnolda Brosa (zał. 1905) ukazujące się w powietrzu. Co i tak nie zmieniało faktu, iż Masklin gotów był zgodzić się z ogólną opinią, że są nienormalni.

Bo dotąd nie spotkał nikogo, kto wierzyłby, że on, Masklin, nie istnieje. Debiut miał miejsce, gdy spotkał opata.

Zawsze dotąd był przekonany, że Torrit wygląda staro. Opat wyglądał tak, że przy nim Torrit był w kwiecie wieku i odznaczał się tężyzną fizyczną. Opierał się na dwóch kijach, za jego plecami zaś na wszelki wypadek stale znajdowała się

para młodych nomów. Twarz noma stanowiła jedną wielką zmarszczkę, z której wyglądała para oczu, niczym przenikliwe, czarne dziury.

Pozostali skupili się za Masklinem, co zaczynało wchodzić im w zwyczaj, gdy się czegoś bali.

Salę przyjęć opata stanowił spory obszar podpodłogi ograniczony kartonowymi ścianami i znajdujący się w pobliżu jednej z wind, przez co stale unosił się tutaj kurz.

Opat opadł ciężko na fotel, odczekał, aż młodzieńcy przestaną mu się kręcić przed nosem, po czym pochylił się i powiedział:

— Aha, del Ikates! Wynałazłeś coś ostatnio?

— Nie bardzo, Wasza Wysokość — odparł Dorcas. — Za to mam zaszczyt przedstawić...

— Nikogo nie widzę — oznajmił pospiesznie opat.

— Chyba oślepnął ze starości — oceniła Babka Morkie.

— I nikogo nie słyszę — dodał opat.

— Bądźcie cicho! — syknął Dorcas. — Ktoś musiał mu o was opowiedzieć i on teraz nie pozwoli sobie was zobaczyć! Wasza Wysokość, przynoszę dziwne wieści: Sklep ma zostać zniszczony!

Oświadczenie nie wywołało spodziewanego efektu — wywołało raczej niespodziewany: stojący za opatem młodzieńcy zachichotali, a sam opat uśmiechnął się lekko.

— No proszę — mruknął. — A kiedy to straszne wydarzenie ma nastąpić?

— Za dwadzieścia jeden dni.

— Dobrze, to masz teraz trzy tygodnie spokoju, a potem przyjdź i powiedz, jak było — zaproponował łagodnie opat.

Obaj młodzieńcy wyszczerzyli się radośnie.

— Wasza Wysokość, to nie...

Dorcas urwał, gdyż opat władczym gestem uniósł pokręconą dłoń.

— Jestem pewien, że wiele wiesz o elektryczności i o wynajdywaniu, Dorcas, ale musisz zdawać sobie sprawę, że za każdym razem, gdy jest Wielka Wyprzedaż, słabsi psychicznie twierdzą, że nadchodzi koniec Sklepu. Tak się dziwnie składa, że ani razu nie nadszedł.

Masklin poczuł na sobie wzrok opata i stwierdził, że jak na kogoś, kogo nie ma, przyciąga zadziwiająco dużo uwagi.

— Mam raczej silną konstrukcję i nie chodzi mi o Wielką Wyprzedaż — oznajmił z uporem Dorcas.

— Tak? To skąd ta rewelacja? Elektryczność ci powiedziała?

— Teraz! — Dorcas szturchnął Masklina pod żebra.

Masklin zrobił trzy kroki do przodu, położył Rzec na podłodze i szepnął:

— Teraz!

— „Znajduję się w obecności przywódców społeczności?” — upewnił się Sześcian.

— Inaczej się tego nie da ująć — potwierdził Dorcas.

Opat w milczeniu wpatrywał się w Rzec.

— „W takim razie będę się starał mówić prostymi słowami. Jestem komputerem nawigacyjno-prowadzącym. Komputer to maszyna, która myśli. Mogę widzieć i słyszeć różne rzeczy pomagające mi w myśleniu, a do działania niezbędna jest mi elektryczność. Czasami elektryczność niesie różne wiadomości; muszę je wtedy słyszeć i zrozumieć. Czasami takie wiadomości wędrują po drutach zwanych przewodami telefonicznymi, czasem są w innych komputerach. W Sklepie jest komputer, który płaci ludziom pensje. Potrafię słyszeć, co on myśli. A on myśli tak: wkrótce nie będzie Sklepu, nie będzie rachunków, nie będzie wpłat i wypłat. Przewody telefoniczne niedawno przeniosły następującą wiadomość: Grimethorpe Demolition Co.? Chcielibyśmy przedyskutować ostateczne uzgodnienia co do zniszczenia całej konstrukcji. Towaru nie będzie do dwudziestego pierwszego...”

— Świetna rozrywka — ocknął się opat. — Jak to zrobiłeś?

— Ja tego nie zrobiłem! — sprzeciwił się Dorcas. — Oni to przynieśli ze sobą... .

— Jacy „oni”? — Opat popatrzył przez Masklina.

— Mam ochotę podejść i pociągnąć go za nos — odezwała się niespodziewanie Babka Morkie.

— Ciekawe, co by się wtedy stało?

— Coś nadzwyczaj bolesnego — odparł Dorcas.

— To dobrze!

— Dla ciebie!

Opat powoli i niezbyt pewnie wstał.

— Jestem tolerancyjnym nomem — oznajmił. — Uważam, że twoje spekulacje na temat Zewnątrz stanowią dobrą rozrywkę umysłową i nigdy przeciwko nim nie występowałem. Nie byłibyśmy nomami, gdybyśmy czasami nie pozwalali umysłom na różne rozrywki i dziwactwa. Ale nie będę tolerował twierdzenia, że dziwactwo jest prawdziwe. Gadająca zabawka ma być dowodem... Bzdura! Na Zewnątrz nie ma niczego i nikt tam nie żyje! Życie w innych Sklepach, też coś! Audiencja jest skończona! Żegnam! — I jakby dla dodania wagi swym słowom, dzielił kijem Rzec.

Sześcian bzyknął, chrząknął i oświadczył:

— „Mogę wytrzymać nacisk dwóch tysięcy pięciuset ton.”

Nikt jednak nie zwrócił na to większej uwagi.

— No już! Nie ma was! — krzyknął opat i Masklin ze zdumieniem zauważył, że stary nom się trzęsie.

To właśnie było w Sklepie najdziwniejsze — jeszcze kilka dni temu w sumie wystarczyło wiedzieć niewiele: głównie to, co się wiąże z dużymi, głodnymi stworzeniami i jak ich unikać. Torrit nazywał to sztuką przetrwania. Dopiero gdy zjawili się w Sklepie, Masklin zrozumiał, że potrzebna jest tu inna wiedza, składająca się z całej masy rzeczy, które w pierw trzeba zrozumieć, by móc przetrwać wśród innych nomów. Przede wszystkim: Być bardzo ostrożnym, gdy mówi się innym to, czego nie chcą słyszeć. Oraz: Myśleć, że może się mylić, powoduje, iż nom robi się bardzo zły.

Niżsi rangą Piśmienni, nazywani „kapłanami”, wyprowadzili ich ku windzie. Robili to szybko i z wprawą, ale żaden nie dotknął ani nawet nie spojrzął na nikogo z wyprowadzanych poza Dorcasem. Nie przeszkodzili jednak Torritowi w zabranii ze sobą Rzeczy.

W końcu Babka Morkie straciła resztki cierpliwości, której i tak nigdy nie miała zbyt wiele, i złapała najbliższego kapłana za czarny przyodziewek. Uniosła go tak, że stanął na palcach i znalazł się z nią dokładnie nos w nos. Biedaczek omal zeza nie dostał, próbując za wszelką cenę jej nie zauważyć. Ale nie z Babką Morkie takie numery — skoro to nie wystarczyło, dziabnęła go złośliwie kościstym palcem pod żebra, w czym miała dużą wprawę.

— Czujesz mój palec? — spytała rzeczowo. — To co: jestem czy mnie nie ma?

— Tubylec! — prychnął Torrit.

Dziabnięty znalazł najprostsze wyjście z sytuacji — miauknął i zemdlął.

Babka Morkie puściła go z obrzydzeniem.

— Chodźmy stąd! — zaproponował pospiesznie Dorcas, ledwie przebrzmiał łomot ciała stykającego się z deskami. — Podejrzewam, że jedynie mały kroczek dzieli niewidzenie kogoś od zyskania pewności, że on przestał istnieć.

— Nie rozumiem — dziwiła się Grimma. — Jak oni mogą nas nie widzieć?

— Bo nie chcą! — odezwał się Masklin ponuro. — Bo wiedzą, że jesteśmy z zewnątrz.

— Ale inni nas widzą! — Grimma podniosła głos, czemu Masklin się nie dziwił: też zaczął się czuć nieswojo i trochę niepewnie.

— Pewnie nie wierzą, że naprawdę jesteśmy z zewnątrz... albo nie wiedzą, w co mają wierzyć.

— Mam dość! — oświadczył nagle Torrit. — Ja nie jestem z żadnego zewnątrz, to oni wszyscy są z wewnątrz!

— Ależ... to znaczy, że opat faktycznie jest przekonany, że jesteśmy z wewnątrz! — powiedziała nagle Grimma. — Czyli wie, że to prawda i udaje, że nas nie widzi! To gdzie tu jest sens?

— Taka już jest natura nomów — stwierdził sentencjonalnie Dorcas.

— Nie wydaje mi się, żeby to było aż takie ważne — zauważyła Babka Morkie z ponurą satysfakcją. — Za trzy tygodnie wszyscy będą na zewnątrz i dobrze im

tak. Niech sobie chodzą, nie zauważając się nawzajem. Ciekawe, jak im się będzie podobało coś takiego... A, przepraszam, panie opat, że się o pana potknąłem, ale pana nie widziałem, rozumie pan, no nie...

— Jestem pewien, że zrozumieliby, gdyby tylko posłuchali. — Masklin mówił bardziej do siebie niż do innych.

— Przepraszam! — rozległo się cicho z tyłu.

Wszyscy odwrócili się jak na komendę. Na środku pustego przejścia stał samotny Piśmienny — młody, tłuściutki, z lokowatymi włosami i speszoną miną — i nerwowo miał kawałek czarnej szaty.

— Chcesz czegoś ode mnie, to mów — zaproponował Dorcas niezbyt uprzejmie.

— Ja... no... ja chciałem porozmawiać... no... z no, z przybyszami z zewnątrz — wydukał Piśmienny, kiwając lekko głową w kierunku Torrita i Babki Morkie.

— Masz lepszy wzrok niż inni — zauważył Masklin.

— No... tak. — Piśmienny obejrzał się za siebie z niepokojem. — Ale chciałbym porozmawiać prywatnie.

Przeszli do kąta za wspornikiem.

— Tak? — spytał wyczekująco Masklin.

— Ta... no, rzecz, która mówi... Wierzycie jej?

— Myślę, że ona nie potrafi tak naprawdę kłamać — powiedział Masklin.

— Co to właściwie jest? Rodzaj radia?

Masklin spojrzał błagalnie na Dorcasa.

— To coś do robienia hałasu — wyjaśnił ten, robiąc mądrą minę.

— Naprawdę? — zdziwił się Masklin. — Prawdę mówiąc, nie wiemy, co to jest. Po prostu mamy to od naprawdę długiego czasu. To mówi, że jest z nami od jeszcze dłuższego czasu. Przez pokolenia opiekowaliśmy się nim i pilnowaliśmy go, prawda, Torrit?

Stary nom przytaknął energicznie.

— Mój ojciec opiekował się przede mną, a jego ojciec przed nim, a poprzednio ojciec jego ojca i brat, a jeszcze wcześniej ich stryj...

Piśmienny poskrobał się po ciemieniu.

— Niedobrze — oświadczył poważnie. — Ludzie ostatnio zachowują się bardzo dziwnie, a w Sklepie pojawiły się znaki, jakich nigdy dotąd nie widziano. Nawet opat jest przestraszony, bo nie może zrozumieć, czego oczekuje od nas Arnold Bros (zał. 1905). Więc, no... jestem asystentem opata, rozumiecie... nazywam się Gurder. Moim zadaniem jest wykonywanie tego, czego opat sam nie może zrobić, więc... no...

— Więc co? — zniecierpliwił się Masklin.

— Możecie pójść ze mną? Proszę.

— A jest tam jedzenie? — Babka Morkie zawsze miała dar do trafiania w sedno.

— Każemy przysłać, na co tylko będziecie mieli ochotę — zapewnił pospiesznie Gurder. — Proszę, chodźcie za mną.



## Rozdział piąty

I. A przecież byli tacy, co mówili: „Widzieliśmy w Sklepie nowe Znaki Arnolda Brosa (zał. 1905) i kłopotujemy się, albowiem nie rozumiemy ich.”

II. „Powinny bowiem być Kiermasze Świąteczne, jako że Pora najwłaściwsza ku temu, Znaki zaś nie są znakami Kiermaszy Świątecznych.”

III. „Także Styczniowa Wyprzedaż, Znów do Szkoły, Wskok w Wiosenną Modę ni Letnia Obniżka takowych znaków nie mają. Ani żadna inna Okazja w żadnej Porze.”

IV. „Są zaś Znaki Wyprzedaży Ostatecznej, której nigdy nie było, co martwi nas szczerze.”

*Księga nomów, Zażalenia, w. I-IV*

Gnący się w uprzejmościach Gurder poprowadził ich w głąb terytorium Piśmiennych. Dominował tu specyficzny zapaszek, a wszędzie stały sztaple czegoś, co — jak się Masklin dowiedział — nazywało się książkami. Co prawda nie do końca zrozumiał, na co one komu są potrzebne, ale Dorcas był przekonany o ich niezwyklej ważności.

— Mocne rzeczy w nich są, przydałyby się, gdyby tylko znać ich zastosowanie, a Piśmienni strzegą ich jak, no...

— Jak czegoś dobrze strzeżonego? — upewnił się Masklin.

— Właśnie. I uporczywie w nie patrzą. Nazywają to czytaniem. Tylko nic z tego nie rozumieją.

Rzecz podróżująca w objęciach Torrita chrząknęła, błysnęła kilkoma światełkami i spytała:

— „Książki są składnicą wiedzy?”

— Podobno w nich jest masa wiedzy — przytaknął Dorcas.

— „W takim razie musicie mieć książki. To ważne.”

— Piśmienni są do nich strasznie przywiązani. Mówią, że jeśli się nie wie, jak należy je właściwie czytać, to mogą zapalić umysł.

— Tutaj, proszę. — Gurder odsunął kartonową zasłonę.

W pomieszczeniu ktoś siedział sztywno na stercie poduszek, tyłem do drzwi.

— A, jesteś, Gurder. To dobrze.  
Był to opat.  
Masklin szturchnął Gurdera.  
— Za pierwszym razem było wystarczająco źle, po co powtórka?  
Gurder spojrział na niego na w pół prosząco, na w pół wyjaśniająco.  
— Zająłeś się przysłaniem jedzenia? — spytał opat.  
— Właśnie miałem. . .  
— To zajmij się zaraz, mój chłopcze.  
— Tak jest.  
Gurder ponownie posłał Masklinowi desperackie spojrzenie i wymknął się z pomieszczenia.  
Zapadła długa cisza; Masklin i pozostali zastanawiali się, co będzie dalej.  
W końcu opat przerwał milczenie:  
— Mam prawie piętnaście lat i jestem nawet starszy niż pewne działy w Sklepie. Widziałem wiele dziwnych rzeczy. Wkrótce spotkam Arnolda Brosa (zał. 1905). Mam nadzieję, że byłem dobrym i obowiązkowym nomem. Jestem tak stary, że niektórzy sądzą, iż w pewien sposób jestem Sklepem, i obawiają się, że gdy mnie zabraknie, skończy się Sklep. Teraz wy przychodzicie i mówicie mi, że tak się stanie. Kto u was rządzi?  
Masklin spojrział na Torrita, ale wszyscy inni spojrzeli na niego.  
— Wychodzi, że ja — przyznał niechętnie. — Przynajmniej chwilowo.  
— Właśnie, chwilowo — potwierdził z ulgą Torrit. — Wyznaczam ci taką funkcję. Bo tak w ogóle to ja jestem wodzem.  
Opat skinął głową.  
— Rozsądna decyzja — ocenił i Torrit aż pojaśniał z dumy. — Zostań tu razem z tym mówiącym pudełkiem — polecił opat Masklinowi. — Resztę proszę o przejście do sąsiedniej sali. Powinno tam już być coś do jedzenia. Posilcie się i poczekajcie.  
— Więc. . . — powiedział Masklin. — Nie.  
Zapadła cisza.  
A potem opat spytał naprawdę cicho:  
— Dlaczego nie?  
— Bo jesteśmy razem. Od początku, przez cały czas i nie chcemy być rozdzieleni.  
— Chwalebne postanowienie, ale przekonacie się, że życie ma trochę inne prawa. Nikt nie chce was rozdzielać, a poza tym co ja ci mogę zrobić?  
— Pomów z nim, Masklin — odezwała się Grimma. — A jakby co, krzyknij. Nie będziemy daleko.  
Masklin zgodził się z nią, choć niechętnie.  
Gdy pozostali wyszli, opat odwrócił się — z bliska był jeszcze starszy. Mógł być pradiadkiem Babki Morkie! Opat uśmiechnął się, co przyszło mu z wyraż-

nym trudem, zupełnie jakby mu wytłumaczono, jak to się robi, ale nigdy nie miał okazji nabrać wprawy.

— Jak sądzę, nazywasz się Masklin — odezwał się.

Masklin nie zaprzeczył.

— Nic nie rozumiem! — stwierdził. — Dziesięć minut temu twierdziłeś, że nie istnieję, a teraz normalnie ze mną rozmawiasz!

— Nie ma w tym absolutnie niczego dziwnego — wyjaśnił pobłaźliwie opat. — Dziesięć minut temu to było oficjalnie, teraz rozmawiamy prywatnie. Nie spodziewałeś się chyba, że pozwolę, aby wszyscy się dowiedzieli, że cały czas się myliłem?! Od pokoleń opaci zaprzeczają istnieniu jakiegokolwiek Zewnątrz, nie mogłem więc ot, tak sobie nagle stwierdzić, że się mylili. Wszyscy by pomyśleli, że zwariowałem.

— A pomyśleliby?

— Bez wątpienia. To polityka. Opaci nie mogą zbyt często zmieniać zdania. Sam się przekonasz, że najważniejszą cechą przywódcy nie jest to, czy ma rację, czy się myli, ale to, czy jest pewien swego. Inaczej ci, którym przewodzisz, nie będą wiedzieli, co myśleć. Naturalnie, jeśli się ma przy tym rację, to wybitnie pomaga. — Opat siadł wygodniej. — Kiedyś w Sklepie szalały krwawe wojny. Naprawdę krwawe. Nom walczył z nomem. . . Było to dawno temu, ale zawsze znajdzie się ktoś przekonany, że jego ród powinien rządzić całym Sklepem. Bitwa o Winę Towarową, kampania o Dostawy, wojny o Półpiętrze. . . to wszystko już na szczęście przeszłość. A wiesz dlaczego?

— Nie.

— Bo wmieszaliśmy się my, Piśmienni. Używając sprytu, zdrowego rozsądku i dyplomacji, doprowadziliśmy do tego, że pozostali zrozumieli, czego od nich oczekuje Arnold Bros (zał. 1905). A on chce, by nom z nomem żyli w pokoju. Załóżmy teraz, że wtedy, dziesięć minut temu, powiedziałbym, że wam wierzę. Wszyscy pomyśleliby, że na starość zwariowałem. — Opat zachichotał. — A potem zaczęliby się zastanawiać, czy przypadkiem Piśmienni nie mylą się od początku i regularnie. Spowodowałyby to panikę i kto wie, co jeszcze, a do tego nie można dopuścić. Musimy utrzymać zjednoczenie nomów, a sam wiesz, że przy najmniejszej okazji sprzeczą się o wszystko.

— A owszem. I zawsze wszystkiemu jesteś winien ty, i zawsze wszyscy czekają, co zrobisz w tej sprawie.

— Zauważyłeś? — Opat ucieszył się. — Sądzę, że masz właściwe kwalifikacje na przywódcę.

— Mocno w to wątpię!

— A nie mówiłem?! Nie chcesz nim być, co jest najzupełniej normalne: ja też nie chciałem zostać opatem. — Pobębnił chwilę palcami po lasce, przyjrzał się krytycznie Masklinowi i dodał: — Nomy są znacznie bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Należy zawsze o tym pamiętać.

— Będę — obiecał Masklin, nie bardzo wiedząc, co by innego powiedzieć.  
— Nie wierzysz w Arnolda Brosa (zał. 1905), prawda. — Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie.  
— No... eee...  
— Widziałem go, gdy byłem podrostkiem. Wspiąłem się aż do Rachuby, sam, i widziałem go. Siedział przy biurku i pisał.  
— Tak?  
— Miał brodę.  
— Aha.  
Opat znów zajął się bębnieniem po lasce. Wyglądało, jakby się poważnie nad czymś zastanawiał, nie mogąc się zdecydować. W końcu spytał:  
— Gdzie był twój dom?  
Masklin mu powiedział. Zabawne: w opowieści wyglądało to znacznie lepiej niż w rzeczywistości — więcej lata niż zimy, a orzechów niż szcurów. Fakt: nie było bananów, dywanów i prądu, ale było jasno i dużo świeżego powietrza. Rzadko pojawiał się deszcz i mróz. Opat słuchał go uprzejmie i nie przerywał.  
— Było znacznie przyjemniej, kiedy było nas więcej — zakończył Masklin. — Moglibyśmy tam wszyscy zamieszkać, kiedy Sklep zostanie zniszczony.  
— Nie jestem pewien, czy byłbym w stanie się dostosować. — Opat uśmiechnął się, co tym razem poszło mu znacznie łatwiej. — I nie jestem pewien, czy chcę uwierzyć w twoje Zewnątrz. Wygląda na to, że jest zimne i niebezpieczne, a poza tym wybieram się w bardziej tajemniczą podróż. A teraz proszę, wybac mi, ale muszę odpocząć. — Stuknął laską w podłogę i w drzwiach pojawił się Gurder. — Daj mu coś do zjedzenia i oprowadź po okolicy — polecił. — Jeśli będzie okazja, naucz go, ile się da, a potem wróćcie tu obaj. Aha, Masklin, zostaw tę czarną skrzynkę, chcę się więcej o niej dowiedzieć. Postaw ją na podłodze, jeśli laska.  
Masklin wykonał polecenie. Opat szturchnął Rzeczą laską:  
— Czarny sześcianie, czym jesteś i jaki jest cel twego istnienia? — spytał uroczyście.  
— „Jestem pokładowym komputerem nawigacyjnym statku kosmicznego Swan. Mam wiele funkcji i przeznaczeń. Obecnie najważniejszym moim zadaniem jest doradzać i pomagać tym nomom, którzy uratowali się z katastrofy statku zwiadowczego na tej planecie piętnaście tysięcy lat temu.”  
— On tak gada cały czas — wtrącił przepaszająco Masklin.  
— O których nomach przed chwilą mówiłeś? — Opat zignorował jego uwagę.  
— „O wszystkich nomach.”  
— I to jest twoje jedyne zadanie?  
— „Ostatnio otrzymałem nowe: zapewnić nomom bezpieczeństwo i umożliwić im powrót do domu.”

— Godne pochwały — stwierdził opat i dodał, spoglądając na Gurdera z wyrzutem: — A wy co tu jeszcze robicie?! Gdy wrócić, będę miał dla was małe zadanie, a teraz już was nie ma!

\* \* \*

„Naucz go, ile się da” — tak powiedział opat, toteż Gurder rad nierad zabrał się do roboty.

Zaczął od „Księgi nomów” składającej się ze zszytych, zapisanych odręcznie bibułek.

— Ludzie używają ich do papierosów — wyjaśnił Gurder i przeczytał pierwszych kilkanaście wersów.

Wszyscy słuchali go w ciszy, którą przerwała dopiero Babka Morkie:

— A więc ten cały Arnold Bros. . .

— . . . (zał. 1905) — dodał z naciskiem Gurder.

— Niech mu będzie — zgodziła się Babka Morkie. — Wybudował Sklep właśnie dla nomów?

— Hm. . . ttak. — Gurder nieco stracił na pewności siebie.

— To co tu było przedtem?

— Miejsce. — Gurder rozejrzał się niespokojnie. — Widzicie, opat twierdzi, że na zewnątrz Sklepu nie ma nic!

— Ale my przybyliśmy. . .

— On twierdzi, że opowieści o Zewnątrz to jedynie bujdy.

— To co?! Gdy mu opowiadałem o tym, gdzie żyliśmy, to słuchał bajki i w duchu śmiał się ze mnie? — zdenerwował się Masklin.

— Czasami trudno jest się zorientować, w co on naprawdę wierzy — przyznał Gurder. — Myślę, że najbardziej wierzy opatom.

— A ty wierzysz nam, prawda? — spytała Grimma.

Gurder przytaknął po krótkim wahaniu.

— Zawsze się zastanawiałem, dokąd się udają ciężarówki i skąd się biorą ludzie — przyznał. — Tylko o tym nie wspominajcie, bo opat się strasznie złości, kiedy o tym słyszy. Poza tym nastąpiła nowa pora, a to coś dziwnego. Część z nas stale obserwuje ludzi, bo sporo o takiej okazji jak nowa pora można się dowiedzieć z ich zachowania. A teraz jest dziwna pora. . .

— Jak możecie mieć pory, skoro nic nie wiecie o pogodzie? — zdziwił się Masklin.

— Pogoda nie ma nic wspólnego z porami. Czekać, zawołałam kogoś, żeby zaprowadził starszych do Emporium z Przysmakami, i coś wam dwójgu pokażę. To wszystko jest takie dziwne. . . ale przecież Arnold Bros (zał. 1905) nie zniszczyłby Sklepu. Prawda, że nie?

## Rozdział szósty

III. I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Niechaj staną się Znaki, by każdy wiedział, jak właściwie winno się prowadzić Sklep.”

IV. „Na Ruchomych Schodach niechaj stanie się znak: Psy i Wózki trzeba nieść.”

V. I wzburzył się Arnold Bros (zał. 1905), albowiem wielu nie nosiło ni psa, ni wózka.

VI. „Na Windach niechaj stanie się Znak: Ta Winda jest na dziesięć Osób.”

VI. I wzburzył się Arnold Bros (zał. 1905), albowiem często Windy przewoziły ledwie dwie — trzy Osoby.

VIII. I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Zaprawdę Ludzie Głupcami są, skoro nie potrafią pojąć prostego języka.”

*Księga nomów, Administracja, w. III-VIII*

Był to długi marsz przez zatłoczony podpodłogowy świat.

Okazało się, że Piśmienni mogą chodzić, gdzie chcą, a członkowie innych działów nie mają nic przeciwko temu. Piśmienni bowiem nie byli działem w normalnym znaczeniu tego słowa, głównie dlatego że nie było wśród nich kobiet i dzieci.

— To co, wszyscy jesteście ochotnikami czy jak? — zainteresował się Masklin.

— Jesteśmy wybierani — poprawił go Gurder. — Kilku najinteligentniejszych chłopców z każdego działu raz w roku. Kiedy ktoś zostanie Piśmiennym, musi zapamiętać, skąd pochodzi, i działać dla dobra całego Sklepu.

— To dlaczego kobiety nie mogą zostać Piśmiennymi? — spytała zdziwiona Grimma.

— Przecież powszechnie wiadomo, że kobiety nie mogą czytać — zdziwił się Gurder. — To naturalnie nie ich wina, ale ich umysły za bardzo się rozgrzewają. Tak się zdarza, jeśli nie są przyzwyczajone do myślenia: za duże obciążenie.

— No proszę — mruknęła Grimma i Masklin przyjrzał jej się uważnie kątem oka.

Słyszał już taki niewinny ton w jej wykonaniu — znaczyło to zawsze, że będą kłopoty. Z reguły poważne.

Kłopoty kłopotami, zadziwiające było w każdym razie wrażenie, jakie Gurder wywierał na nomy — odsuwali się, dając mu przejście, kłaniali się lekko, a kilka matek uniosło nawet dzieci, pokazując im go. Nawet strażnicy na granicach działów salutowali mu z szacunkiem.

A wszędzie wokół Sklep żył jak co dzień, w gwarze i tłoku wywoływanym przez tysiące nomów. Masklin poprzednio nie zdawał sobie sprawy nie tylko z tego, że nomów może być aż tyle, ale że w ogóle istnieją tak wielkie liczby. Przypomniały mu się samotne polowania w rowach i na polach przy autostradzie. Wokół była tylko ziemia i kamienie, a niebo wydawało się odwróconą miską przykrywającą okolicę, w środku której był sam.

Teraz miał nieodparte wrażenie, że gdyby się gwałtownie odwrócił, to by kogoś potrafił. I zastanawiał się, jak by to było, gdyby cały czas żył tu i nigdy nie znał innej okolicy. I nigdy nie byłoby mu zimno, mokro, głodno czy strasznie.

Jak tak dalej pójdzie, to zaczniesz myśleć, że nigdy nie mogło być inaczej. . .

Ledwie zauważył, że wspięli się po jakiejś pochyłości i przez kolejną dziurę w ścianie weszli do pustego o tej porze wnętrza Sklepu. Była bowiem noc, czyli Pora Zamknięcia, ale i tak na niebie, które powinien nauczyć się nazywać sufitem, płonęły jaskrawe światła.

— To dział de Pasmantarii — wyjaśnił Gurder. — Widzicie ten wiszący znak?

Masklin wytężył wzrok i przytaknął — w sporej odległości pod sufitem wisiała wielka biała płachta z czerwonymi kształtami, które — jak się niedawno dowiedział — nazywają się „litery”.

— Tam powinno być napisane Kiermasz Świąteczny, bo teraz jest pora po temu. Przedtem była Letnia Okazja, a jeszcze wcześniej Wskocz w Wiosenną Modę, to teraz jest pora Kiermaszu Świątecznego, a zamiast tego jest Ostateczna Wyprzedaż. Wszyscy się zastanawiamy, co to może oznaczać.

— Tak mi właśnie przyszło do głowy — głos Grimmy dosłownie ociekał ironią — przypadkiem, ma się naturalnie rozumieć, żeby nikt się nie obawiał, że mi się mózg zagotuje, ale czy to nie znaczy, że wszystko ma zostać wyprzedane?

— A, nie, bo to nie może być tak proste. Widzicie, tych znaków nie można odczytywać dosłownie, bo przecież nikt nie wskakuje w jakąś modę. Uważnie to obserwowaliśmy, i to przez kilka lat z rzędu, i gwarantuję, że nikt w nic nie wskakiwał. Kiedyś też pojawił się znak Pałaca Obniżka i choć dokładnie przeszkaliśmy okolicę, nigdzie nic się nie paliło.

— A co mówią inne znaki? — zainteresował się Masklin, dla którego pojęcie „ostateczna” było jeszcze jasne, ale „wyprzedaż” — było zupełnie niezrozumiałe.

— Ten tu mówi: Wszystko Musi Iść, ale on się pojawia co roku. W ten sposób Arnold Bros (zał. 1905) przypomina nam, że musimy prowadzić właściwe życie, bo kiedyś wszyscy umrzemy i odejdziemy. Tamte dwa wiszą cały czas i nikt tak

naprawdę w nie nie wierzy, choć lata temu toczyły się o nie zaciekle wojny. To zwykłe przesady, bo nikt nigdy nie widział potwora zwanego Drastyczną Obniżką, który ponoć chodzi po Sklepie, szukając złych nomów. To coś, czym można dzieci straszyć, nic więcej. Ale jest coś innego, dziwnego. Widzicie te meble pod ścianami? To są regały i mają półki, te poziome deski. Ludzie zabierają z nich różne rzeczy, potem układają inne albo takie same. Ale ostatnio... ostatnio tylko zabierają.

Faktycznie, część półek była pusta.

Masklin nie znał się specjalnie na ludzkich zachowaniach. Ludzie są ludźmi, podobnie jak krowy są krowami. Naturalnie, zachowania krów różnią się od zachowań ludzi — ci ostatni choćby nie chodzą na czworakach i nie jedzą trawy (ale gdyby się okazało, że też tak robią, nie byłby specjalnie zaskoczony), jednakże tak w wypadku jednych, jak i drugich nie był w stanie zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Być może krowy albo ludzie wiedzą, ale dla niego ich postępowanie nie miało sensu.

— Wszystko musi iść — mruknął.

— Musi, ale nie idzie — dodał Gurder. — Rozumiecie teraz, o co mi chodzi? To nie może oznaczać, że rzeczy z półek czy same półki mają dokądś iść, bo nie pójdą. Poza tym Arnold Bros (zał. 1905) by na to nie pozwolił. Tylko co on chciał przez to powiedzieć?

— Nie wiem — przyznał Masklin. — Dopóki tu nie przyjechaliśmy, nigdy o nim nie słyszałem.

— A tak, z zewnątrz, mówiliście... — powiedział cicho Gurder. — To brzmi bardzo interesująco... I miło.

Grimma ujęła Masklina za rękę i lekko ją ścisnęła.

— Tu też jest miło — powiedziała ku jego zaskoczeniu. — No bo jest! Inni też tak myślą. Jest ciepło, jedzenia w bród, i to bardzo dziwnego, i nieważne, że mają te dziwaczne pomysły co do kobiecych umysłów. Gurder, dlaczego nie zapytacie Arnolda Brosa (zał. 1905), co się tu dzieje?

— Ależ... — Gurdera aż zatkało. — Nie powinniśmy tego robić!

— Dlaczego? — zdziwił się Masklin. — Skoro on tu rządzi, byłoby to logiczne posunięcie. Widziałeś go kiedykolwiek?

— Opat widział. Raz. Gdy był młody, wspiął się aż do Rachuby, ale nie chce o tym opowiadać.

Masklin zastanawiał się nad tymi rewelacjami w drodze powrotnej. Polityka i religia były dlań nowościami, gdyż dotąd świat był po prostu zbyt duży, by przejmować się czymś takim. Teraz natomiast żywił poważne wątpliwości co do Arnolda Brosa (zał. 1905). Skoro zbudował Sklep dla nomów, to dlaczego nie był on odpowiednich dla nich rozmiarów? Zdawał sobie jednak sprawę, że nie jest to najprawdopodobniej właściwy czas, by zadawać takie pytania.



Poza tym uważał, że jeśli myśli się wystarczająco intensywnie, powinno się samemu rozwiązać wszelkie problemy. Choćby wiatr — zawsze dziwiło go, skąd się bierze, dopóki nie zrozumiał, że wywołują go kołyszące się gałęzie drzew.

\* \* \*

Resztę grupy spotkali w pobliżu pomieszczeń opata. Wszyscy byli zajęci konsumpcją dostarczonego niedawno pożywienia. Babka Morkie kończyła właśnie przekonywać parę ogłupiałych Piśmiennych, że te brzoskwinie nie umywają się do tych, które zwykła łapać po krótkim pościgu w domu. Prawie ich przekonała.

— Wszyscy was szukali — powitał ich Torrit, dojadając kawałek placka. — Ten cały opat chce was widzieć. Wiesz, Masklin, jaki tu mają miękki chleb? Wcale nie trzeba na niego pluć tak jak w...

— Może przestań się rozwodzić nad chlebem! Normalny i tyle! — przerwała mu gwałtownie Babka Morkie.

— Mogę przestać, ale to i tak prawda — burknął Torrit. — Nigdy nie jedliśmy takich dobrych rzeczy. I parówek nie trzeba najpierw upolować, i chleba nie trzeba szukać w koszach na śmieci...

Teraz i pozostali spojrzeli na niego zupełnie jednoznacznie.

— Zamknij się, stary durniu! — nie wytrzymała wreszcie Babka Morkie.

— Cóż, za to tu nie ma lisów — spróbował ratować sytuację. — Takich jak ten, co to Merta i...

Dopiero jej wściekły wzrok zadziałał, ale też nie do końca: Torrit poblądł, dokończył jednak z determinacją:

— To nie było tylko słoneczne lato — szepnął, potrząsając głową. — Tylko to chciałem powiedzieć: nie tylko słoneczne lato!

— Co on ma na myśli? — spytał uprzejmie Gurder.

— On nie ma myśli! — warknęła Babka Morkie.

— Och! — Gurder zastanowił się przez moment i poinformował Masklina: — Wiem, co to jest lis. Potrafię całkiem dobrze czytać i czytałem taką książkę, zaraz... „Nasi futerkowi przyjaciele”. Taki chyba miała tytuł... Lis to zwinnie dra pieżnik rudego koloru, żywiący się owocami i małymi gryzoniami. Przepraszam, co wam się stało?

Torrit zakrztusił się chlebem, który jadł w milczeniu, a Babka Morkie stała się dziwnie małomówna. Pozostali zaś, bladzi i milczący, skupili się na akcji ratunkowej, waląc Torrita w plecy.

Masklin ujął Gurdera pod ramię i w nie znoszący sprzeciwu sposób czym prędzej odprowadził kawałek.

— To przez to, co powiedziałem? — upewnił się Gurder.

— W pewien sposób. Umówmy się, że na razie nie będziemy rozmawiać o lisach, dobrze? A poza tym opat chciał nas widzieć, prawda?

\* \* \*

Opat siedział nieruchomo, trzymając na kolanach Rzec i wpatrując się w nicłość. Nie zwrócił uwagi na ich wejście, od niechcienia stukając czasem palcem w czarną ściankę sześcianu.

— Jesteśmy — odezwał się po chwili Gurder.

— Hmm?

— Podobno mieliśmy się zjawić, jak tylko wrócimy — przypomniał młodzieńiec. — No, to jesteśmy.

— Ach! — Opat najwyraźniej się ocknął. — Młody Gurder, tak?

— We własnej osobie.

— To dobrze.

I znów zapadła cisza.

Gurder chrząknął uprzejmie.

— Mieliśmy się zjawić, jak tylko wrócimy — przypomniał.

— Fakt. — Opat skinął głową. — Podejdz no tu, młodzieńcze... nie ty, Gurder, tylko ty z dzidą.

— Ja? — zdziwił się Masklin.

— A widzisz tu jeszcze jakiegoś młokosa z dzidą?! Rozmawiałeś z tą... tym czymś?

— Z Rzeczą? Można powiedzieć, że tak, ale ona dziwnie mówi. Trudno ją zrozumieć.

— Rozmawiała ze mną i powiedziała mi dużo ciekawych rzeczy... Powiedziała mi, że została zrobiona przez nomy. Je elektryczność i słyszy, jak myślą rzeczy odżywiające się prądem. Twierdzi, że słyszała... — opat przyjrzał się niezycliwie Rzeczy — ... że słyszała Arnolda Brosa (zał. 1905) planującego zniszczenie Sklepu. Poza tym jest szalona: mówi, że przylecieliśmy z gwiazd... Sam nie wiem, czy to wiadomość wysłana przez Dyрекcję, żeby nas ostrzec, czy pułapka przygotowana przez Drastyczną Obniżkę?... Tak więc pozostaje nam jedynie zapytać Arnolda Brosa (zał. 1905). Jedynie wtedy dowiemy się prawdy.

— Ależ, Wasza Wielebność jest zbyt... to znaczy chciałem powiedzieć, że niewłaściwą rzeczą byłoby, aby opat osobiście fatygował się do Rachuby! — zaprotestował Gurder. — To strasznie niebezpieczna podróż!

— Mądrze mówisz, chłopcze. Ja się nigdzie nie wybieram: to ty udasz się w podróż do Rachuby. Czytasz po ludzku dobrze, a twój ciekawy świata przyjaciel z dzidą może ci towarzyszyć.

Nowina powaliła Gurdera na kolana.

— Do Rachuby...? — wyjąkał. — Ale ja... dlaczego ja... Jestem niegodny...

Opat kiwnął głową.

— Nikt z nas nie jest — powiedział po chwili. — Wszyscy jesteśmy zbrukani Sklepem. Wszystko musi iść, ty też, mój chłopcze. Niechaj Raj Przecen będzie z tobą.

— Kto to jest Raj Przecen? — spytał Masklin, gdy wyszli.

— Sługa Sklepu. — Gurder jeszcze się trząsał. — Wróg Drastycznej Obniżki, który nocą snuje się po korytarzach, przyświecając sobie straszonym, białym światłem w poszukiwaniu złych nomów.

— W takim razie dobrze, że w niego nie wierzysz.

— Oczywiście, że nie wierzę.

— To dlaczego ci dzwonią zęby? — zainteresował się Masklin.

— Bo moje zęby w niego wierzą. Podobnie jak moje kolana. I mój brzuch. Tylko moja głowa nie wierzy, ale ona porusza się na całej masie pojedynczych tchórzy. Przepraszam, ale muszę się spakować, bo musimy zaraz wyruszyć. To naprawdę ważne.

— A dlaczego?

— Bo jak trochę poczekamy, to będę za bardzo przerażony, żeby iść dokądkolwiek.

\* \* \*

Opat rozsiadł się wygodniej.

— Powiedz mi jeszcze raz, jak się tu znaleźliśmy — zażądał. — Wspominałaś coś o picciu, jeśli dobrze pamiętam. . .

— „Biciu” — poprawiła go Rzecz. — „A właściwie o rozbiciu.”

— A tak. Czegoś, co leciało.

— „Statku zwiadowczego.”

— Faktycznie. Ale on się zepsuł, tak?

— „Silnik główny miał wadę, o której nie wiadomo przed startem. Nie mogliśmy wrócić do statku-bazy. Jak mogliście to wszystko zapamiętać? Z początku zdołaliśmy się porozumieć z ludźmi, ale różnice w metabolizmach i odbiorze czasu były zbyt duże i wkrótce uniemożliwiły dalsze kontakty. Z początku mieliśmy nadzieję, że da się ludzi nauczyć wystarczająco wiele, by zbudowali nam nowy statek, ale okazali się zbyt powolni. W końcu nauczyliśmy ich podstawowych umiejętności, takich jak metalurgia, w nadziei, że w końcu przestaną ze sobą walczyć choć na tyle, by zainteresowali się lotami kosmicznymi.”

— Metal Urgia — powtórzył opat. — Pociąg do używania metali, no tak, to typowo ludzkie. Mówiłaś, że jeszcze czegoś ich nauczyliście. . . zaczynało się na p.

Rzecz się zawahała, ale szybko się uczyła, jak rozmawiać z nowym pokoleniem nomów.

— „Uprawiania ziemi?”

— Właśnie, U-Prawiania. To ważne, prawda?

— To podstawa cywilizacji.

— A co to znowu znaczy?

— „To znaczy tak!”

Opat zamilkł, a Rzecz mówiła dalej, zalewając go potokiem dziwnych słów, jak: planety, grawitacja czy rakieta. Nie rozumiał ich co prawda, ale brzmiały właściwie. A co ważniejsze: nomy nauczyły ludzi i przybyły z daleka. Najwyraźniej z jakiejś odległej gwiazdy, co go specjalnie nie zaskoczyło. Wprawdzie niewiele teraz wychodził, ale w młodości widział gwiazdy. Co roku w porze Kiermaszu Świętecznego gwiazdy pojawiały się w większości działów. Duże i małe, mieniące się złotem i srebrem, a nawet takie, które świeciły własnym światłem. Zawsze robiły na nim duże wrażenie, toteż właściwe było, że należą do nomów. Co prawda dawno, ale jednak. Ponieważ po zakończeniu Kiermaszu znikwały, logiczne było, iż gdzieś znajdował się jakiś ogromny magazyn, w którym spędzały resztę, czyli większość, roku.

Zdawało się, że Rzecz zgadza się z tym rozumowaniem. Magazyn nazywał się „Galaktyka” i wychodziło, że jest nad Rachubą. No i dochodziły do tego te całe „lata świetlne”.

Opat przeżył piętnaście lat zwykłych, nie świetlanych, lat pełnych problemów, zmartwień i odpowiedzialności. Miło było wiedzieć, że są też i świetlane lata, w których tego wszystkiego powinno być mniej.

Nic więc dziwnego, że przytakiwał, słuchając z uśmiechem, a Rzecz mówiła, i mówiła, i mówiła...

## Rozdział siódmy

XXI. I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Oto daję wam Znak najwyraźniejszy:”  
XXII. Jeśli nie widzicie tego, czego potrzebujecie, zapytajcie, proszę.

*Księga nomów, Administracja, w. XXI-XXII*

— Ona nie może iść z nami — zaparł się Gurder.

— A to dlaczego? — zdziwił się szczerze Masklin.

— Bo to niebezpieczne.

— No i co z tego? — Masklin spojrział na równie zdziwioną Grimę.

— Nie można dziewcząt narażać na niebezpieczeństwa — wygłosił z emfazą Gurder. — Nie mogą chodzić tam, gdzie jest niebezpiecznie.

Masklin kolejny raz miał okazję przeżyć to, co najbardziej dziwiło go od pojawienia się w Sklepie — nom mówił niby normalnie i każde słowo z osobna było doskonale zrozumiałe, ale złożone razem przestawały mieć jakikolwiek sens. Najrozsądniejsze było nie zwracać na to uwagi, ale tym razem akurat było to niemożliwe. Gdyby w jego świecie kobiety nie mogły chodzić tam, gdzie niebezpiecznie, nie mogłyby chodzić nigdzie.

— Idę z wami — oświadczyła zdecydowanie Grimma. — Co tam jest niebezpiecznego? Nie licząc naturalnie Drastycznej Obniżki i . . .

— I samego Arnolda Brosa (zał. 1905) — dodał nerwowo Gurder.

— I tak idę. Starzy mnie nie potrzebują, a poza tym nie mam nic do roboty. Co mi się zresztą może stać? Przecież nic równie strasznego jak przeczytanie czegoś, po czym by mi głowa wybuchła z przegrzania — dodała złośliwie.

— Zaraz, jestem pewien, że nie mówiłem nic o żadnych wy. . . — zaczął Gurder.

— Założę się, że Piśmienni sami nie piorą — zauważyła niewinnie Grimma. — I nie cerują skarpetek albo. . .

— No już dobrze, dobrze. — Gurder aż się cofnął. — Ale pamiętaj, żeby nie zostawać w tyle i nie plątać się pod nogami. I jeszcze jedno: my z Masklinem podejmujemy wszystkie decyzje, jasne? — Spojrział zdesperowany na Masklina i dodał: — Powiedz jej, żeby się nie plątała pod nogami.

— Ja? Sam jej powiedz! Ja jej nigdy nie mówię, co ma robić.

Podróż nie była tak ekscytująca, jak się Masklin spodziewał — opat opowiadał o schodach, które się ruszały, ogniu w butelkach, o długich, pustych korytarzach, w których nie było gdzie się skryć. . .

Lecz od czasu jego wyprawy Dorcas uruchomił windy — co prawda docierały jedynie do Zabawek, ale zamieszkujące ten dział nomy były przyjazne. Żyły na górnym piętrze, zawsze więc mile widziały gości, którzy mogli im opowiedzieć, co też dzieje się w świecie poniżej.

— Oni nie schodzą nawet do Emporium Przymaków — wyjaśnił Gurder. — Jedzenie biorą z Kantyny dla Pracowników. Żyją głównie na herbacie, biskopkach i jogurcie.

— Dziwne, prawda? — Grimma była znacznie bardziej złośliwa niż zwykle.

— Są bardzo mili, rozważni i spokojni — dodał Gurder. — I trochę mistyczni. To pewnie przez ten jogurt i herbatę.

— Nadal nie widzę tu żadnego ognia w butlach ani nawet w butelkach. — Masklin zmienił temat.

— Uhm. . . no, wydaje nam się, że opat mógł. . . no. . . sądzimy, że jego pamięć. . . w końcu jest naprawdę stary i. . .

— Nie musisz tłumaczyć — wtrąciła Grimma. — Stary Torrit też potrafi taki być.

— No. . . jego umysł nie jest już taki bystry jak kiedyś — przyznał z ulgą Gurder.

Masklin się nie odezwał, bo jeśli umysł opata teraz przestał być ostry, to parę lat temu mógł z powodzeniem zastępować nóż.

\* \* \*

Przewodnik od Zabawkowych doprowadził ich do końca terenów, po których poruszali się ludzie. Był to niski nom, który często się uśmiechał, ale nigdy nie odzywał pomimo notorycznych prób nawiązania rozmowy przez Grimme. Można tu było spotkać nomy jedynie z rzadka, gdyż większość wolała gwarne i zatłoczone poziomy Podpodłogi, które tu w dodatku się kończyły. W pewien sposób okolica przypominała Zewnątrz: wiały słabe wiatry tworzące z kurzu niewielkie, szare pagórki i nie było światła poza tym, które przedostawało się przez szpary w ścianach i suficie. W kilku miejscach było tak ciemno, że przewodnik musiał użyć zapalek.

— Właściwie dokąd my teraz idziemy? — spytał Masklin, spoglądając za siebie. W pokładzie kurzu wyraźnie było widać ich ślady.

— Do ruchomych schodów — odparł Gurder.

— Jakich ruchomych? Chcesz mi powiedzieć, że schody ruszają się po Sklepie?! I trzeba ich szukać?

Gurder uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Naturalnie, dla ciebie to wszystko jest nowe — oznajmił z wyższością. — Nie musisz się czegoś bać tylko dlatego, że tego nie rozumiesz.

— To ruszają się czy nie? — sprecyzowała Grimma.

— Zobaczycie. W każdym razie na pewno nie chodzą po Sklepie i zawsze są w tym samym miejscu. Używamy tylko tych jednych, choć w Sklepie jest ich więcej, ale są trochę niebezpieczne. Jak zobaczycie, to zrozumiecie, o co mi chodzi. Nie są tak wygodne jak windy. . .

Przewodnik zatrzymał się, wskazał przed siebie, skłonił się i czym prędzej zawrócił.

Gurder przecisnął się przez szczelinę w starych deskach i znaleźli się w jasno oświetlonym korytarzu, na którego końcu znajdowały się rzeczywiście. . . ruchome schody.

Masklin wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany: schody unosiły się z podłogi, skrzypiąc od czasu do czasu potępieńczo, i podnosiły się w górę i w górę.

— O rany. . . — mruknął z podziwem.

Może nie było tego słychać, ale był to prawdziwy podziw. No i nic innego nie przyszło mu do głowy.

— Zabawkowi za nic się do nich nie zbliżą — wyjaśnił Gurder. — Sądzą, że są nawiedzone przez duchy.

— Nie dziwię im się ani trochę. — Grimma wstrząsnęła się nerwowo.

— Och, to tylko przesąd. — Gurder był blady i głos mu drżał, przypominając w porывach pisk. — Tu naprawdę nie ma się czego bać!

Masklin przyjrzał mu się uważnie i podejrzliwie.

— Byłeś tu już kiedyś? — spytał.

— Naturalnie. Wiele razy — zapewnił gorąco Gurder, nie podnosząc wzroku.

— To co teraz robimy?

Gurder spróbował odpowiedzieć wolno i z godnością, ale im dłużej mówił, tym szybciej i bardziej piskliwie mu to szło:

— Wiesz, że powszechnie się sądzi, że Arnold Bros (zał. 1905) mieszka na górze. Zabawkowi sądzą, że czeka na szczycie schodów, i jak nom. . . no, wiesz. . . umiera, to. . .

Grimma odruchowo spojrzała na jadące do góry schody i wstrząsnął nią dreszcz. Pobiegła ku nim.

— Co ty robisz? — zaciekał się Masklin.

— Sprawdzam, czy mają rację! — warknęła. — Bo inaczej będziemy tu tkwili cały dzień!

Masklin pobiegł za nią. Gurder przełknął ślinę, aż echo poszło, rozejrzał się i pospieszył za nimi.

Z punktu widzenia Masklina podłoga pod Grimmą w pewnym momencie poruszyła się i zaczęła się unosić, przez co Grimma omal nie straciła równowagi.

Balansowała przez chwilę, ale w końcu stanęła pewnie. Masklin stanął i poczuł, jak podłoga pod nim też się unosi. Po chwili jechał w górę stopień niżej za Grimma.

— Zeskocz! — krzyknął. — Nie można ufać podłodze, która sama się rusza!

— I co to da? — spytała, odwracając ku niemu pobladłą twarz.

— Będziemy mogli spokojnie porozmawiać!

— I co ci da ta rozmowa? — Grimma nagle zachichotała. — A poza tym nie chcę skrócić karku: spójrz za siebie!

Masklin spojrział.

I natychmiast tego pożałował.

Był już kilkanaście stopni nad podłogą i ledwie widział Gurdera, który w końcu zebrał resztki odwagi i wskoczył na kolejny stopień. . .

\* \* \*

Arnold Bros (zał. 1905) nie czekał na nich na szczycie schodów.

Był tam prosty, długi korytarz z szeregiem drzwi w obu bocznych ścianach. Na niektórych umieszczono jakieś napisy.

No i czekała także Grimma. Masklin pogroził jej palcem i ledwie zdążył zeskoczyć ze stopnia, który niespodziewanie się złożył i wjechał w podłogę.

— Nigdy, pod żadnym pozorem nie rób niczego podobnego! — oznajmił groźnie.

— Gdybym nie zrobiła, nadal wszyscy bylibyśmy na dole. Przecież Gurder był śmiertelnie przerażony i za nic dobrowolnie by nie wlaź na ten stopień! Nie zauważyłeś?

— Ale na górze mogło czekać coś niesamowicie niebezpiecznego!

— Na przykład?

— No, na przykład. . . albo. . . Nie o to chodzi! Chodzi o to, że. . .

W tym momencie schody wytoczyły im pod nogi Gurdera.

Oboje pozbierali go, otrzepali i ustawili do pionu.

— No, to jesteśmy wszyscy na górze — zauważyła promiennie Grimma. — I wszystko jest w porządku, no nie?

Gurder rozejrzał się, odchrząknął i obciągnął przyodziewek.

— Straciłem równowagę — oświadczył z godnością. — Chybotliwe te ruchome schody. Ale w końcu można się do nich przyzwyczaić. No cóż, lepiej tu nie stójmy. — Wskazał na korytarz.

Cała trójka ruszyła ostrożnie przed siebie, na wszelki wypadek spoglądając na każde mijane drzwi.

— Czy któreś należą do Drastycznej Obniżki? — spytała Grimma. Tutaj to imię zabrzmiało znacznie groźniej.



— Nie — uspokoił ją Gurder. — On mieszka wśród palenisk w piwnicy. . . Te drzwi należą do Pensji.

— Są dobre czy złe? — Grimma przyjrzała się uważnie napisowi na drewnianych drzwiach.

— Nie wiem.

Masklin szedł ostatni, rozglądając się cały czas. Chciał mieć oko na cały korytarz — jak dla niego był zbyt otwarty i pozbawiony jakiegokolwiek osłony, za którą w razie czego można by się było ukryć. W pewnym momencie wskazał rząd wielkich, czerwonych przedmiotów wiszących mniej więcej w połowie wysokości ściany.

— Co to jest?

— Gaśnice. Widziałem je w „Colin i Susan jadą nad morze” — odparł Gurder. Podeszli bliżej: wiszące gaśnice trochę przypominały butle. . .

— Co na nich pisze? — zainteresował się Masklin.

— „Pożarowe” — odczytał po chwili. — Opat miał rację: pożar w butelkach.

— Jaki pożar?! — zdziwił się Masklin. — Przecież nie widać żadnego ognia! Nawet jednego małego płomyczka!

— Musi być wewnątrz. Pewnie mają korki albo kapsle, tak jak soki. Albo orzechy w puszkach czy dżem w słoikach. Jak pisze, że pożar, to musi być w środku. — Gurder był pewien swego.

Grimma także długo i uważnie przyglądała się napisowi, powtarzając go cicho, po czym obejrzała się i pospieszyła za pozostałymi.

W końcu doszli do końca korytarza. Tam znajdowały się kolejne drzwi — tym razem do połowy drewniane, od połowy szklane.

Gurder stanął przed nimi jak wryty.

— Co tam pisze? — Grimma wreszcie straciła cierpliwość. — Przeczytaj głośno, bo jak się będę dłużej przyglądać, to mi się mózg zagrzeje.

Gurder przełknął ślinę.

— Tu pisze: „Arnold Bros (zał. 1905). D. H. K. Butterthwaite, Dyrektor Generalny” . . . hm. . .

— Jest w środku? — Grimma nie ustępowała.

— Nie są zamknięte — dodał Masklin, pełen dobrych chęci. — Chcecie, żebym sprawdził?

Gurder przytaknął, ciężko wzdychając, toteż Masklin podeszedł do drzwi, zaparł się i pchnął z całych sił.

Po paru długich jak wieczność chwilach drzwi wreszcie uchyliły się odrobinę, wystarczającą normalnemu nomowi, by mógł wejść.

Wewnątrz panował mrok, ale z korytarza przedostawało się trochę światła. Masklin dostrzegł, że znalazł się w dużym pokoju. Leżący na podłodze chodnik (jak mu potem Gurder wyjaśnił, nazywał się „dywan”) był znacznie grubszy i chodziło się po nim niczym po świeżo ściętej trawie. W oddali stał na nim potężny,

drewniany prostopadłościan, a gdy go obszedł, dojrzał z drugiej strony krzesło. Pewnie to, na którym przesiadywał Arnold Bros (zał. 1905).

— Arnold Bros (zał. 1905), gdzie jesteś? — szepnął.

Odpowiedziała mu cisza.

Grimmie i Gurderowi czas dłużył się niemiłosiernie, ale w końcu usłyszeli cichy głos Masklina informujący, że mogą bezpiecznie wejść.

— Gdzie jesteś? — syknęła Grimma i rozejrzała się.

— Na tym drewnianym czymś. Z jednej strony są takie wystające części, po których można się wspiąć na górę, a tu jest cała masa różnych rzeczy. Tylko uważajcie w tej sztucznej trawie na podłodze, bo tam mogą być jakieś dzikie zwierzęta. Jak chwilę poczekać, to wam pomogę.

Przedarli się przez gęsty dywan i stanęli przed drewnianym zbozkiem.

— To jest biurko — wyjaśnił Gurder. — W Meblach jest ich cała masa. To będzie chyba... tak! Zdziwiająca Cena za Prawdziwe, Stuprocentowo Dębowe Biurko.

— Co on tam wyprawia? — zdenerwowała się Grimma. — Słyszę coś metalowego... szczekanie czy podzwanianie...

— Obowiązkowe w Każdym Gabinetecie — dodał Gurder nieco odważniej, jakby własny głos albo słowa go uspokajały. — Szeroki Wybór Stylów dla Każdej Kieszeni.

— Co mówisz?

— Przepraszam... cytowałem to, co Arnold Bros (zał. 1905) wypisuje na znakach. Pomaga mi to na samopoczucie...

— Dobra, to jest biurko, tak? A to co?

— Krzesło... Obrotowe, Idealne do Każdego Biurka.

— Wygląda na w sam raz dla człowieka — oceniła zamyślona.

— Pewnie tu siedzą, kiedy Arnold Bros (zał. 1905) mówi im, co mają robić.

— Hm... — Grimma nie była przekonana.

Na górze coś głośniejsz zadźwięczało i rozległ się głos Masklina:

— Przepraszam, ale połączenie ich zajęło mi dłużej, niż myślałem.

Z góry spłynął lekko połyskujący, metalowy łańcuch przypominający drabinę.

— Spinacze biurowe — rozpoznał zaskoczony Gurder. — Nigdy bym na to nie wpadł.

Gdy wdrapali się na górę, znaleźli Masklina wędrującego po lśniącej powierzchni biurka i przesuwającego różne przedmioty grotem dzidy. Jak wyjaśnił Gurder, ta lśniąca powierzchnia to blat, a to, co na nim leży, to papier i różne rzeczy do robienia na nim znaków, czasami zwanych pismem.

— No, zdaje się, że twojego Arnolda Brosa (zał. 1905) nie ma w pobliżu — ocenił Masklin. — Poszedł spać albo co.

— Opat twierdzi, że widział go tu właśnie w nocy, jak siedział przy biurku, czuwając nad Sklepem.

— Co?! — wtrąciła Grimma. — Siedział na tym krześle?  
— Chyba tak...  
— W takim razie on jest raczej duży, zgadza się? — Słysząc było, że łatwo nie ustąpi. — Bardziej ludzkich rozmiarów?  
— Można by tak powiedzieć — zgodził się niechętnie Gurder.  
— Aha.

Masklin znalazł przewód grubości swego ramienia leżący na blacie i ruszył wzdłuż niego.

— Jeśli on ma ludzki kształt — ciągnęła nieustępliwie Grimma — i ludzkie rozmiary, to być może jest on...

— Może lepiej sprawdzimy, co tu można znaleźć? — zaproponował pospiesznie Gurder. I nie czekając na reakcję, zajął się odczytywaniem kartki leżącej na wierzchu pliku. Czytał wolno, być może dlatego, że z korytarza nie wpadało aż tyle światła, ale za to głośno i wyraźnie: — „The Arco Group zawierająca Arco Developments (UK), United Television, Arco-Schultz (Hamburg) AG, Arco Airlines, Arco Recordings, Arco Organization (Cinemas) Ltd, Arco Petroleum Holdings, Arco Publishing i Arco UK Retailing plc”.

— Dość! — jęknęła Grimma.

— Wcale nie, jest tego więcej — rzucił Gurder podekscytowany — tylko mniejszymi literami, jakby w sam raz dla nas. Posłuchaj tych wszystkich imion: „Arco UK Retailing plc zawiera Bonded Outlets Ltd, Grimethorpe Dye and Paint Company, Kwik-Kleen Mechanical Sweepers Ltd i”... i... i...

— Tam tak pisze, czy coś ci się stało?

— ...Arnold Bros (zał. 1905)”- wykrztusił Gurder i uniósł przerażony wzrok. — Co to wszystko znaczy, na Raj Przecen!

Nagle coś pstryknęło i stało się światło. Co prawda zapaliło się tylko nad blatem, oświetlając głównie ich dwoje i papiery. Gurder skurczył się i przerażony spojrział na oślepiającą kulę, która rozbłysła mu nad głową.

— Przepraszam, to chyba ja — rozległ się z cienia głos Masklina. — Znalazłem dźwignię, przestawiłem ją, coś kliknęło i zrobiło się jasno.

— Aha. — Gurder wyraźnie się uspokoił. — Światło elektryczne, naturalnie. Przestraszyłeś mnie w pierwszej chwili, wiesz...

Masklin pojawił się w kręgu jasności i przyjrzał kartce, którą interesował się Gurder.

— I co tam dalej jest napisane? — spytał. Gurder skupił się na drobniejszych literach i zaczął czytać:

— „Informacja dla wszystkich pracowników. Jak sądzę, wszyscy zdajecie sobie sprawę z coraz gorszych osiągnięć finansowych sklepu w ciągu ostatnich lat. Budynek dość przestronny i wygodny dla nie spieszących się klientów z 1905 roku jest przestarzały i zbyt ciasny w latach dziewięćdziesiątych. Wszyscy zdajemy

sobie sprawę, że straty finansowe, jak i utrata klientów w znacznej mierze spowodowane są otwarciem nowych, wielkich magazynów w mieście. Wszystkim nam jest przykro z powodu konieczności zamknięcia sklepu Arnolda Brosa, który — jak dobrze wiecie — był podstawą fortuny Arnco Group, ale pragnę was poinformować, że Arnco Group planuje zastąpienie go Supersklepem w Centrum Handlowym imienia Neila Armstronga. Sklep zostanie zamknięty do końca miesiąca, a budynek zniszczony, gdyż na jego miejscu powstanie Kompleks Rozrywkowy Arnco”. . . — Gurder zamilkł i złapał się oburącz za głowę.

— Aha. . . — mruknął Masklin. — Znowu ktoś tu coś mówi o zniszczeniu i zamknięciu.

— Co to jest Supersklep? — spytała Grimma, ale Gurder zignorował ją kompletnie.

Masklin wyjątkowo delikatnie ujął ją za ramię.

— On chyba chciałby być przez chwilę sam — powiedział cicho. Przeciągnął grotem dzidy po kartce, złożył ją wpół i powtórzył całą operację, aż kartka miała rozmiary nadające się do wygodnego transportu. — Wydaje mi się, że opat będzie chciał to obejrzeć. Inaczej może nam nigdy nie. . . — Urwał, widząc minę Grimmy, odwrócił się i spojrzał przez oszkloną część drzwi na korytarz. Widać tam było cień ludzkiego kształtu.

Cień robił się coraz większy.

— Co to jest? — szepnęła Grimma.

Masklin ujął rzeczowo dzidę i powiedział wolno:

— Myślę, że to może być Drastyczna Obniżka.

Oboje pospieszyli do Gurdera.

— Ktoś tu idzie! — szepnął Masklin. — Musimy dostać się na podłogę! Szybko!

— Zniszczony! — jęknął Gurder, obejmując kolana rękoma i kołysząc się z boku na bok. — Wszystko Musi Iść! Ostateczna Wyprzedaż! Jesteśmy zgubieni.

— Dobrze, dobrze, a nie możesz być zgubiony na podłodze? — zirytował się Masklin.

— Nie widzisz, że on nie jest sobą? — parsknęła Grimma i dodała z udawaną radością: — Chodź, Gurder, wszystko będzie w porządeczku. — Po czym postawiła go, podprowadziła, a raczej podciągnęła do drabinki ze spinaczy i pomogła zejść.

Masklin ubezpieczał odwrót, cofając się i nie spuszczać oczu z drzwi.

Ktoś na korytarzu musiał pewnie dostrzec światło, a w pokoju powinno być ciemno. Masklin wiedział, że popełnił błąd, ale wiedział też, że nie zdąży zgasić światła i że w końcu to i tak niczego nie zmieni — nie wierzył w żadnego demona, obojętnie czy nazywał się Drastyczna Obniżka, czy nie. A teraz ten demon się tu zbliżał.

Co za pokręcony świat.

Nie mając innego wyjścia, ukrył się w cieniu rzucanym przez stertę papierów i czekał.

Z oddali, a raczej z dołu dochodziły go słabe protesty Gurdera, które nagle umilkły. Pewnie Grimma mu czymś przyłożyła — miała wprawę w zachowaniach kryzysowych.

Drzwi powoli otworzyły się i ktoś w nich stanął. Wyglądał jak normalny człowiek, tyle że ubrany na granatowo. Masklin nie znał się specjalnie na ludzkich minach, ale ta nie wyglądała na zadowoloną.

Przybysz w jednej ręce trzymał metalową rurę, z której świeciło to oślepiające światło.

Powoli podszedł bliżej, tym charakterystycznym dla ludzi powolnym, lunatycznym krokiem, i pochylił się nad biurkiem. Masklin wyjrzał ostrożnie, zaciekawiony mimo grozy sytuacji. Zadarł głowę i spojrzał prosto w olbrzymie, okrągłe i poczerwieniałe oblicze, częściowo ukryte pod daszkiem także granatowej czapki.

Wiedział, że ludzie w Sklepie noszą małe tabliczki z wypisanymi na nich imionami przypięte do ubrań, ponieważ — jak mu powiedziano — są zbyt głupi, by je zapamiętać. Ten nie miał tabliczki, za to miał imię wypisane na czapce. Masklin wyteżył wzrok i przeczytał:

S...E...C...U...R...I...T...Y

Zobaczył też białego wąsa. Nie na czapce — na obliczu.

Właściciel wąsa wyprostował się i zaczął obchodzić pokój. Ludzie nie są wcale głupi — był na tyle bystry, by wiedzieć, że nie powinno się tu palić światła, i chciał odkryć dlaczego. To oznacza, że musi dostrzec Grimmę i Gurdera...

Nawet człowiek musi ich zobaczyć, jeśli spojrzy we właściwe miejsce.

Masklin ujął mocniej dźwidź. Zdawał sobie sprawę, że jedyny czuły punkt takiego olbrzyma to oczy, ale nie wiedział, jak do nich dotrzeć...

Przybysz tymczasem poruszał się sennie po pokoju, zaglądając w kąty i do szuflad, a potem skierował się ku drzwiom. Masklin wstrzymał oddech.

I wtedy gdzieś z dołu rozległ się histeryczny wrzask Gurdera:

— To Drastyczna Obniżka! Ratuj nas, Raju Przecen! Wszyscy jesteście mmphmm...

Security stanął. Odwrócił się i widać było, jak na jego twarzy pojawia się wyraz zaskoczenia. Masklin sprężył się, gotów do biegu...

I coś za drzwiami zaryczało. Prawie tak głośno jak ciężarówka. Security'ego to coś wcale nie przestraszyło — otworzył drzwi i wyjrzał. W korytarzu stała ludzka kobieta, wyglądająca dość staro w papciach i różowym fartuchu w kwiaty. W jednej ręce trzymała ścierkę, w drugiej zaś...

Cóż, wyglądało to tak, jakby powstrzymywała przed atakiem owo ryczące coś, co miało kółka i uparcie jechało do przodu; ale trzymała to za szyję, więc gdy pociągnęła, cofało się.

Wreszcie kopnęła to coś i ryk umilkł. Za to Security zaczął mówić, co Masklinowi przypominało róg mgłowy.

Nie tracąc czasu, Masklin podbiegł do metalowej drabinki i częściowo zszedł, a częściowo zsunął się po spinaczach. Pozostałą dwójkę znalazł, jak oczekiwał, pod biurkiem — Gurder dziko przewracał oczyma, Grimma zaś jedną ręką trzymała go za szyję, by się nie wyrwał, drugą kneblowała z wprawą wskazującą na długie doświadczenie.

— Puść go, bo się udusi! Musimy wyjść, dopóki rozmawia!... — zdecydował Masklin.

— Jak? Drzwi są tylko jedne?!

— Mmphmmp!

— To choć ukryjmy się lepiej.- Masklin rozejrzał się wokół, ale przeważały hektary dywanu. — Tam jest coś z szufladami... Już w nich szukał...

— Mmphmmp!

— Jak go puszczyć, zacznie się drzeć — ostrzegła Grimma. — To co z nim robimy?

Masklin spojrzał groźnie na Gurdera:

— Słuchaj no: jak mi się głośniej odezwiesz albo powiesz coś o zgubieniu, to cię spiorę i zaknebluję. Jasne?

— Mmph.

— Obiecujesz?

— Mmph.

— Spróbujemy. Grimma, puść go.

— To był Raj Przecen! — syknął podniecony Gurder.

— Kneblujemy? — zainteresowała się Grimma.

— Może gadać, co chce, dopóki nie zacznie desperować i wrzeszczeć — zdecydował Masklin. — Pewnie mu dobrze robi, bo chyba jest w szoku.

— Raj Przecen przybył nam na ratunek! Razem z ryczącym Wsysaczem Dusz... — Gurder nagle umilkł i zmarszczył brwi.

— Wsy... co? — zdziwił się Masklin, ale Gurder go zignorował.

— To był elektroluks, prawda? — powiedział powoli. — Zawsze myślałem, że to coś magicznego, a to był zwykły odkurzacz. W Gospodarstwie Domowym są ich tuziny. Z Dodatkową Ssawką do Gęstych Dywanów.

— To miłe. Teraz skup się: jak się mamy stąd wydostać?

Poszukiwania za szafkami z mnóstwem szufladek, które Gurder nazywał „katalogowymi”, dały taki efekt, że znaleźli szczelinę w podłodze, przez którą, choć z pewnym trudem, udało im się przecisnąć. Powrót zajął im pół dnia, głównie dlatego że Gurder często zaczynał płakać i desperować, przez co wymuszał postój. Częściowo powodem była konieczność schodzenia wewnątrz ściany, która co prawda miała ułatwienia w rodzaju drutów czy kawałków drewna umieszczo-

nych tam przez Zabawkowych, ale do takich wędrówek żadne z nich nie było przyzwyczajone.

Wyszli pod Działem Zabawek i dopiero tam Gurder doszedł do siebie na tyle, że zażyczył sobie jedzenia i eskorty.

W końcu dotarli do Działu Artykułów Papierniczych i Piśmiennych.

I ledwie zdążyli.

\* \* \*

Babka Morkie przyjrzała im się średnio życzliwie, gdy weszli do sypialni opata. Siedziała przy jego łóżku zajęta nicnierobieniem.

— Tylko nie hałasujcie! — ostrzegła. — Jest bardzo chory i mówi, że umiera. Wydaje mi się, że wie, co mówi.

— Umiera na co? — spytał Masklin.

— Na zbyt długie życie — odparła zwięźle Babka Morkie.

Leżący wśród poduszek opat wyglądał na jeszcze mniejszego i bardziej pomarszczonego, niż gdy siedział. W obu przypominających szpony dłoniach trzymał Rzecz. Masklina rozpoznał od pierwszego spojrzenia i z wysiłkiem skinął, by podszedł bliżej.

— Musisz się pochylić — poleciła Babka Morkie. — On ledwo chrypi, biedak.

Opat delikatnie złapał Masklina za ucho i przyciągnął je bliżej swych ust.

— Ma na pewno dużo dobrych chęci — szepnął. — Ale bądź łaskaw ją odesłać, zanim zechce dać mi jeszcze lekarstwa.

Masklin kiwnął głową. Babka Morkie sporządzała leki z prostych, uczciwych i generalnie prawie trujących ziół i korzeni. To prawda, działały cuda — po jednej dawce mikstury na ból brzucha było pewne, że delikwent nigdy więcej nie będzie skarżył się na tę dolegliwość. Nawet jeśli dostał skrętu kiszek. Na swój sposób była to skuteczna kuracja.

— Odesłać jej nie mogę, ale spróbuję coś wymyślić.

Babka Morkie wyszła dobrowolnie, wykrzykując już od progu recepturę kolejnego medykamentu.

Korzystając z chwili spokoju, Gurder klęknął przy łóżku.

— Wasza Wysokość nie umrze, prawda? — spytał.

— Oczywiście, że umrę. Każdy tak ma, bo tym kończy się życie — szepnął opat. — Widziałeś Arnolda Brosa (zał. 1905)?

— No więc... uhm... znaleźliśmy pismo, które twierdzi, że Sklep będzie zniszczony. A to oznacza koniec wszystkiego! Co mamy robić?

— Będziecie musieli odejść.

Gurder na moment stracił z przerażenia głos.

— Aaaaale, Wasza Wysokość zawsze mówił, że wszystko, co jest na zewnątrz Sklepu, to tylko sen i ułuda — eksplodował po chwili.

— A ty mi nigdy nie wierzyłeś. — Opat uśmiechnął się słabo. — Być może myliłem się... Ten młodzian z dzidą nadal tu jest?... Bo coś gorzej widzę.

Masklin podszedł do łóżka.

— A, jesteś! — ucieszył się opat. — To twoje pudełko...

— Tak?

— Powiedziało mi wiele różnych dziwnych rzeczy... i pokazało jeszcze dziwniejsze obrazy. Sklep jest znacznie większy, niż myślałem. Ma specjalny magazyn, w którym trzymane są gwiazdy, i to nie tylko takie, jakie zwisają z sufitu w trakcie Kiermaszu Świątecznego. On się nazywa wszechświat, ten magazyn, i kiedyś w nim żyliśmy. Prawie cały do nas należał i był naszym domem. I nie mieszkaliśmy pod niczyją podłogą! Myślę, że Arnold Bros (zał. 1905) mówi nam, abyśmy tam wrócili — dodał opat i z niespodziewaną siłą złapał Masklina za ramię. — Nie powiedziałbym, że natura pobłogosławiła cię umysłem... Prawdę mówiąc, uważam, że jesteś głupi i obowiązkowy, a tacy są najlepszymi przywódcami, o których zresztą nikt nie układa pieśni, bo nie zdobywają sławy. Masz też wiele zdrowego rozsądku, co się rzadko zdarza. Zabierz ich do domu! Zabierz ich wszystkich do domu! — Wyczerpany opadł na poduszki i przymknął oczy.

— Ale... ale opuścić Sklep? — Gurder dopiero teraz w pełni przetrawił to, co usłyszał. — Przecież są nas tysiące, starych, dzieci i wszystkich... Gdzie pójdziemy? Masklin mówił, że tam są lisy i wiatr, i głód, i woda spadająca z nieba w kawałkach! Wasza Wysokość!

Grimma pochyliła się i ujęła nadgarstek opata, szukając pulsu.

— On mnie słyszy? — spytał Gurder.

— Może... Pewnie tak... Ale odpowiedzieć ci nie zdoła, bo jest martwy.

— Ależ... ależ on nie może umrzeć! On tu był zawsze! — Gurder był wstrząśnięty. — Musiałaś się pomylić! Wasza Wysokość! Panie opacie?

Masklin wyjął Rzec z nie stawiających oporu dłoni opata. Do pokoju wpadli inni Piśmienni, słysząc krzyki Gurdera.

— Rzec — mruknął cicho Masklin, odchodząc od tłumy, który gęstniał przy łóżku.

— „Słyszę cię.”

— On faktycznie jest martwy?

— „Nie wykrywam żadnych funkcji wskazujących, że żyje.”

— Co to znaczy?

— „To znaczy tak!”

— Aha. — Masklin zastanowił się nad tą rewelacją. — Zawsze myślałem, że trzeba najpierw zostać zjedzonym albo przygniecionym. Nie myślałem, że wystarczy ot, tak po prostu przestać.

Rzec milczała, nie wrywając się z żadnymi informacjami.

— Masz jakiś pomysł, co powinienem teraz zrobić? Gurder ma rację: oni nie opuszczą dobrowolnie ciepła i jedzenia. Część młodych może i pójdzie z własnej



woli, mając chętkę na przygody, ale jeśli mamy przetrwać na zewnątrz, musi nas być naprawdę dużo. A co ja mam im powiedzieć: Przykro mi, ale musicie wszystko zostawić?

Rzecz tym razem nie milczała.

— „Nie” — oznajmiła.

\* \* \*

Masklin nigdy wcześniej nie widział pogrzebu. Prawdę mówiąc, nigdy dotąd nie widział też noma zmarłego tylko dlatego, że zbyt długo żył. Poza tym gdy ktoś zostanie zjedzony lub nie wróci, to nie można go pogrzebać.

— Gdzie grzebaliście zmarłych? — zainteresował się Gurder.

— Najczęściej wewnątrz lisów i borsuków. No, wiesz: tych zwinnych, futrzastych zwierząt — odpalił zapytany.

A oto jak nomy żegnają swych zmarłych.

Naturalnie gdy mają kogo żegnać.

Ciało opata zostało ceremonialnie ubrane w zielony płaszcz i wysoki czerwony kapelusz. Jego długa biała broda została starannie uczesana. Tak przygotowane zwłoki złożono na łóżku.

A potem zaczęła się ceremonia.

— Skoro spodobało się Arnoldowi Erosowi (zał. 1905) zabrać naszego brata do wielkiego Działu Ogrodniczego, gdzie znajdują się Zdziwiająca Ekspozycje Kwiatowe i Idealnie Przycięte Trawniki oraz basen wiecznego życia z Łatwego do Dmuchania Polietylenu wraz z Prawdziwym Obrzeżem, damy mu na drogę prezenty, bez których żaden nom nie powinien w taką podróż wyruszać — wygłosił Gurder.

Przed zebranych wystąpił hrabia Żelaznotowarowy i położył obok opata jakieś zawiniątko ze słowami:

— Daję mu Szpadel Uczciwej Pracy.

— A ja — dodał książę de Pasmantarii — kładę obok niego Wędkę Nadziei.

A potem pozostali dołożyli do tego: Taczkę Przywództwa, Koszyk na Zakupy Życia i inne.

Masklin stwierdził, że umieranie w Sklepie jest całkiem skomplikowane.

Gdy Gurder wygłosił ostatnie zdanie, Grimma pociągnęła nosem donośnie.

A potem ciało uroczyście wyniesiono do piwnicy, jak się Masklin dowiedział, by je spalić w królestwie Drastycznej Obniżki (alias Security). Tenże w swym królestwie przesiadywał nocami i — jak głosiła legenda — palił i pił obrzydliwą herbatę.

— Nieprzyjemna uroczystość — oceniła Babka Morkie, gdy ceremonia się zakończyła. — Za moich młodych lat, gdy ktoś umierał, chowało się go do ziemi.

— Co to jest „ziemia” i dlaczego go chowaliście? — zaciekał się Gurder. — Przydawał się potem do czegoś?

— Ziemia to taki rodzaj podłogi. A chować kogoś to tak się mówi: inaczej zakopywać. A przydać to on się już do niczego nie mógł. — Jak na Babkę Morkie była to naprawdę długa przemowa i co najdziwniejsze, zupełnie spokojna.

— A potem co się działo? — Tym razem ciekawości Gurdera nie było łatwo zaspokoić.

— A co się miało dziać? — zdziwiła się dla odmiany Babka Morkie.

— Chodzi mi o to, gdzie taki ktoś udawał się później.

— A gdzie niby miał się udawać? Uczciwy nieboszczyk nigdzie się nie udaje, tylko leży, gdzie go pochowano! — obruszyła się Babka.

— W Sklepie — Gurder mówił powoli i wyraźnie jak do wyjątkowo tępego dziecka — jeśli umiera dobry nom, Arnold Bros (zał. 1905) przysyła go, by nas zobaczył, zanim uda się do Lepszego Miejsca.

— Kto ci takich głupot. . .

— Nie całego przysyła — pospiesznie przerwał jej Gurder — tylko jego część. Taki kawałek ze środka, który jest naprawdę nomem.

Masklin i pozostali słuchali go uprzejmie, czekając, aż zacznie mówić z jakimkolwiek sensem.

— No dobrze — westchnął Gurder. — Zorganizuję kogoś, żeby wam pokazał.

\* \* \*

Dział Ogrodniczy był dziwnym miejscem — według Masklina wyglądał zupełnie jak świat zewnętrzny, z którego usunięto wszystkie nieprzyjemności. Jedyne światło pochodziło z wewnętrznych słońc, które paliły się całą noc. Nie padał deszcz, nie wiał wiatr, trawa była pomalowanym na zielono chodnikiem, z którego wystawały różne rzeczy, a wszędzie pełno było pagórków ułożonych z torebek. Na każdej był rysunek kwiatu, którego nasiona powinny znajdować się w torebce, ale rysunek był raczej mało realny — Masklin w życiu nie widział takich kwiatów.

— I Zewnątrz tak właśnie wygląda? — zapytał młody Piśmienny, który był ich przewodnikiem. — Mówią. . . no, mówią, że tam byliście. Mówią, że widzieliście.

— Tam jest więcej zielonego i brązowego — odparł lakonicznie Masklin.

— A kwiaty?

— Kwiaty są. Ale nie takie jak tu.

— Raz widziałem takie kwiaty — odezwał się niespodziewanie Torrit i co jeszcze dziwniejsze, zamilkł natychmiast i zupełnie dobrowolnie.

Ominęli olbrzymią kosiarkę do trawy i. . .

. . . zobaczyli nieruchome nomy. Wysokie, puciołowate nomy o debilnych, pomalowanych na różowo twarzach. Niektóre miały w rękach wędki, inne łopaty, jeszcze inne pchały taczki. Wszystkie uśmiechały się głupawo.

Przez długi czas stali w milczeniu, obserwując tę zastygłą w bezruchu scenę. Milczenie przerwała w końcu Grimma, mówiąc cicho, ale z uczuciem:

— Straszne!

— Skądże! — Kapłan był przerażony. — To cudowne! Arnold Bros (zał. 1905) sprawia, że stajesz się nowy i lśniący, a potem opuszczasz Sklep i udajesz się do Szczęśliwego Miejsca.

— Tam nie ma kobiet — zauważyła Babka Morkie. — Dobrze choć tyle.

— Cóż... — Kapłan tym razem był zakłopotany. — To zawsze była kwestia dyskusyjna. Nie jesteśmy pewni, ale sądzimy...

— I nie są do nikogo podobni — dodała Babka Morkie. — Są podobni do siebie nawzajem i do jakiegoś jednego przygłupa.

— Cóż... widzicie...

— Jak mam taka wrócić, to nie chcę — dodała Babka Morkie, ignorując go całkowicie. — I wam też nie radzę.

— Nie, ale...

— Widziałem raz takiego — powiedział nagle stary Torrit dziwnie szary i drżący.

— Och, zamknij się! — zareagowała Babka Morkie. — Nic nigdy nie widzisz, bo masz słabe oczy.

— Wtedy miałem dobre — sprzeciwił się Torrit. — Młody byłem. Dziadzia Dimpo wziął nas na wycieczkę przez pole i las, tam, gdzie stoją te wielkie, kamienne domy, w których mieszkają ludzie. Przed każdym był mały kawałek pola pełnego kwiatów, takich jak te na rysunkach. Trawa była tam krótka i były takie małe jeziorka z pomarańczowymi rybami. Na jednym polu przy jeziorku siedział na kamiennym grzybie jeden taki.

— Nie siedział — zareagowała automatycznie Babka Morkie.

— Siedział, przecież mówię. — Torrit był tym razem pewny swego. — I pamiętam, jak Dziadzio powiedział, że to nie jest życie, tak cały czas siedzieć w każdej pogodę i jeszcze żeby ptaki sra... no, tego, wiecie. Powiedział nam, że ten olbrzymi nom został zamieniony w kamień za to, że nigdy w życiu nie złapał żadnej ryby. I powiedział też, że taki koniec to nie dla niego, że on wolałby szybką śmierć. I chwilę później zaskoczył go kot.

— I co dalej? — zaciekał się Masklin.

— A nic; zakłuliśmy natręta, każdy z nas miał przecie dzidę, zebraliśmy Dziadzie i wróciliśmy do domu. Cały czas biegiem, bo... — Torrit urwał, zauważając wreszcie piorunujący wzrok Babki Morkie.

— Nie! — zawył nagle kapłan. — Ależ to wcale nie tak! — I rozplakał się.

Babka Morkie przez chwilę przyglądała mu się zaskoczona, po czym łagodnie poklepała go po plecach.

— No, nie należy się zaraz tak przejmować. Ten stary dureń głądzi, co mu ślina na język przyniesie.

— Wcale nie... — zaczął Torrit, ale ostrzegawczy wzrok Babki Morkie skutecznie go powstrzymał.

Powoli zawrócili, próbując jak najszybciej zapomnieć o kamiennych poczwarach. Torrit wędrował na samym końcu, pomrukując niczym nie do końca rozładowana burza:

— Przecież widziałem: siedział na malowanym muchomorze cały obsrany. Widziałem! Pewnie, że nigdy tam nie wróciłem, bo po co kusić los, ale widziałem!

\* \* \*

Wszyscy przyjęli, że nowym opatem będzie Gurder. Tym bardziej, że stary opat zostawił w tej kwestii dokładne instrukcje. Nikt zresztą nie miał nic przeciwko temu.

Nie licząc naturalnie samego Gurdera.

— Dlaczego ja? Nigdy nie chciałem nikomu przewodzić! A poza tym... no, wiesz... mam czasem zwątpienia. Opat na pewno o tym wiedział i naprawdę nie wiem, dlaczego mnie wybrał... Przecież ja nic dobrego nie zrobię!

Masklin pozwolił mu desperować, nie odzywając się słowem. Był przekonany, że stary opat dokładnie wiedział, co robi i to najprawdopodobniej chcąc osiągnąć określony cel. Może właśnie nadeszła właściwa pora na zwątpienie... Bo z pewnością nadeszła pora, by w innym świetle przyjrzeć się Arnoldowi Erosowi (zał. 1905).

Znajdowali się w dużym podpodłogowym rejonie, którego Piśmienni używali do ważnych spotkań. Było to jedyne miejsce w całym Sklepie, naturalnie poza Emporium z Przysmakami, gdzie jakiegokolwiek walki były surowo zabronione. Dzięki temu możliwe było zgromadzenie w jednym miejscu głów rodów, władców działów i poddziałów. Co prawda nie mieli broni, ale oczy i języki ścierały się przy każdej najdrobniejszej okazji.

Bez Piśmiennych niemożliwe byłoby nawet przedstawienie im propozycji współdziałania. A najdziwniejsze było to, że Piśmienni nie mieli żadnej realnej władzy. Po prostu wszystkie działy ich potrzebowały, a żaden nie bał się ich na tyle, by próbować ich zniszczyć. I w efekcie tego skomplikowanego układu w pewien sposób przewodzili wszystkim. De Pasmantarii z zasady nigdy nie wysłuchałby Żelaznotowarowego, nawet gdyby tamten był chodzącą skarbnicą mądrości. Piśmiennego natomiast słuchali obaj, gdyż wiedzieli, że Piśmienni są bezstronni.

— Musimy pogadać z kimś z Żelaznotowarowych — odezwał się nagle Masklin. — Oni kontrolują elektryczność, prawda? I gniazdo ciężarówek.

— Tam stoi hrabia Żelaznotowarowych — wskazał Gurder. — Ten chudy z wąsem. Niespecjalnie religijny. No i niewiele wie o elektryczności, prawdę mówiąc.

— Mówiłeś że...

— Żelaznotowarowi zajmują się prądem elektrycznym, ale nie myślisz chyba, że hrabia osobiście tnie przewody?! Ma od tego służbę i specjalistów. To tak, jakbyś myślał, że baronowa del Ikates własnoręcznie tnie wędlinę w Emporium z Przymakami. — Gurder zamilkł, przyjrzał się chytrze Masklinowi i dodał: — Masz jakiś plan, tak?

— Jakiś to chyba najlepiej powiedziane.

— A co im powiesz?

— Prawdę — odparł poważnie Masklin. — Powiem im, że wszyscy mogą opuścić Sklep i zabrać ze sobą wszystko, co będzie potrzebne i na co mają ochotę. Wydaje mi się, że to powinno być możliwe.

Gurder podrapał się po brodzie.

— Hm. Pewnie to jest możliwe — mruknął powątpiewająco. — Gdyby każdy zabrał tyle jedzenia i innych rzeczy, ile potrafi unieść... ale to i tak szybko by się skończyło, a elektryczności nie da się nieść. Ona żyje w przewodach, wiesz...

— Ilu Piśmiennych umie czytać w języku ludzi? — Masklin go zupełnie zignorował.

— Wszyscy potrafimy, choć w różnym stopniu. Naprawdę biegłych jest czterech. Po co chcesz to wiedzieć?

— Wątpię, żeby to była wystarczająca liczba. — Masklin był z lekka zawiedziony.

— Żeby dobrze czytać, trzeba opanować pewną sztukę i w praktyce okazuje się, że nie wszyscy to potrafią. Co ty kombinujesz?

— Sposób, żeby wydostać stąd wszystkich i to ze wszystkim, ale to naprawdę wszystkim, czego moglibyśmy kiedykolwiek potrzebować.

— Przecież tego nikt nie uniesie!

— Nie całkiem, bo większość ładunku nie będzie nic ważyła.

Gurder przyjrzał mu się trochę podejrzliwie, trochę bojaźliwie.

— To przypadkiem nie jest jakiś zwariowany pomysł Dorcasa? — upewnił się.

— Nie.

Masklin miał wrażenie, że za chwilę eksploduje — miał zdecydowanie zbyt małą głowę, by mogła pomieścić to wszystko, co powiedziała mu Rzecz. A co gorsza, rzeczywiście tylko on mógł to zrobić.

Opat o tym wiedział i zmarł z oczami w gwiazdach, ale nawet on do końca wszystkiego nie rozumiał. Galaktyka nie jest żadnym wielkim magazynem, ale tego opat nie mógł pojąć. Gurder zresztą też mógł nie zrozumieć, gdyż całe życie spędził pod dachem. A to wykluczało możliwość wyobrażenia sobie odległości, które wchodziły w grę. Mieszkańcy Sklepu w ogóle mieli większe trudności ze zrozumieniem tego, co mówiła Rzecz, bo nie mieli odpowiednich doświadczeń.

Dla nich największą istniejącą odległością była ta, która dzieliła dwa końce Sklepu, i nie byliby w stanie pogodzić się z tym, że na przykład gwiazdy znajdują się znacznie dalej. Masklin był dumny z tego, że potrafi to sobie wyobrazić, choć jaka to faktycznie jest odległość, też nie do końca wiedział. W każdym razie duża. Pewnie nawet gdyby się biegło, to parę tygodni zajęłoby dotarcie do nich. Musiał ich stopniowo wprowadzić w to wszystko i łagodnie przygotować.

Gwiazdy!

I pomyśleć, że dawno temu podróżowali między nimi w pojazdach, przy których ciężarówka była drobiazgiem. I to zbudowanych przez nomy. Jeden z takich wielkich statków badających niewielką gwiazdę na skraju niczegości wysłał mniejszy statek, żeby ten zbadał świat ludzi.

I coś się stało — Masklin nie do końca rozumiał co, poza tym że to, co napędzało statek, zepsuło się i statek miał kraksę. Przeżyły setki nomów, a jeden z nich, przeszukując wrak, znalazł Rzecz. Bez elektryczności nie była przydatna do jedzenia, ale zachowali ją, ponieważ to ona sterowała ich statkiem.

I przekazywali z pokolenia na pokolenie, coraz mniej wiedząc i coraz więcej zapominając poza tym, że Rzecz była naprawdę bardzo ważna.

Masklin stwierdził, że to dość, jak na jeden raz, ale nie to było najważniejsze i nie od tego kręciło mu się w głowie, gdy tylko o tym pomyślał.

Najważniejsze bowiem było, że ten wielki statek, który mógł latać między gwiazdami, wciąż gdzieś tam krąży. Maszyny go naprawiały i czekał cierpliwie na powrót nomów. Dla niego i dla maszyn czas nie miał znaczenia poza tym, że go liczyły. Był sprawny, czysty i pusty. I tak będzie czekał zawsze, dopóki nomy nie wrócą.

A potem zabierze je do domu.

Przez cały ten czas, gdy czekał, nomy zdążyły o nim zapomnieć. Zdążyły też zapomnieć wszystko o sobie i żyły w dziurach w ziemi. Masklinowi się to zdecydowanie nie podobało, ale taka była prawda.

A poza tym wiedział, że może to zmienić, i wiedział jak.

Naturalnie, było to zadanie niemożliwe do zrealizowania, ale do takich był przyzwyczajony. Dociągnięcie szczura z lasu do nory było niemożliwe, gdyby spróbował pokonać całą drogę od razu, ale jeśli pociągnęło się go kawałek, odpoczęło, znowu pociągnęło kawałek. . . to było już zupełnie inne zadanie.

Na niemożliwe zadania był tylko jeden sposób — należało podzielić je na szereg po prostu trudnych zadań, potem każde z nich na ciężkie zadania i każde z nich z kolei na uciążliwe zadania, a potem. . .

Najprawdopodobniej najtrudniejszą częścią będzie wytłumaczenie nomom, kim były kiedyś i kim mogą znów się stać.

Miał co prawda plan. No, pierwotnie był to plan Rzeczy, ale tyle o nim i nad nim myślał, że właściwie był to także jego plan. Był on prawdopodobnie niemożliwy do wykonania, lecz dopóki nie spróbował, nie mógł mieć pewności.

Przez cały ten czas, gdy milczał i myślał, Gurder obserwował go ostrożnie.

— Ten... ten plan... — zaczął Masklin.

— Tak?

— Opat powiedział mi, że Piśmienni zawsze próbowali nakłonić nomy do wspólnej pracy i do zaniechania kłótni.

— Zawsze chcieliśmy taki stan osiągnąć — przytaknął Gurder.

— Żeby ten plan się powiódł, będą musieli współpracować. Wszyscy.

— Dobrze.

— Tylko tak mi się coś wydaje, że tobie się za bardzo nie spodoba — oznajmił w końcu Masklin.

— To nieuczciwe! Jak możesz zakładać coś takiego?!

— Wydaje mi się, że jak go poznasz, to go obśmiejesz.

— Powiedz mi, a przekonasz się, że się mylisz! — oświadczył nieco urażony Gurder.

Masklin mu powiedział.

Gdy Gurder wyszedł z szoku, zaczął się tak śmieć, że siadł. W końcu spojrzał na Masklina i przestał się śmiać.

— Nie mówisz poważnie? — spytał z nadzieją w głosie.

— Ujmijmy to tak: masz lepszy plan? A jeśli nie, to czy mi pomożesz?

— Ale jak zamierzasz... jak mamy... no, może i jest możliwe, żebyśmy...? — Najwyraźniej ilość pytań przerastała możliwości Gurdera.

— Znajdziemy sposób — zapewnił go Masklin i dodał dyplomatycznie: — Naturalnie z pomocą Arnolda Brosa (zał. 1905).

— Och, naturalnie — potwierdził słabo Gurder. Ale zebrał się w sobie. — I tak, jak już mam być nowym opatem, to muszę wygłosić mowę — stwierdził. — To jest oczekiwane. Ogólne przesłanie o dobrej woli i tym podobne frazesy. O tym porozmawiamy później na spokojnie i w ciszy...

Masklin potrząsnął przecząco głową, nie odzywając się słowem.

— Chcesz... chcesz powiedzieć, że teraz? — spytał Gurder, przełykając nerwowo ślinę.

— Teraz. Musimy im powiedzieć teraz.

## Rozdział ósmy

I. I zebrali się przywódcy nomów i przemówił do nich opat Gurder tymi słowami: „Wysłuchajcie Słów Przybysza.”

II. I odrzekli mu z gniewem niektórzy: „On jest Przybyszem, dlaczegóż więc mielibyśmy wysłuchać Słów jego?”

III. I rzekł im tedy opat Gurder: „Albowiem takie było życzenie starego opata. A także ja sobie tego życzę.”

IV. Pomruczeli tedy, ale ucichli.

V. I rzekł Przybysz: „Co się tyczy Wieści o Wyburzeniu, to mam Plan.”

VI. „Niechaj nie ucieka lud nasz jako Wszy Drzewne z przewróconego pnia, ale odejdźmy jako Wolny Lud wtedy, kiedy możemy.”

VII. Przerwali mu wonczas, pytając: „Co to Wszy?” Odrzekł im tedy: „Niech będzie jako Szczury.”

VIII. I rzekł dalej: „Zabierzmy wszystko, czego potrzebować będziemy, by żyć w Zewnątrz. Nie w innym Sklepie, ale pod sklepieniem Niebios. Weźmy nomów wszelakich, tak starych, jak i młodych, jak też wszelakie materiały i wieści, jakich potrzebować możemy.”

IX. „Wszelakie?” — spytali w niepewności, tedy potwierdził. A wonczas rzekli mu: „Tego dokonać nie podołamy. . .”

*Księga nomów, Piętro Trzecie, w. I-IX*

— Właśnie, że możemy — odparł Masklin. — Jeśli ukradniemy ciężarówkę. Zapanowała martwa cisza.

W której prawie było słyhać, jak hrabia Żelaznotowarowych unosi brew.

— To wielkie, śmierdzące z kołami w każdym rogu? — upewnił się.

— To — potwierdził Masklin świadom, że wszyscy na niego patrzą.

I zarumienił się.

— Ten nom jest durniem! — warknął książę de Pasmantarii. — Nawet jeśli Sklep faktycznie jest w niebezpieczeństwie, w co, prawdę mówiąc, nie wierzę, bo nic na to nie wskazuje, to i tak ten pomysł to czysta niedorzeczność.



— W ciężarówce jest tyle miejsca, że zmieszczą się wszyscy i wszystko. — Masklin zarumienił się jeszcze bardziej. — Możemy ukraść książki, w których opisano, jak robić różne rzeczy...

— Ot, ciekawostka: gębą rusza, dźwięki wydaje, a sensu też nie ma nic, a nic — skomentował książkę, czemu towarzyszyła salwa nieco nerwowego śmiechu.

Śmiech rozbrzmiewał głównie z sąsiedztwa księcia. Za to Masklin zauważył, że Angalo się nie śmiał.

— Nie chciałym obrażać poprzedniego opata, ale słyszałem, że są też inne Sklepy — odezwał się jeden z władców pomniejszych działów. — Chodzi mi o to, że musieliśmy przecież gdzieś żyć przed Sklepem... No, bo skoro Sklep został zbudowany w tysiąc dziewięćset piątym roku, to gdzie żyliśmy rok wcześniej? Nie chcę nikogo obrażać, po prostu pytam.

— Nie mówię o życiu w innym Sklepie — sprecyzował Masklin. — Mówię o życiu na wolności.

— A ja mam dość słuchania tych bzdur! Stary opat był sensownym nomem, ale pod koniec musiał nieco osłabnąć na umyśle — warknął książkę, po czym odwrócił się i wyszedł, tupiąc głośno.

Większość obecnych poszła za jego przykładem, choć nie wszyscy z ochotą. Kilku ociągało się i w końcu zostali.

Znaleźli się wśród nich: hrabia, niewysoka, pulchna jejmość, która okazała się baronową del Ikates, i kilkunastu władców pomniejszych działów i stoisk.

Hrabia rozejrzał się nieco teatralnie, za to z uśmiechem.

— Nareszcie trochę tu wolnego miejsca. Nie przerywaj sobie, młodzieńcze.

— Cóż... to w zasadzie wszystko — stwierdził Masklin. — Nie mogę dokładniej niczego zaplanować, dopóki nie dowiem się całej masy różnych rzeczy. Na przykład, czy potraficie robić prąd? Nie kraść ze Sklepu, ale robić?

Hrabia pogładził w zamyśleniu podbródek.

— Chcesz, żebym zdradził ci najważniejsze tajemnice działu? — spytał poważnie.

— Jeśli mamy podjąć ten desperacki krok, niezbędne jest, abyśmy byli względem siebie szczerzy i dzielili się wiedzą — wtrącił ostro Gurder.

— To prawda — przyznał Masklin.

— Właśnie. — Gurder się zapalił. — Wszyscy mamy działać wspólnie dla dobra wszystkich nomów.

— Dobrze powiedziane — pochwalił Masklin i dodał z kamienną miną: — I dlatego Piśmienni ze swej strony będą uczyć czytać wszystkich, którzy będą chcieli.

Zapadła cisza. Przerwało ją słabe charczenie — Gurder próbował się nie uduścić.

— Czy... czy... czytać! — wychrypiał.

Masklin prawie się uśmiechnął. Sytuacja jednakże była poważna, a niespodzianki dla Gurdera jeszcze się nie skończyły. Spojrzał na Grimmę i widząc jej minę, dodał:

— W tym także kobiety.

Tym razem znacznie bardziej zaskoczony okazał się hrabia.

Za to baronowa była wielce uradowana.

Gurder przestał charczeć, za to zaczął miauczeć.

— Na półkach w Dziale Artykułów Papierniczych i Piśmiennych znajduje się masa rozmaitych książek. — Masklin postanowił go ignorować. — Praktycznie powinny tam być książki ze wszystkimi odpowiedziami na nasze problemy. Będziemy potrzebowali znacznie więcej umiejących czytać, by móc znaleźć to, czego szukamy. A kiedy będziemy wiedzieli, jak zrobić to, co chcemy, zaczniemy to robić.

— Wydaje mi się, że nasz nowy opat powinien się czegoś napić — zauważył hrabia. — Może być woda, byle była zaraz. Inaczej nowy duch współpracy i współdzielenia może go przytłoczyć.

— Młodzińcze, to, co mówisz, może być prawdziwe — odezwała się baronowa. — Ale czy w którejś z tych cennych książek będzie, jak kontrolować tę całą ciężarówkę?

Masklin przytaknął, gdyż na takie pytanie był przygotowany. Zanim jednak odpowiedział, poczekał, aż Grimmera przyciągnie przygotowaną wcześniej książkę. Książka nie była gruba, ale wysokością dorównywała dziewczynie. Razem ustawili ją tak, by wszyscy mogli zobaczyć tytuł.

— Ona się nazywa „Kodeks drogowy” — oznajmił dumnie. — Tyle już się nauczyłem czytać. Ma w środku dużo obrazków, a na początku jest napisane, że jak się ktoś nauczy kodeksu drogowego, to potrafi jeździć samochodem. A ciężarówka to też samochód. Tak tam piszą.

— A ja już zaczęłam szukać, co znaczą niektóre wyrazy — dodała Grimmera.

— Faktycznie zaczyna się uczyć czytać — potwierdził Masklin, którego uwagi nie umknęło zainteresowanie baronowej tym aspektem czytania.

— I to będzie wszystko? — spytał hrabia. — Wystarczy przeczytać tę książkę i ciężarówka będzie nas słuchać?

— Hm. . . — Ta sprawa Masklina także martwiła, a co gorsza, miał silne, choć niejasne obawy, że to nie może być tak łatwe, ale teraz nie był ani czas, ani miejsce po temu, by te obawy rozpowszechniać.

Detalami będzie okazja zając się później, gdy zaczną się pojawiać trudności. Jak to opat powiedział?

. . . „Przywódca nie musi mieć racji, ale musi mieć pewność”, tak to, zdaje się, było. Aha, i jeszcze że jak ma rację, to tym lepiej.

— Dziś rano obejrzałem sobie dokładnie gniazdo ciężarówek. . . to jest, chciałem powiedzieć, garaż — powiedział spokojnie. — Jak się odpowiednio wysoko

wspiąć, to wszystko dobrze widać. Tam są różne przyciski, dźwignie i koła, ale sędzę, że się dowiemy, do czego służą. A poza tym kierowanie taką ciężarówką nie może być za trudne, bo inaczej ludzie nie byliby w stanie tego robić.

Z tym ostatnim musieli się zgodzić wszyscy.

— Naprawdę intrygujące — przyznał hrabia. — Można spytać, czego konkretnie oczekujesz od nas w tej chwili?

— Nomów — odparł krótko Masklin. — Tylu, bez ilu możecie się obejść, a zwłaszcza tych, bez których nie możecie się obejść. No i ich utrzymanie.

Baronowa spojrzała badawczo na hrabiego. Ponieważ skinął głową, zrobiła to samo.

— Mam tylko jeszcze jedno pytanie, ale tym razem nie do ciebie, młodzieńcze — odezwała się niespodziewanie. — Powiedz mi, moja droga: dobrze się czujesz? Wiesz, chodzi mi o to całe czytanie. . .

— Na razie znam tylko parę słów — odparła czym prędzej Grimma. — Jak: prawo, lewo i rower.

— I nie zrobiło ci się przy tym gorąco? Albo ciasno w głowie? — spytała ostrożnie baronowa.

— Na pewno nie.

— Mhm. . . to nadzwyczaj interesujące. Nadzwyczaj. — Baronowa przyjrzała się Gurderowi raczej jednoznacznie.

Nowy opat usiadł pod ciężarem tego wzroku.

— Ja. . . ja. . . — zaczął.

I skończył.

Masklin jęknął w duchu. Dotąd sądził, że trudno będzie nauczyć się kierować ciężarówką czy nauczyć się czytać, ale to wszystko były wykonalne zadania. Zanim się zacznie, widać wszelkie trudności, i gdy tylko się nad nimi cierpliwie popracuje, musi się w końcu udać. Tymczasem okazało się, że najtrudniejsze było przekonanie pozostałych do pomysłu. I do współpracy.

\* \* \*

Ochotników zjawilo się dwudziestu ośmiu.

— Za mało — oceniła Grimma.

— Od czegoś trzeba zacząć — pocieszył ją Masklin. — Coś mi się wydaje, że ich liczba będzie rosła, nie malała. Poza tym oni nie muszą płynnie czytać, wystarczy żeby umieli czytać w ogóle. A potem pięciu najlepszych trzeba nauczyć, jak uczyć czytać.

— Jak na to wpadłeś?

— Rzecz mi powiedziała. To się nazywa „analiza drogi krytycznej”. To znaczy, że zawsze jest coś, co się powinno zrobić na początku. Na przykład: gdy

chcesz zbudować blok, musisz wiedzieć, jak się robi cegły, ale zanim zaczniesz robić cegły, musisz wiedzieć, jakiej gliny użyć. I tak dalej.

— Co to jest „głina”? — spytała po namyśle.

— Nie wiem.

— A „cegły”?

— Nie jestem pewien.

— No dobrze, nie chodzi o detale. Co to jest „blok”?

— Jeszcze tego nie rozgryzłem. Ale to ważne, ta analiza drogi krytycznej. I jeszcze jedno jest ważne: to się nazywa „pogoń za postępem”.

— A to co takiego?!

— Wydaje mi się, że głównie to wrzeszczenie na innych, dlaczego tego jeszcze nie zrobili — stwierdził Masklin nieco niepewnie. — I tak mi się widzi, że to idealne zadanie dla Babki Morkie. Wątpię, żeby była zainteresowana nauką czytania, ale krzyczenia można się uczyć od niej. Poza tym musimy się nauczyć, jak myśleć.

— Wiem, jak myśleć! — oburzyła się Grimma.

— Wątpię. To znaczy owszem, wiesz, ale o pewnych rzeczach nie możemy myśleć, bo brakuje nam słów. To tak jak ze sklepowymi nomami: wytłumacz im, co to jest pogoda, jak oni nie wiedzą, co to jest wiatr czy deszcz.

— Wiem, próbowałam opowiedzieć baronowej o śniegu. . .

— Właśnie. Oni nawet nie wiedzą, że nie wiedzą. A o ilu rzeczach my nie wiemy, że nie wiemy? Powinniśmy przeczytać wszystko, co tylko się da, co się z kolei nie spodoba Gurderowi. Wciąż uważa, że tylko Piśmienni powinni umieć czytać. A kłopot z nimi polega na tym, że nawet nie próbują zrozumieć tego, co przeczytają — dodał Masklin.

Przypomniała mu się ostatnia dyskusja z opatem na ten temat.

Gurder był wtedy autentycznie wściekły.

— Czytanie! Każdy głupi nom może tu przyjść i wyczytywać nam druk, gapiąc się na niego! Wczytają nam wszystkie książki, i tyle z tego będzie. I co dalej? Może rozdasz im resztę naszych umiejętności, co? Dlaczego by nie zacząć na przykład uczyć ich pisać, co?!

— Na to przyjdzie pora później. — Masklin spróbował łagodzić.

— Co?!

— To nie jest aż takie ważne. Przynajmniej teraz.

— Dlaczego, na Arnolda Brosa (zał. 1905), nie spytałeś mnie najpierw o zgodę?! — zawył Gurder.

— A dałbyś ją?

— Nie!

— No, to już wiesz dlaczego.

— Kiedy powiedziałem, że ci pomogę, nie spodziewałem się czegoś takiego! — wybuchnął świeżo upieczony opat.

— Ja też nie! — odburknął Masklin.  
Gurder zamilkł.  
— Co masz na myśli? — spytał po chwili ostrożnie.  
— Myślałem, że mi po prostu pomożesz.  
— W porządku. — Złość jakby trochę wyparowała z Gurdera. — Wiesz, że nie mogę już tego zabronić, bo stracę resztki szacunku. Rób, co uważasz za niezbędne, i bierz, kogo musisz, do pomocy. . .  
— Doskonale — ucieszył się Masklin. — Kiedy możesz zacząć?  
— Ja?! Co mam. . .  
— Sam mi mówięś, że najlepiej czytasz.  
— No cóż. . . faktycznie, ale nie. . .  
— Dobrze.

Do tego słowa zaczynali się przyzwyczajać, tak samo jak do tego, że Masklin wymawiał je na różne sposoby. Najczęściej pierwszy oznaczał, że wszystko jasne, drugi, że nie ma sensu dalej dyskutować. Tym razem powiedział to w drugi sposób.

Gurder zamachał dziko rękoma.  
— To czego chcesz ode mnie? — spytał.  
— Ile książek jest w sklepie?  
— Skąd mam wiedzieć? Tysiące.  
— Wiesz, o czym one wszystkie są?  
Gurder przyjrzał mu się z wyraźną troską.  
— A ty wiesz, o czym mówisz? — spytał dla odmiany.  
— Nie — oświadczył Masklin. — Ale chcę się dowiedzieć.  
— One są o wszystkim! Nigdy nie uwierzysz, o czym mogą być książki! I są pełne słów, których nawet ja nie rozumiem!  
— Możesz znaleźć książkę, która jest o tym, jak zrozumieć słowa, których nie rozumiesz? — spytał Masklin i sam się sobie zdziwił, bo zrobił to bezwiednie: to musiała być ta cała „analiza drogi krytycznej”.

Gurdera zatkało.  
— Intrygująca myśl — przyznał po namyśle.  
— Chcę się dowiedzieć wszystkiego o ciężarówkach, elektryczności i jedzeniu. — Masklin szedł za ciosem. — A potem chcę, żebyś znalazł książkę o. . . o. . .

— No?  
Masklin rozejrzał się desperacko i wypalił:  
— Czy jest książka o tym, jak nomy mogą prowadzić ciężarówkę zbudowaną dla ludzi?  
— Nie wiesz, jak to się robi?!  
— Niezupełnie. . . W pewnym sensie miałem nadzieję, że rozwiążemy ten problem. . . niejako przy okazji. . .

— Powiedziałeś, że aby jeździć, musimy się nauczyć kodeksu drogowego! — stwierdził oskarżycielsko Gurder.

— Bo to prawda. Sam widziałeś, że tam tak pisze. Żeby umieć jeździć, musisz znać kodeks drogowy. Tylko... tylko coś mi się wydaje, że to nie będzie aż takie proste... No, mam takie przeczucie...

— Ratuj nas, Raju Przecen!

— Mam nadzieję, że to zrobi. Naprawdę!

\* \* \*

A potem nadszedł czas, by teorię sprawdzić w praktyce.

W gnieździe ciężarówek, zwanym garażem, było zimno, unosił się znajomy śmierdzący zapach jedzenia dla ciężarówek. Było też daleko do podłogi, gdyby któryś spadł ze wspornika pod stropem, na którym urządzili punkt obserwacyjny. Na wszelki wypadek Masklin wolał nie patrzeć bezpośrednio w dół.

Pod nimi stała ciężarówka, która tutaj wydawała się znacznie większa niż na zewnątrz. Była wielka, czerwona i straszna w blasku lamp.

— Wystarczy — zdecydował Masklin. — Jesteśmy nad tą budką, w której siedzi kierowca.

— To się nazywa „kabina” — odpowiedział Angalo.

— Może być kabina.

Angalo był niespodzianką.

Zjawił się któregoś dnia w dziale Piśmiennych, zdyszany i czerwony na twarzy, i zażądał, by go nauczono czytać.

Żeby mógł zdobyć wiedzę o ciężarówkach.

Które go fascynowały.

— Przecież twój ojciec jest przeciwny temu pomysłowi — zdziwił się Masklin.

— Ale ja nie jestem moim ojcem! — odpalił wcale rozsądnie Angalo. — A ja chcę to wszystko zobaczyć, chcę być na zewnątrz i przekonać się, czy naprawdę istnieje. Tobie to dobrze, bo już tam byłeś i wiesz!

Czytanie szło mu niespecjalnie, ale się zaparł, zwłaszcza gdy znaleziono kilka książek z ciężarówkami na okładkach. Teraz wiedział o nich więcej niż pozostali razem wzięci. Masklin uważał, że to i tak niezbyt wiele.

Masklin miał okazję wysłuchać dziwnej, mamrotliwej litanii, gdy Angalo mocował się z pasami.

— Biegi, sprzęgło, kierownica, wycieraczki, przekładnia. Breaker, Breaker, tu kumpel Smoky’ego. Podwójne Jaja z Frytkami. Lornetę z meduzą proszę! Dobra, jestem gotowy.

— Pamiętaj, że nie zawsze zostawiają otwarte okna — przypomniał mu Masklin. — Jak się okaże, że wszystkie są zamknięte, pociągnij raz za linę, to cię wciągniemy. Jasne?

— Dziesięć-cztery!

— Co?!

— To po szoferacku „tak” — wyjaśnił Angalo. — W języku kierowców, znaczy się.

— Dobra, ale póki co mów tak, żeby cię można było zrozumieć, dobrze? Gdy już będziesz w środku, znajdź taką kryjówkę, żebyś z niej dokładnie widział kierowcę czy szofera i . . .

— Wiem, wyjaśniałeś mi to już parę razy, pamiętasz? — przypomniał zniecierpliwiony ochotnik.

— Nie szkodzi. Masz śniadanie?

Angalo poklepał torbę przytroczoną do pasa.

— Notes też mam. Ogólnie jestem gotowy, więc gaz do dechy!

— Co proszę?

— To znaczy „jedziemy”. Po szoferacku.

— Musimy znać ich język, żeby nią kierować? — zdziwił się Masklin.

— Dziesięć-siedem, znaczy się nie musimy.

— To dobrze. Dopóki sam siebie rozumiesz, to pół biedy. — Masklin odetchnął z ulgą.

Dorcias dowodzący grupą opuszczająco-podnoszącą stuknął Angala w ramię i spytał z nadzieją:

— Jesteś pewien, że nie chcesz kombinezonu ochronnego?

Kombinezon ochronny na zewnątrz miał kształt stożka, wykonany był z grubego materiału i rozpięty na czymś w rodzaju stelażu od parasola, co można było składać i rozkładać. Miał też niewielkie okienko i był rękodziełem Dorcasa.

— No, bo wy mogliście się przez pokolenia przystosować do wiatru i deszczu — wyjaśnił Masklinowi. — Ja wiem: może zrobiły się wam specjalnie twarde głowy. . . Ostrożności nigdy za wiele!

— Wątpię, ale dziękuję — odparł wyjątkowo uprzejmie Angalo. — Poza tym jest ciężki, a tym razem mam nie wysiadać z kabiny.

— No dobra, nie ma co tu sterczeć — zdecydował Masklin. — Gotowi przy linach? No, to ruszaj. I niech Arnold Bros (zał. 1905) ma cię w opiece.

To ostatnie dodał na wszelki wypadek. A poza tym i tak nie mogło zaszkodzić.

Angalo zsunął się poza wspornik i powoli zaczął zjeżdżać, w miarę jak podwładni Dorcasa luzowali linę. Masklin miał jedynie nadzieję, że mają jej wystarczająco dużo, bo nikomu nie przyszło do głowy wpierw zmierzyć odległość.

Wtem liną rozpaczliwie szarpnięto.

Masklin położył się na wsporniku i spojrzął w dół: Angalo wisiał jakiś metr poniżej.

— Tylko jakby mi się coś stało, żeby mi nikt nie próbował zjeść Bobo! — zawołał, widząc głowę Masklina.

— Nic się nie bój! Nic ci się nie stanie.

— Wiem, ale jakby się stało, to Bobo ma trafić w dobre ręce! — zażądał Angalo.

— Dobrze. W dobre ręce.

— Takie, których właściciel nie je szcurów! Obiecujesz?

— Obiecuję: nie zjeść Bobo!

Angalo skinął głową. Masklin dał znak i lina zaczęła się ponownie opuszczać.

W końcu Angalo był już na dachu kabiny i zjechał po jego spadzi, by sprawdzić boczne okno. Masklinowi zakręciło się w głowie od samej obserwacji jego poczynąń.

Angalo zniknął, a zaraz potem nastąpiły dwa szarpnięcia oznaczające „więcej liny”. Wykonali polecenie i czekali. Po pewnym czasie dało się odczuć słabe trzy szarpnięcia, przerwa i znów trzy szarpnięcia.

Masklin odetchnął z ulgą.

— Angalo wylądował — oznajmił. — Wciągnijcie linę i zostawcie tu na wszelki wypadek. . . to jest, chciałem powiedzieć, na jego powrót.

Zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na ciężarówkę. Ciężarówki wyjeżdżały, przyjeżdżały i według zgodnej opinii wielu, którą najgłośniejszemu propagował Dorcas, były to te same ciężarówki. Wyjeżdżały wypełnione towarami, przyjeżdżały puste albo także wypełnione towarami. W każdym razie przekraczało czyjekolwiek zrozumienie, po co Arnold Bros (zał. 1905) wywoził na dzień towary ze sklepu. Pewne było tylko to, że ciężarówki najczęściej wracały na drugi dzień, a czasem na trzeci.

Dokąd pojedzie ciężarówka z badaczem (czyli z Angalem), ile czasu jej nie będzie i co Angalo zobaczy, nikt nie wiedział. Oprócz tego Masklin nie wiedział, co powie jego rodzicom, jeśli Angalo nie wróci. Że ktoś musiał jechać, a Angalo tak bardzo chciał, że o to prosił, że musieli sprawdzić, jak się kieruje ciężarówką, i że wszystko od tego zależało? Nie wydawało mu się, by w takich warunkach brzmiało to specjalnie przekonująco.

Dorcas podszedł do niego i spojrzał w dół bez emocji.

— Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mieli wszystkich w ten sposób opuścić — stwierdził.

— Wiem. Będziemy musieli znaleźć lepszy.

Dorcas pomilczał chwilę, po czym rzekł, wskazując na jedną z dalej stojących ciężarówek:

— Tam, przy drzwiach kierowcy, jest taki mały stopień, widzisz? Gdybyśmy się na niego dostali i zarzucili linę na klamkę. . .

Masklin z niechęcią potrząsnął głową.



— Jest za wysoko. Żeby go dosięgnąć... to mały krok dla człowieka, ale wielki skok dla nomów.

## Rozdział dziewiąty

V. I rzekł im Przybysz: „Wy, którzy nie wierzycie w Zewnętrze, wyślijciez jednego spośród was, by dowiódł mych słów.”

VI. I tako wysłano jednego Autem Ciężarowym, i udał się on na zewnątrz sprawdzić, azali zaiste może tam być nowy Dom.

VII. I czekali go wszyscy w napięciu wielkim, a on nie powracał. . .

*Księga nomów, Wysyłka, w. V-VII*

Masklin sypiał w starym kartonie po butach stojącym u Piśmiennych. Tam było najspokojniej. Tym razem jednakże, gdy wrócił, oczekiwał go niewielki komitet powitalny trzymający otwartą książkę.

Masklin był trochę rozczarowany w kwestii książek. Być może wszystko, czego chciał się dowiedzieć, było w nich gdzieś zapisane, ale prawdziwym problemem było znalezienie tych informacji. Wychodziło na to, że książki były specjalnie tak robione, żeby utrudniać znalezienie w nich czegokolwiek, bo za nic nie dawało się w nich znaleźć sensu. A raczej sens w nich był, tylko jakiś taki zdecydowanie nonsensowny.

Wśród oczekujących rozpoznał Vinto Pimmiego i westchnął ciężko. Vinto był młodym Żelaznotowarowym i jednym z najszybciej czytających, ale z myśleniem było u niego gorzej, a w dodatku dawał się ponosić entuzjazmowi.

— Rozłożyliśmy to! — oznajmił Vinto dumnie. — Na czynniki pierwsze.

— A możecie to złożyć? — spytał bez wielkiej nadziei Masklin.

— Chodzi o to, że wiem, jak zmusić człowieka, żeby kierował dla nas ciężarówką!

Masklin zaczął już powoli wpadać w nałóg ciężkiego wzdychania.

— Już się nad tym zastanawialiśmy — przypomniał. — To się nie uda. Jeżeli mu się pokażemy to. . .

— Nieważne! Nie zrobi niczego, czego nie będziemy chcieli, jeżeli tylko będziemy mieli gnu!

Vinto uśmiechnął się szeroko, zadowolony z siebie, zupełnie jak szczeniak, któremu wyszła trudna sztuczka.

— Gnu? — powtórzył słabo Masklin.

— Tak tu pisze! — Vinto wskazał dumnie na otwartą książkę i Masklin spróbował coś z niej odczytać.

Na regularną naukę czytania nie miał czasu, jednak dzięki częstym kontaktom z drukiem łapał coraz to nowe słowa i umiejętności. Szło mu wolno, ale z tego, co zdołał przeczytać, książka była o jakimś zakładzie i dziesięciu tysiącach stóp.

— To coś o butach? — spytał domyślnie.

— Skądże znowu! Trzeba mieć gnu, wycelować ją w głowę kierowcy i wtedy ktoś musi powiedzieć: „Uważaj, on ma gnu!”, a ten, co ma gnu, mówi: „Zawieź nas tam, gdzie ci każe, bo jak nie, to cię zastrzelę!” A potem. . .

— Już dobrze! Wystarczy! — Masklin aż się cofnął. — Pięknie. Zastanowimy się nad tym. Na pewno. Kiedyś. Doskonała robota.

— Sprytnie to wymyśliłem, prawda?

— Owszem. Nawet z pewnością. . . prawdopodobnie. Słuchaj, nie sądzisz, że mógłbyś teraz dla odmiany poczytać bardziej praktyczne książki, na przykład. . . — Masklin urwał. Zdał sobie bowiem sprawę, że nie wie, jakie miałyby być te praktyczne książki.

Wtoczył się do pudełka zasłaniając tekturą wejście, i oparł się ciężko o ściankę.

— Rzecz?

— „Tak?” — rozległ się cichy głos gdzieś z kłębu szmat stanowiących łóżko.

— Co to jest „gnu”?

Zapadła krótka cisza, po czym Rzecz powiedziała:

— „Gnu, *Connochaetes*, należy do rodziny Bovidae. Afrykańska antylopa o zakręconych ku dołowi rogach. Długość ciała do dwóch metrów (sześć i pół stopy), szerokość do stu czterdziestu centymetrów (cztery i pół stopy), waga do dwustu siedemdziesięciu kilogramów (sześćset funtów). Żyje na trawiastych równinach środkowej Afryki.”

— Aha. Można nią komuś grozić?

— „Całkiem możliwe.”

— A można taką znaleźć w Sklepie? Chociaż jedną?

Tym razem przerwa była dłuższa.

— „A jest tu Dział Zoologiczny?”

Masklin od wczoraj wiedział, co to takiego. Dowiedział się przy okazji wybijania Vintowi z głowy pomysłu zabrania ze sobą stadka świnek morskich, które miałyby być hodowane na mięso.

— Nie ma.

— „Obawiam się, że szansa jest raczej znikoma.”

— Może to i dobrze. . . — Masklin opadł na łóżko. — Widzisz, musimy mieć kontrolę nad tym, dokąd jedziemy. I musimy znaleźć jakieś miejsce trochę oddalone od ludzi. Ale nie za daleko. . . Gdziebądź, byle bezpieczne gdziebądź.

— „Musisz poszukać mapy lub atlasu.”  
— A jak one wyglądają?  
— „Jak znajdziesz, to będziesz wiedział. Mają na okładce napis mapa albo atlas.”  
— Muszę powiedzieć o tym Gurderowi, żeby zarządził poszukiwania — ziewnął Masklin.  
— „Musisz się przespać.”  
— Wszyscy ciągle czegoś ode mnie chcą — poskarżył się. — A poza tym ty nie sypiasz.  
— „Ze mną to zupełnie inna sprawa!”  
— To, czego naprawdę potrzebuję, to sposób. Gnu użyć nie możemy, poza tym nie podoba mi się pomysł strzelania do kogoś, nawet do człowieka. Wszyscy myślą, że znam ten sposób, a ja go wcale nie znam. Wiemy, czego potrzebujemy, ale nie zdołamy załadować tego w jedną noc na ciężarówkę. Wszyscy myślą, że ja wszystko wiem, a wcale tak nie jest. A przede wszystkim nie znam sposobu. . .  
Masklin zasnął i śniło mu się, że jest ludzkich rozmiarów. Wtedy wszystko byłoby proste i łatwe.

\* \* \*

Minęły dwa dni.  
Przez cały czas na wsporniku czuwał posterunek obserwacyjny wyposażony w plastikową lunetę z Działu Zabawek. Dzięki niej dowiedziano się między innymi, że metalowe wrota garażu otwiera się przez naciśnięcie czerwonego przycisku w ścianie. Doszedł więc kolejny problem do listy Masklina — jak przycisnąć coś, co znajduje się dziesięć razy wyżej niż głowa.  
Gurder znalazł mapę. W niewielkiej i niepozornej książce.  
— Co roku mamy takich na pęczki — wyjaśnił. — To się nazywa. . . „Kalendarz kieszonkowy” i z tyłu ma mapę, zobacz sam.  
Mapa była niebiesko-czerwona. Na plamach czerwonych, których było mniej, wypisano takie słowa, jak „Azja” albo „Afryka”.  
— Taaak — mruknął Masklin. — Dobra robota. . . chyba. A gdzie my jesteśmy?  
— Na środku. — Dla Gurdera było to oczywiste. — Przecież to logiczne.  
A potem wróciła ciężarówka.  
Angalo nie wrócił.

\* \* \*

Tym razem Masklin przebiegł po wsporniku, nawet nie pamiętając o wysokości. Grupka skupiona przy punkcie obserwacyjnym powiedziała mu to, czego nie

chciał usłyszeć. W jej centrum siedział młody nom, którego opuszczono na linie, i meldował, łapiąc oddech:

— Próbowałem wszystkich okien, ale są zamknięte. Wewnątrz nie widziałem nikogo, ale tam jest ciemno.

— Jesteś pewien, że to ta ciężarówka? — spytał Masklin.

— Wszystkie mają z przodu i z tyłu numery. Zapamiętałem ten z ciężarówki, którą wyjechał Angalo. Ta, która wróciła dziś po południu, ma takie same.

— Musimy się dostać do środka i rozejrzeć! — zdecydował Masklin. — Trzeba... nie, to będzie za długo trwało. Opuśćcie mnie!

— Co?

— Opuśćcie mnie na podłogę! — powtórzył Masklin.

— To naprawdę daleko... — bąknął ktoś z obecnych.

— Wiem o tym aż za dobrze! Ale schodami będzie jeszcze dalej, a on może tam leżeć ranny albo co.

— To nie nasza wina! — zaprotestował szef dyżurnych. — Jak wróciła, to wszędzie kręcili się ludzie. Musieliśmy poczekać.

— To nie jest niczyja wina — uspokoił go Masklin. — Część z was niech pójdzie schodami i spotka się ze mną na dole. No, przecież mówię, że to nie jest niczyja wina.

Jeśli nie brać pod uwagę, że jego, Masklina — ale o tym wołał głośno nie mówić.

Powoli opuszczano go w mrok, w którym wyraźnie widoczny był tylko olbrzymi kształt ciężarówki przesuwający się obok. Na zewnątrz zdecydowanie wyglądały na mniejsze.

Podłoga była tłusta i poplamiona czymś, co się nazywało oleje i smary. Masklin odwiązał linę i pobiegł pod ciężarówkę, w świat, którego sufit stanowiły rury, druty i inne metalowe rzeczy. Był on co prawda zbyt wysoko, by go dosięgnąć, ale pod ławką przy ścianie znalazł kawał drutu. Przyciągnął go pod ciężarówkę, wygiął jeden koniec w hak i chwilę później czołgał się między rurami i przewodami.

Nie było to ciężkie, gdyż prawie cały spód ciężarówki składał się z przedziwnej płataniny przewodów, drutów i rur. Po chwili dotarł do metalowej ściany z dziurami, przez którą przetknięte były pęki przewodów i przy użyciu sporej siły i samozaparcia zdołał się przecisnąć przez największą z nich.

Wewnątrz był... dywan. A raczej dywanik, ale i tak było to dziwne znalezisko w kabinie ciężarówki. Pełno na nim było papierków po cukierkach, opakowań po batonikach i innych śmieci. Nieco dalej z brudnych i tłustych otworów w podłodze wystawały trzy podobne do pedałów masywne przedmioty. W sporej odległości było siedzenie, a przed nim, wysoko, wielkie koło puste w środku. Jego umiejscowienie było nawet logiczne, biorąc pod uwagę, jak ciężarówką rzucało — człowiek w kabinie też musiał się czegoś trzymać.

— Angalo?! — zawołał cicho Masklin.

Odpowiedzi nie było.

Zaczął więc zaglądać w różne zakamarki i przetrząsać śmieci. Prawie zrezygnował, gdy w stercie śmieci pod siedzeniem znalazł coś, co dla człowieka byłoby kolejnym śmieciem. W rzeczywistości była to kurtka Angala.

Sama zaś sterta przy odrobinie wyobraźni wyglądała, jakby ktoś umościł sobie w niej legowisko.

Masklin przetrząsnął ją dokładniej i znalazł papier, w który zawinięte były kanapki Angala.

Nie mając nic więcej do szukania w kabynie, wziął kurtkę i wydostał się pod ciężarówkę, gdzie czekał tuzin nomów. Pokazał im kurtkę i wzruszył wymownie ramionami.

— Nic więcej — oznajmił ponuro. — Był tam, ale go nie ma.

— Co mu się mogło przytrafić? — spytał jeden ze starszych nomów.

— Mógł go zmiażdżyć deszcz — odezwał się z tyłu ktoś ponuro. — Albo porwać wiatr.

— Racja, na zewnątrz mogą być okropne rzeczy — przytaknął ktoś inny.

— Nie! To znaczy tak, na zewnątrz są okropne rzeczy... — zaczął Masklin.

— Aha — westchnęli pozostali.

— ...ale nie o to chodzi. Miał nie wychodzić z kabiny, a tam był zupełnie bezpieczny. Mówiłem mu, żeby nie ruszał się z... — Masklin zamilkł, uświadamiając sobie, że wokół jest nienaturalnie cicho. I że pozostali nie patrzą na niego, tylko na coś za jego plecami. Odwrócił się powoli.

Stał tam książę de Pasmantarii otoczony przez sporą część swojej straży. Książę spoglądał na niego tak, jak Masklin zazwyczaj spoglądał na martwego szczura, po czym bez słowa wyciągnął rękę. Masklin podał mu kurtkę, którą tamten zaczął oglądać na wszystkie strony, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

Cisza stawała się coraz cichsza, aż w końcu zaczęła wibrować.

— Zabroniłem mu jechać — powiedział niespodziewanie miękko książę. — Mówiłem mu, że to niebezpieczne, co było głupotą z mojej strony, bo tylko bardziej się uparł... I co?

Pytanie skierowane było do Masklina.

— ? — zareagował Masklin.

— Czy mój syn jeszcze żyje?

— Całkiem możliwe... Prawdę mówiąc, nie ma powodu, by nie żył.

Książę lekko skinął głową. Potem popatrzył na ciężarówkę, na swoją straż, a w końcu na Masklina, który z trudem przełknął ślinę...

— Te rzeczy wyjeżdżają na zewnątrz, tak? — spytał.

— Cały czas — potwierdził Masklin.

Książę ni to pisał, ni to chrząknął, po czym powiedział:

— Na zewnątrz nic nie ma! Wiem o tym, ale mój syn wiedział coś innego. Ty jesteś przekonany, że powinniśmy wyjść na zewnątrz. Czy wtedy zobaczę syna?

Masklin, zaskoczony, przyjrzał mu się uważniej i przy tej okazji spojrzął w oczy starego noma. Wyglądały niczym para nie dogotowanych jajek, co mu przypomniało, jakiej wielkości jest wszystko na zewnątrz, a jaki jest nom. . . A potem pomyślał, że przywódca powinien wiedzieć, co należy, o prawdzie i szczerości, i o tym, kiedy je rozróżniać. Szansa na znalezienie Angala była mniejsza niż na to, że Sklep jako całość rozwinie skrzydła i odleci, za to prawda. . .

— To możliwe — powiedział, czując się podle, ale przecież było to możliwe.

— Dobrze. — Mina księcia nie zmieniła się ani odrobinę. — Czego potrzebujesz?

— Co?! — Masklinowi opadła szczęka.

— Pytałem, czego potrzebujesz? Żeby zmusić ciężarówkę do wyjechania na zewnątrz.

— No. . . teraz to najbardziej potrzebujemy ochotników. . .

— Ilu?

Masklin zastanowił się błyskawicznie.

— Pięćdziesięciu? — zaproponował.

— Będziesz ich miał.

— Ale. . . — zaczął Masklin i umilkł: wyraz twarzy księcia właśnie się zmienił na zwyczajowy, czyli zły.

— Lepiej niech ci się uda! — syknął książę, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Tego wieczoru zjawilo się pięćdziesięciu de Pasmantarii, wytrzeszczając oczy na garaż i potykając się prawie o własne opadłe ze zdumienia szczęki. Gurder protestował, ale Masklin zagonił wszystkich, którzy sprawiali choćby wrażenie rozgarniętych, do nauki czytania.

— Jest ich za dużo! — jęknął Gurder. — Poza tym to zwykli strażnicy, na litość Arnolda Brosa (zał. 1905).

— Sądziłem, że się zacznie targować i stanie na dwudziestu pięciu — przyznał Masklin. — Ale i tak coś mi się widzi, że niedługo będziemy potrzebować ich wszystkich.

Czytanie nie szło tak, jak się spodziewał — owszem, w książkach była masa użytecznych rzeczy, ale znalezienie ich wśród rozmaitych dziwactw było naprawdę ciężką pracą. A dziwactw było co niemiara. Na przykład dziewczynka w króliczej norze.

Naturalnie ją także znalazł Vinto.

— . . . no i wpadła do tej nory, i tam był biały królik z zegarkiem. A potem znalazła taką małą buteleczkę i gdy wypła jej zawartość, zrobiła się duża, naprawdę duża, a potem inną, po której znowu zrobiła się naprawdę mała — relacjonował Vinto z wypiekami na twarzy. — Musimy znaleźć tę pierwszą butelkę i wtedy jeden z nas bez problemów może kierować ciężarówką.

Masklin nie odważył się tego zignorować — powiększenie jednego noma do ludzkich rozmiarów znacznie ułatwiłoby pracę. Warto było się potrudzić, aby to osiągnąć.

Tak więc prawie całą noc spędzili na szukaniu butelek z napisem „Wypij mnie”, ale albo w Sklepie ich nie było (czego Gurder omal nie określił mianem „herezji”, jako że Sklep to Wszystko pod Jednym Dachem), albo to po prostu nie była prawda. Bo okazało się, że jest cała masa książek opisujących nieprawdę i nierzeczywiste wydarzenia. I naprawdę trudno było zrozumieć, dlaczego Arnold Bros (zał. 1905) umieścił aż tak wiele takich bzdur w porządnych książkach.

— Aby wierni mogli odkryć różnicę — dowodził Gurder. — I wytrwali.

Jedną książkę Masklin nawet wziął ze sobą do pudełka. Nazywała się „Dzieciący przewodnik po gwiazdach” i w większości składała się z obrazów nieba w nocy. Nie było wątpliwości, że jest jak najbardziej rzeczywista i prawdziwa.

Lubił ją oglądać, zwłaszcza wtedy gdy miał za dużo spraw do przemyślenia. Były w niej takie różne nazwy, jak: Syriusz albo Rigel albo Wolf 359. Wypróbował kilka z nich na Rzeczy.

— „Nie znam tych nazw.”

— Myślałem, że przybyliśmy z jednej z nich. Mówiłaś...

— „Bo przybyliśmy, ale nazwy są inne. To są ludzkie nazwy i obecnie nie potrafimy ich zidentyfikować.”

— To jak się nazywała gwiazda, z której przybyliśmy? — spytał, kładąc się.

— „Słońce.”

— Ależ... słońce jest tu!

— „Wszystkie gwiazdy są nazywane Słońcem przez żyjących w ich pobliżu. To dlatego, że są dla nich bardzo ważne.”

— A my... to jest nasi przodkowie, ile takich słońc odwiedzili?

— „Do chwili utraty łączności mam zarejestrowane dziewięćdziesiąt cztery tysiące pięćset sześćdziesiąt trzy.”

Masklin zamilkł — duże liczby zawsze sprawiały mu problemy, a ta była jedną z większych. I pomyśleć: tyle słońc tak daleko od siebie nie było kiedyś dla nomów żadnym problemem, a teraz nie wiadomo, jak ruszyć ciężarówkę!

Ujęte w ten sposób — wydawało się to absurdalne.



## Rozdział dziesiąty

X. Aż uradowali się wielce, gdyż Wyczekiwany wrócił. I rzekł im: „Widziały oczy moje Zewnętrze!”

XI. Zapytali go więc: „Jakie jest ono Zewnętrze?”

XII. I odparł: „Zaiste, jest wielkie.”

*Księga nomów, Rachuba, w. X-XII*

Angalo wrócił czwartego dnia szaleńczo wręcz z siebie zadowolony.

Dyżurny obserwator stracił oddech, nim dobiegł do działu Piśmiennych, toteż Angalo zjawiał się prawie zaraz po nim. Maszerował zamaszystym krokiem, z tłumem młodych nomów za plecami, wpatrzonych w niego prawie z uwielbieniem. Był brudny, obszarpany i zmęczony, ale szedł z uniesionym dumnie czołem niczym nom, który dotarł tam, gdzie dotąd nie dotarł żaden nom, i nie może się doczekać, by o tym opowiedzieć.

— Gdzie byłem? Prościej powiedzieć, gdzie nie byłem. Powinniście zobaczyć, co tam jest!

— Gdzie? — spytano nieskładnym chórem.

— Wszędzie! — Oczy mu się zaświeciły. — I wiecie co?

— Co? — Tym razem chór był lepiej zgrany.

— Widziałem Sklep z zewnątrz! Jest... jest śliczny! Same kolumny i wielkie, szklane okna pełne barw.

Angalo zdążył już stać się środkiem gęstniejącego z każdą sekundą tłumy.

— I widziałeś wszystkie działy? — spytał jeden z Piśmiennych.

— Nie widziałem.

— Co?

— Z zewnątrz nie widać działów czy nawet pięter! Z zewnątrz to jest jedna, wielka rzecz! Aha i... — Zaczął gorączkowo grzebać po kieszeniach i wyciągnął mocno sfatygowany notes. — I na ścianie wisi wielki znak. Skopiowałem go, bo nie wiem, co on oznacza: nie jest w szoferackim języku... zaraz... o! Wygląda tak!

Uniósł otwarty notes, by reszta mogła go widzieć.

I zapadła głęboka cisza, gdyż teraz już całkiem sporo nomów umiało czytać.  
W notesie widniał napis:

### WYPRZEDAŻ ZAMYKAJĄCA

Zaraz potem Angala położono do łóżka. Zasypiając, ciągle mamrotał o ciężarówkach, wzgórzach i miastach — czymkolwiek były.

Dwie godziny później Angalo obudził się i Masklin poszedł z nim pogadać.

Angalo siedział na łóżku z pałającymi oczyma wyróżniającymi się w bladej twarzy.

— Tylko żebyś mi go nie przemęczył! — ostrzegła Babka Morkie, jak zwykle dyrygująca wszystkimi, którzy byli zbyt chorzy, by się przed tym uchronić. — Jest słaby i gorączkuje przez to całe trzęsienie w tym hałaśliwym wynalazku! Toż to nienaturalne, zawsze tak mówiłam. Właśnie musiałam wyrzucić jego ojca po ledwie pięciominutowej rozmowie!

— Wyrzuciłaś księcia? — Masklin był szczerze zdumiony. — Jak?! Przecież on nikogo nie słucha!

— W Sklepie to on może być ważny nom — w głosie Babki Morkie wyraźnie słychać było zadowolenie — ale przy chorych to jest zwykle utrapienie.

— Muszę z nim porozmawiać! Z Angalem, nie z księciem — sprecyzował Masklin.

— Ja muszę z nim pogadać — zawtórował mu Angalo. — Muszę wszystkim powiedzieć! Tam jest wszystko! Część z tego, co widziałem. . .

— Teraz to musisz odpocząć! — Babka Morkie łagodnie, acz stanowczo popchnęła go na poduszki. — I ciesz się, że nie wyrzuciłam stąd tego twojego szczura!

Rzeczywiście, spod koca wystawał nos i wąsy Boba udającego, że go tam w ogóle nie ma.

— On jest czysty i jest moim przyjacielem — sprzeciwił się Angalo. — A poza tym mówiłaś, że lubisz szczury!

— Szczura! Powiedziałam „szczura” i chodziło mi o inne jego zastosowanie. . . Pamiętaj, Masklin, żeby się za bardzo nie rozochocił! — rozkazała i wyszła.

Masklin z ulgą siadł na łóżku, a Angalo zaczął entuzjastycznie opowiadać o tym, co widział na zewnątrz, zupełnie jak ktoś, kto całe życie miał opaskę na oczach i nagle ją zdjął. Mówił o świetle na niebie, drogach pełnych ciężarówek, o takich dużych, wystających z podłogi, do których poprzylepiano coś małego, zielonego (czyli drzewa, jak mu podpowiedział Masklin). O wielkich budynkach, do których zabierano różne rzeczy z ciężarówki albo i dokładano. Tam zresztą w jednym takim budynku Angalo się zgubił: gdy ciężarówka się zatrzymała, wysiadł, żeby się załatwić, i nim skończył, ciężarówka odjechała. Wdrapał się więc

do innej, dojechał nią do parkingu i tam poszukał jakiejś ciężarówki Arnolda Bro-  
sa (zał. 1905).

— To musiało być koło bistro — domyślił się Masklin. — Żyliśmy niedaleko  
tego parkingu.

— Tak się to nazywa? — Angalo słuchał go jednym uchem, i to nie przez cały  
czas. — Był tam taki wielki niebieski znak z rysunkami filiżanek, noży i widel-  
ców. Tylko że tam nie było żadnej ciężarówki ze Sklepu, a może była, ale stało  
ich tam tyle, że nie zdołałem jej znaleźć. . .

. . . w końcu zdecydował się poczekać na skraju parkingu, żywiąc się odpadka-  
mi, i doczekał się właściwej. Co prawda nie był w stanie dostać się do kabiny, ale  
wspiął się po kole i znalazł całkiem wygodny schowek między rurami i przewo-  
dami, w którym tylko czasami musiał się trzymać, żeby nie wypaść, gdy mocniej  
trzęsło. Było tam chłodniej niż w kabinie, ale za to mógł obserwować uciekającą  
spod kół drogę.

Z dumą wyjął spod poduszki swój notes tak wypaprany, że prawie czarny.

— O mało co go straciłem — przyznał. — I raz niemal zjadłem, taki byłem  
głodny.

— Ale jednak ocalał — podsumował Masklin, zezując na coraz bardziej znie-  
cierpliwioną Babkę Morkie. — I co, wiesz, jak się kieruje ciężarówką?

— Wiem. Zaraz to znajdę. . . aha, jest! — Angalo uroczyście podał mu notes  
otwarty na skomplikowanym szkicu pełnym strzałek i numerów.

Obok znajdował się opis, który Masklina wprowadził w autentyczne osłupienie.

— Pierwsze: przekręcić kluczyk. . . drugie: nacisnąć czerwony guzik. . . trze-  
cie: wcisnąć lewą stopą pedał numer jeden, przestawić dźwignię w lewo i w gó-  
rę. . . cztery: puścić łagodnie pedał numer jeden i nacisnąć pedał numer dwa. . . —  
Masklin miał dość. — Co to ma być? — Obawiał się, że zna odpowiedź.

— Tak się prowadzi ciężarówkę — odparł zaskoczony Angalo. — To jest opis  
tego, co kolejno robił kierowca.

— Aha. . . ale te wszystkie. . . pedały, dźwignie, przyciski i takie tam — po-  
wiedział słabo Masklin.

— Wszystkie są potrzebne. A potem, jak już się jedzie i zmienia biegi, i. . .

— Ano tak. . . rozumiem — mruknął przybity Masklin, przyglądając się sche-  
matowi i myśląc cały czas tylko o jednym. . .

JAK?!

Angalo okazał się wyjątkowo dokładny. Będąc sam w kabinie, pomierzył  
wszystko. I te wymiary właśnie były przerażające — rączka do skrzyni biegów,  
jak ją nazywał, była na przykład pięć razy wyższa od noma, a wielkie koło, zwane  
kierownicą, było szerokie na ośmiu nomów stojących obok siebie.

No i na dodatek trzeba było mieć kluczyki, o których dotąd Masklin nie wie-  
dział. Okazało się, że praktycznie nie wiedział o niczym.

— I co, dobrze się spisałem? — Angalo wyraźnie domagał się pochwały. — Wszystko zapisałem.

— Dobrze. Nawet bardzo dobrze, żeby nie powiedzieć: za dobrze.

— Musisz wiedzieć, jak jedziesz. Zapisałem też wszystko o klaksonie i o miganiu, jak-się-skręca-za-róg — dodał entuzjastycznie Angalo.

— Jestem tego pewien.

— I o pedale-szybciej i o pedale-wolniej też. I o wszystkim w ogóle. Tylko nie wyglądasz na zadowolonego, Masklin. . .

— Bo muszę w związku z tym przemyśleć całą kupę rzeczy.

Angalo niespodziewanie uczeplił mu się rękawa i powiedział pospiesznie:

— Mówili, że jest tylko jeden Sklep, a jest ich masa. Widziałem je. W każdym mogą żyć nomy. . . wyobrażasz sobie? Życie w innych Sklepach! Naturalnie, że sobie wyobrażasz.

— Musisz się przespać. — Masklin starał się, by stwierdzenie nie zabrzmiało jak rozkaz.

— Kiedy wyruszamy?

— Tym się nie przejmuj, mamy czas. Teraz się prześpij.

Masklin wyszedł z sypialni prosto na kłótnię — księżę wrócił wraz z pomocnikami, miał bowiem zamiar zabrać Angala do swego działu. Właśnie dyskutował o tym z Babką Morkie.

A raczej próbował.

— Madame, zapewniam, że będzie miał doskonałą opiekę — oświadczył właśnie, urażony.

— Tak pan mówi! A co wy wiecie o doktorowaniu? Przecież wam tu się prawie nic nie przytrafia. Tam, skąd ja pochodzę, to chorzy są przez okrągły rok! — oznajmiła z dumą Babka Morkie. — Grypy i skręcenia, bóle brzucha i ugryzienia przez cały czas. To się nazywa doświadczenie! W życiu widziałam więcej chorych niż pan ciepłych obiadów, a sądząc po brzuchu, było ich sporo.

— Madame! Mogę kazać panią uwięzić! — ryknął księżę.

Babka Morkie pociągnęła nosem, najwyraźniej nie przestraszona.

— A co jedno ma wspólnego z drugim? — spytała zaciekawiona.

Księżę otworzył usta do następnego ryku, zobaczył Masklina i zamknął je z trzaskiem.

— Doskonale! — parsknął. — Prawdę mówiąc, co racja to racja. Ale będę go odwiedzał codziennie!

— Byle nie dłużej niż dwie minuty — odparsknęła Babka Morkie.

— Pięć!

— Trzy!

— Cztery!

I na tym stanęło.

Księżę rad nierad przytaknął i skinął na Masklina.

- Rozmawiałeś z moim synem — zagaił.
- Rozmawiałem — zgodził się Masklin.
- Powiedział ci, co widział... .
- Powiedział.

Książę jakby zmałał. Masklin dotąd uważał go za postawnego noma i dopiero teraz zrozumiał, że większość tego wrażenia sprawiało wewnętrzne nadęcie księcia, na które składały się w równej mierze poczucie własnej wartości i autorytetu. Oba zniknęły i książę wydawał się teraz niepewny i dość mocno zaniepokojony.

— No... . — powiedział, spoglądając w pobliże lewego ucha Masklina. — Wysłałem ci kilku ochotników, jak chciałeś, jeśli dobrze pamiętam.

- Zgadza się.
- Są zadowolający?
- Są.

— To daj mi znać, jakbyś potrzebował jeszcze czegoś. Czegokolwiek. — Książę poklepał go po ramieniu i odszedł niepewnie.

— Co mu się stało? — zaniepokoił się poklepany.

Babka Morkie zajęła się pracowitym zwijaniem bandaży. Co prawda nikt ich nie potrzebował, ale Babka była zwolenniczką zapasów. Najlepiej takich, które wystarczyłyby dla całego świata.

— Musi pomyśleć — powiedziała w końcu. — A to zawsze martwi. Zwłaszcza nie przyzwyczajonych.

\* \* \*

— Po prostu nigdy nie sądziłem, że to może być takie trudne! — jęknął Masklin.

— Chcesz powiedzieć, że nie masz pojęcia, jak możemy kierować ciężarówką? — zdumiał się Gurder.

— Żadnego? — upewniła się Grimma.

— Ja... . no cóż... . wydaje mi się, że sądziłem, że one jadą, dokąd się chce — wyznał Masklin. — No, a skoro robią to dla ludzi, to dlaczego nie miałyby zrobić tego dla nas? Nie sądziłem, że tam trzeba tyle deptać, kręcić i przestawiać. Te dźwignie i pedały są olbrzymie, a kierownica ogromna!... . Myślałem nad tym naprawdę długo.

Ci dwoje byli jedynymi, którym mógł w pełni zaufać. A przynajmniej tak sądził.

Zanim jednakże którekolwiek zdążyło się odezwać, kartonowe drzwi odsunęły się i w otworze pojawiło się radosne oblicze.

— Ucieszysz się! — oświadczyło promiennie. — Znowu znalazłem coś rewelacyjnego.

— Później, Vinto, jesteśmy teraz zajęci — jęknął Masklin.

Oblicze Vinta zszarzało.

— Możesz go spokojnie posłuchać — poradziła Grimma niespodziewanie. — Na pewno to nikomu teraz nie zaszkodzi.

Masklin zwiesił głowę.

— No, chłopcze, na jaki pomysł tym razem wpadłeś? — Gurder próbował być jowialny, ale średnio mu to wychodziło. — Zatrudnienie chomików do ciągnięcia ciężarówki?

— Tym razem nie. . .

— To może wpadłeś na to, jak zrobić skrzydła i polecieć?

— Też nie, chociaż o tym pomyśle. . . Za to znalazłem książkę o tym, jak złapać człowieka. A potem, mając gnu. . .

— Mówiłem ci już, że gnu nie da się znaleźć! — Masklin zaczynał się irytować. — Zresztą nie przekonuje mnie ten pomysł z grożeniem ludziom antylopą. . .

Vinto niełatwo się zniechęcał — teraz też zamiast przekonywać, wciągnął do pudełka książkę, otworzył ją w zaznaczonym miejscu i powiedział tylko:

— Tu jest rysunek.

Na rysunku widać było leżącego człowieka, przywiązanego linami do wbitych w ziemię pali. I otoczonego przez nomy.

— No, no! — zdziwiła się Grimma. — To oni mają nawet książki o nas?!

— Znam tę książkę. — Gurder machnął lekceważąco ręką. — To „Podróże Guliwera”. To nie prawda, tylko opowieści.

— Narysowali nas w książkach. — Grimma wciąż nie mogła wyjść z podziwu. — Widzisz, Masklin?

Masklin nie mógł oderwać wzroku od tego, co widział.

— Miałeś dobre chęci, chłopcze. — Po tonie Gurdera słysząc było, że myśli zupełnie o czymś innym. — Dzięki, Vinto, próbuj dalej. A teraz, proszę, zostaw nas samych.

Masklin mrugnął, zamknął otwarte od dłuższej chwili usta i złapał wreszcie pomysł, który nie tyle chodził, ile biegał mu po głowie.

— Liny! — oznajmił odkrywczco.

— To tylko rysunek — przypomniał mu Gurder.

— Grimma, liny!

— Liny?

Masklin spojrział w sufit, czyli w przykrycie pudełka. W takich przypadkach jak ten prawie był skłonny uwierzyć, że nad Rachubą faktycznie ktoś jest.

— Wiem jak! — krzyknął uradowany. — Na Arnolda Brosa (zał. 1905), wiem, jak kierować ciężarówką!

\* \* \*

Tego wieczoru po Zamknięciu kilkadziesiąt niewielkich postaci przebiegło cicho przez garaż i zniknęło pod jedną z parkujących tu ciężarówek. Gdyby ktoś uważnie nasłuchiwał, usłyszałby ciche stuki, szczęknięcia i łomoty przerywane zduszonymi przekleństwami. Trwały one około dziesięciu minut, po czym ucichły.

Znaleźli się w kabinie, rozglądając się z podziwem.

Jedynym, który się nie rozglądał, był Masklin — podszedł do jednego z pedałów, który kończył się kawał ponad jego głowę, zaparł się i pchnął. Pedał ani drgnął. Kilka najbliższych stojących nomów przyszło mu z pomocą i razem zdołali wcisnąć pedał. Odrobine.

Dorcas przyglądał się temu wszystkiemu w zamyśleniu. Oprócz fartucha z wypchanymi kieszeniami miał na sobie pas narzędziowy, z którego zwieszały się różności, najczęściej domowej produkcji, jako że narzędzia odpowiednich rozmiarów nader rzadko można było spotkać w Sklepie. Obserwując poczynania innych, bał się kawałkiem grafitu, który zazwyczaj miał zatknięty za ucho.

— I co? — spytał Masklin.

Puścił pedał i podszedł.

Dorcas podrapał się po nosie.

— To się sprowadza do dźwigni i wielokrążków. Dźwignia to zadziwiająca rzecz: daj mi wystarczająco długą dźwignię i wystarczające podparcie, a poruszę Sklep.

— Chwilowo wystarczyłoby, żebyś poruszył któryś z tych pedałów — zaproponował uprzejmie Masklin.

— Spróbujemy. No, chłopaki, dawajcie deski!

Do kabiny wciągnięto deskę, przyniesioną specjalnie w tym celu z działu Zrób To Sam. Dorcas wymierzył co trzeba sznurkiem i w końcu kazał zaklinować jeden koniec deski w szczelinę w podłodze. Czterech nomów przesunęło deskę tak, że opierała się o pedał.

— Razem, chłopaki! — polecił Dorcas.

Nacisnęli razem i pedał posłusznie opadł do samej podłogi.

Obecni powitali to osiągnięcie nieskładną, ale żywiołową owacją.

— Jak tyś to zrobił? — zdumiał się Masklin.

— Mówiłem: dźwignie — odparł Dorcas i podrapał się po brodzie. — A więc będziemy potrzebowali trzy dźwignie. A masz jakieś pomysły co do tego koła?

— Pomyślałem o linach. . .

— O jakich linach?

— To koło ma poprzeczki. Można do nich przywiązać liny, za które mogą w obie strony ciągnąć grupy nomów, i ciężarówka pojedzie tam, dokąd chcemy — wyjaśnił Masklin. — A to koło to kierownica.

Dorcas przyjrzał mu się podejrzliwie, po czym skoncentrował się na kierownicy. Coś sobie zmierzył, krocząc po podłodze, a potem znieruchomiał i mamrotał ledwo słyszalnie.

— Nie będą widzieli, gdzie jada — oświadczył w końcu.

— Pomyślałem sobie, że ktoś mógłby stanąć, o tam, przy tym wielkim przednim oknie i mówić im, co mają robić. — Masklin spojrzał z nadzieją na starszego noma.

— Angalo twierdzi, że tu jest bardzo głośno, jak jedzie. . . — Dorcas ponownie podrapał się po brodzie. — Ale chyba da się coś na to poradzić. Zostaje jeszcze ta wielka dźwignia od tej, no. . . skrzyni ściegów.

— Skrzyni biegów.

— Obojętne. Znowu liny?

— Tak mi się wydaje, a co ty myślisz?

Dorcas zamilkł, wciągnął z gwizdem powietrze i stwierdził:

— Noo taak. . . Zespoły ciągnące kierownicę, zespoły przedstawiające dźwignię biegów, zespoły przy pedałach i obserwator mówiący wszystkim, co robić. . . to będzie wymagało naprawdę dużo praktyki. Załóżmy, że przygotuję te liny, dźwignie i resztę na jutro, to ile będziemy mieli nocy na ćwiczenia?

— Wliczając w to noc, kiedy. . . eee. . . wyjedziemy?

— Owszem.

— Jedną.

Dorcas popatrzył spokojnie w sufit i równie spokojnie oświadczył:

— Niemożliwe!

— Zrozum: będziemy mieli tylko jedną szansę! Jeśli przewidujesz problemy z ekwipunkiem. . .

— Nie przewiduję. To tylko drewno i sznurek. Na jutro będą gotowe wraz z zapasowymi. Chodzi mi o wykonawców, a żeby to wszystko robić równocześnie, potrzeba będzie naprawdę dużo nomów. I koordynacji. A to osiąga się jedynie poprzez trening.

— Ale. . . przecież muszą jedynie ciągnąć albo pchać, jak im się powie — zdziwił się Masklin.

Dorcas zanucił coś pod nosem, co Masklinowi zaczynało nieodmiennie kojarzyć się ze złymi wieściami.

— Widzisz, mam ponad sześć lat i widziałem naprawdę wiele nomów w swoim życiu. Powiem ci jedno: jak ustawisz dziesięć nomów w rzędzie i każesz im ciągnąć, to cztery zaczną pchać, a dwa nie rozumieją, co mają robić. Taka już nasza natura. — Uśmiechnął się, widząc zawiedzioną minę Masklina. — Teraz musisz znaleźć jakąś małą ciężarówkę, w której moglibyśmy poćwiczyć.

Masklin kiwnął głową ponuro.

— A, jeszcze jedno: pomyślałeś, jak załadować wszystkich? To dwa tysiące nomów, nie licząc tego wszystkiego, co mamy zabrać. Ani stare babcie, ani dzieci



nie będą w stanie się wspinać po linach czyczołgać przez pełne smaru, wąskie dziury.

Masklin potrząsnął głową, widząc, że Dorcas obserwuje go ze zwykłym uśmiechem. To był nom, który znał się na swojej robocie i na swoim słowie: Jeśli Masklin mu powie, żeby się tym wszystkim nie przejmował i zostawił to jemu, Masklinowi, to Dorcas tak właśnie zrobi. Och, ta analiza drogi krytycznej! Dlaczego to zawsze muszą być ludzie?

— Masz jakieś pomysły? — spytał szczerze. — Naprawdę przydałaby mi się twoja pomoc.

Dorcas przyjrzał mu się długo i z namysłem, wreszcie poklepał go po ramieniu.

— Rozglądałem się po okolicy i może znajdzie się sposób na trening i parę innych problemów. Przyjdź tu jutro w nocy i zobaczymy, zgoda?

Masklin kiwnął głową.

Wracając, uzmysłowił sobie, że główny problem to brak wykonawców. Owszem, pomagało sporo Żelaznotowarów i trochę przedstawicieli innych działów. Pojawiali się młodzi, dla których ciągle było to nowe, podniecające i niecodzienne, ale pozostałych zdawało się to w ogóle nie obchodzić.

Żyli jakby nigdy nic.

A Sklep, prawdę mówiąc, był bardziej zatłoczony niż zwykle.

Spośród wszystkich władców jedynie hrabia wydawał się zainteresowany całym przedsięwzięciem, ale Masklin podejrzewał, że nawet on tak naprawdę nie wierzy w koniec Sklepu. Dla niego istotne było, że Żelaznotowarowi nauczą się czytać, co rozwścieczy de Pasmantarii — ta perspektywa, zdaje się, wielce go bawiła. Co gorsza, nawet Gurder nie wydawał się tak pewny jak dotąd.

Masklin dotarł nie molestowany do swego pudełka na buty i zasnął.

Po godzinie obudził się, gdyż dalej nie dało się spać.

Zaczął się bowiem terror.

## Rozdział jedenasty

Pobiegli do Wind  
I pytali: „Przewieziecie nas?”  
Biegli do Ścian  
I pytali: „Ukryjecie nas?”  
Biegli do Auta  
I pytali: „Zabierzesz nas?”  
A wszystko to Owego Pamiętnego Dnia

*Księga namów, Wyjście, Rozdział 1, v. I*

Wszystko zaczęło się od ciszy, gdy powinien wszcząć się hałas.

Wszyscy tak byli przyzwyczajeni do odległego pomruku wywoływanego przez ludzkie kroki i głosy podczas godzin Otwarcia, że nie zwracali praktycznie na nie uwagi. Natomiast zwrócili uwagę na niespodziewaną, przejmującą ciszę, dziwnie wypełniającą cały Sklep. Naturalnie były dni, kiedy ludzie nie pojawiali się w Sklepie — na przykład Arnold Bros (zał. 1905) czasami dawał im cały tydzień odpoczynku między podnieceniem Kiermaszu Świątecznego, a gorączką Wyprzedaży Zimowej od Dziś! Do tego także wszyscy byli przyzwyczajeni, gdyż stanowiło to element naturalnego toku życia.

Tyle że nie był to właściwy dzień.

Po kilku godzinach ciszy przestali sobie nawzajem powtarzać, że nie ma się czym martwić, bo to pewnie jakiś nowy, specjalny dzień albo inna podobna okazja, tak jak było, gdy Sklep zamknięto prawie na tydzień przed przeceną. Kilku co odważniejszych albo ciekawskich zaryzykowało szybkie wypadu na piętra przeznaczone dla ludzi.

Między znajomymi ladami kłuła oczy niczym nie zmacona pustka, a na półkach znajdowało się zadziwiająco mało towarów.

Pocieszali się, że zawsze tak jest po wyprzedaży, żeby potem znowu półki mogły się zapełnić innymi rzeczami, tak jak to zaplanował Arnold Bros (zał. 1905). Toteż siedzieli w ciszy albo wynajdywali sobie zajęcia, żeby nie mieć nieprzyjemnych myśli. Ale i tak nic nie pomagało.

A potem zjawili się ludzie.

I zabrali się do ostatecznego opróżniania półek, pakując to, co zostało, do wielkich pudeł i wynosząc do garażu, gdzie ładowali je na ciężarówkę.

Następnie zaczęli zrywać podłogi...

Masklina obudziło szarpanie.

W oddali słychać było krzyki i to wszystko było jakoś dziwnie znajome...

— Wstawaj! — ponaglił go Gurder. — Szybko!

— A dlaczego? — Masklin ziewnął.

— Bo ludzie rozbierają Sklep na kawałki!

Nowina sprawiła, że usiadł prosto i równocześnie otrzeźwiał.

— Nie mogą! — oburzył się odruchowo. — Jeszcze nie czas!

— To im powiedz, bo to robią!

Masklin wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. Gdy skakał z jedną nogawką wciągniętą, potknął się prawie o Rzec.

— Hej, ty! Mówiłaś, że do zniszczenia zostało jeszcze dużo czasu?!

— „Czternaście dni.”

— A właśnie się zaczęło!

— „Prawdopodobnie to tylko wywóz towarów do innego sklepu i wstępne prace wewnętrzne.”

— I to powinno wszystkich uspokoić?! Dlaczego nas nie uprzedziłaś?

— „Nie wiedziałam, że nie wiecie.”

— Teraz już wiemy. Co proponujesz?

— „Jak najszybciej opuście budynek.”

Masklin zaklął.

Sądził, że ma jeszcze ze dwa tygodnie na rozwiązanie problemów, zebranie zapasów i rzeczy, które chcieli zabrać. No i na zaplanowanie wszystkiego. Na to nawet dwa tygodnie wydawały się zbyt krótkie. Teraz nawet dwa dni były luksusem, którego nie będą mieli.

Obaj z Gurderem wybiegli w kręcący się bez celu, nie zorganizowany i nieco spanikowany tłum. Na szczęście podłogi zaczęto zrywać w nie zamieszkaney okolicy — jak twierdziło kilka rozsądniejszych nomów, zerwano niewielki fragment w Dziale Ogrodniczym, by dostać się do rur z wodą, ale nomy mieszkające najbliżej wołały nie ryzykować i ewakuowały się w pośpiechu.

Nad ich głowami coś łomotnęło i parę minut później zjawił się zdyszany posłaniec z meldunkiem, że ludzie zwijają chodniki i zabierają je do garażu.

Wywołało to pełną przerażenia ciszę, w której Masklin stwierdził, że stał się centrum ogólnej uwagi — wszyscy spoglądali na niego z nadzieją.

— Eep... — powiedział i dodał: — Myślę, że każdy powinien zabrać ze sobą tyle żywności, ile zdoła donieść do piwnicy, zejść tam i czekać w pomieszczeniach przylegających do garażu.

— Chcesz powiedzieć, że nadal uważasz, że powinniśmy to zrobić? — zdziwił się Gurder.

— Nie bardzo mamy wybór. Prawda?

— Ale mieliśmy. . . — zaprotestował Gurder. — Powiedziałeś, że zabierzemy ze Sklepu ile się da, przede wszystkim przewody i narzędzia. . . No i książki!

— Będziemy mieli szczęście, jak uda nam się zabrać siebie. Nie rozumiesz, że nie mamy czasu?!

Przybiegł następny posłaniec — tym razem od Dorcasa, i złożył Masklinowi meldunek szeptem. Ten wysłuchał go i uśmiechnął się zagadkowo.

— Czyżby Arnold Bros (zał. 1905) opuścił nas w godzinie potrzeby? — Najwyraźniej wiara Gurdera też miała określone granice.

— Może to głupio zabrzmiało, ale on raczej zdaje się nam pomagać — odparł niespodziewanie Masklin. — Chyba nie zgadniesz, co ludzie właśnie pakują na jedną z ciężarówek. . .

## Rozdział dwunasty

I. I rzekł im Przybysz: „Chwała Imieniu Arnolda Brosa (zał. 1905).”

II. „Albowiem wysłał oto nam Auto Ciężarowe i Ludzi, by wypełnili je wszelakimi Rzeczami nam przydatnymi. Oto Znak: Wszystko Musi Pójść. Takoz i my.”

*Księga nomów, Wyjście, Rozdział 2, v. I-II*

Pół godziny później Masklin leżał na wsporniku obok Dorcasa, spoglądając w dół, na garaż.

Nigdy nie widział tu takiego ruchu — ludzie kręcili się wszędzie, ładując rozmaite rzeczy na ciężarówki, a pomagały im niewielkie, żółte pojazdy przypominające skrzyżowanie małej ciężarówki z wielkim fotelem.

Dorcas podał mu lunetę.

— Ale się pracowici zrobili — zauważył radośnie. — Cały ranek się tak kręca. Kilka ciężarówek zdążyło już wyjechać i wrócić pusto, nie przenoszą więc tego zbyt daleko.

— Pismo mówiło coś o nowym Sklepie — mruknął Masklin. — Może to tam wszystko przewożą.

— Może. Teraz to głównie dywany i tych zamarzniętych ludzi z Galanterii.

Masklin skrzywił się — według Gurdera ludzie stojący całkiem nieruchomo w Galanterii Męskiej, Odzieży Dziecięcej, Młodej Modzie i Ubiorach Kobięcych narazili się na gniew Arnolda Brosa (zał. 1905), który w ten właśnie sposób ich ukarał. Konkretnie zamienił ich w potwornie brzydkie, różowe coś, a niektórzy twierdzili, że na dodatek można ich rozłożyć na części. Z drugiej strony pewien znany filozof z Galanterijnych twierdził, że — wręcz przeciwnie — byli to wybitni ludzie, którym Arnold Bros (zał. 1905) w nagrodę pozwolił zostać w Sklepie na zawsze, a nie zniknął ich po Zamknięciu. Masklin nie pierwszy raz przekonywał się, że religię bardzo trudno zrozumieć.

Rozmyślenia zbliżone do teologicznych przerwał mu nagły hurkot, z jakim metalowe wrota garażu zwinęły się w górę, wpuszczając słoneczny blask. Najbliższa ciężarówka ożyła i wyjechała z rykiem, powoli nabierając prędkości.

— Potrzebujemy ciężarówki z rzeczami z Działu Towarów Żelaznych — przypomniał Masklin. — I z jedzeniem.

— Z jedzeniem będzie gorzej: większość załadowali na pierwszą, jaka wyjechała. Na tą tam ładują głównie druty, narzędzia i inne rzeczy od Żelaznotowarów.

— W takim razie ta musi być nasza.

— No dobrze, a co mam zrobić, gdy ją skończą ładować dziś i odjadą? Jak na ludzi, to są niesamowicie wręcz pracowici.

— Przecież nie opróżnią całego Sklepu w jeden dzień? — Masklin aż się wzdrygnął na taką ewentualność.

— Kto to może wiedzieć? — Dorcas wymownie wzruszył ramionami.

— To musisz ją powstrzymać, żeby nie wyjechała!

— Jak? Rzucając się pod koła? Nawet nie zauważą.

— Wymyśl coś! — zażądał Masklin. — Może być cokolwiek.

Dorcas uśmiechnął się szeroko:

— A, to jest zupełnie inna rozmowa. Chłopaki się tu zadomowili, to razem coś wymyślimy.

Z całego Sklepu napływali do Działu Towarów Żelaznych uchodźcy, wypełniając przestrzeń sobą i przerażonymi szeptami. Ponieważ w tym dziale jeszcze do końca nie opróżniono półek, nie ruszano tu w ogóle podłogi. W innych sytuacja nie przedstawiała się tak radośnie. Wiele nomów odprowadzało wzrokiem przechodzącego Masklina, a od tego, co widział na ich twarzach, włos mu się jeżył na głowie.

Wyglądało mianowicie na to, iż wszyscy wierzą, że im pomoże, i przyglądają mu się, jakby był ich ostatnią nadzieją.

Naprawdę nie wiedział, co zrobić, jeśli coś się nie uda, a przecież wszystko było robione na łapu-capu, bo zabrakło czasu. Zmusił się, by wyglądać pewnie, i to najwyraźniej im wystarczało. Tak naprawdę chcieli wiedzieć jedynie, że ktoś gdzieś wie, co robić. Masklina zastanawiało tylko, kto jest tym kimś, bo na pewno nie on.

Zewsząd docierały złe wieści — większość Działu Ogrodniczego została opróżniona, Dział Odzieżowy był prawie pusty, z Działu Kosmetyków usunęto lady, ale na szczęście mieszkało w nim niewiele nomów. Nawet tu słychać było łomoty i trzaski postępujących zniszczeń.

W końcu Masklin miał dość — zbyt wielu spoglądało na niego jak na obrazek, ruszył więc z powrotem w stronę garażu.

Dorcas ciągle był na stanowisku obserwacyjnym.

— I co? — spytał Masklin.

— Jest lepiej, niż sądziliśmy. — Dorcas wskazał stojącą prawie pod nimi ciężarówkę. — Doładowali na nią różności z działu Zrób To Sam i trochę igieł i takich tam z Pasmantarii.

— Ona nie może stąd odjechać!

Dorcas uśmiechnął się szelmowsko.

— Urządzenie podnoszące drzwi nie zadziała — poinformował Masklina. — Bezpiecznik zniknął.

— Co to „bezpiecznik”?

— To. — Dorcas wskazał gruby, czerwony walec leżący obok, na wsporniku.

— Zabrałeś go?

— Trochę było ryzykowne owinąć go sznurkiem. Gdy wyciągaliśmy, za-iskrzyło naprawdę porządnie.

— A nie mogą włożyć innego?

— Włożyli. — W tonie Dorcasa wyraźnie słychać było zadowolenie z samego siebie. — Aż tacy głupi to oni nie są. Ale dalej nie działa, bo gdy wyjęliśmy bezpiecznik, kilku chłopaków przecięło przewody w ścianie. Najedli się trochę strachu, ale na to ludzie nigdy nie wpadną.

— Aha... a jakby ręcznie podnieśli drzwi?

— To będą otwarte. A ciężarówka i tak nigdzie nie pojedzie.

— A to dlaczego?

Dorcas wskazał w dół. Masklin wytrzymał wzrok i czekał. Po kilku chwilach dostrzegł parę małych postaci wyskakujących spod ciężarówki i nurkujących pod ławką. Para targła ze sobą obcęgi.

Chwilę później pognała za nimi jeszcze jedna postać ciągnąca za sobą kawał przewodu.

— Te ciężarówki potrzebują strasznie dużo przewodów, żeby działać. — Dorcas uśmiechnął się. — A ta ma mniej, niż potrzeba, żeby jechać. Nie martw się: chyba będziemy wiedzieli, gdzie go przywiązać.

Pod nimi coś dźwięknęło — jeden z ludzi kopnął drzwi, ale pozostały zamknięte.

— Nerwy to straszna rzecz — stwierdził Dorcas z dezaprobatą.

— Pomyślałeś chyba o wszystkim — stwierdził z podziwem Masklin.

— Mam taką nadzieję — rzekł skromnie Dorcas. — Ale lepiej mieć pewność.

Wstał i machnął energicznie sporą, białą chustką. Z mroku po przeciwnej stronie odmachnęło coś białego i zaraz potem zgasło światło.

— Przydatna rzecz, ta elektryczność — rozległ się w ciemności głos Dorcasa.

Z dołu dały się słyszeć gniewne pokrzykiwania ludzi, przerwane przez metalowy łomot, gdy któryś z nich w coś wszedł po ciemku. Kolejne pomruki, łoskoty i łupnięcia świadczyły, że ludzie szukają drzwi, a cisza, że je wreszcie znaleźli. I wyszli z garażu.

— Nie będą niczego podejrzewać? — zaniepokoił się Masklin.

— W Sklepie jest całkiem sporo ludzi, będą myśleli, że to tamci coś zepsuli.

— Ta elektryczność to faktycznie zadziwiająca rzecz — przyznał Masklin. — Możesz ją robić? Hrabia Żelaznotowarów był bardzo tajemniczy w tej sprawie.

— A to dlatego, że Żelaznotowarowi nic tak naprawdę nie wiedzą — parsknął pogardliwie Dorcas. — Oni wiedzą tylko, jak ją kraść. Mnie co prawda to całe czytanie nie bardzo idzie, ale młody Vinto poszukał w książkach, jak mu kazałem, i mówi, że robienie elektryczności to całkiem prosta sprawa. Potrzeba tylko trochę czegoś, co się nazywa „turan”. Po mojemu to jakiś rodzaj metalu.

— A w Towarach Żelaznych go nie ma? — spytał z nadzieją Masklin.

— Szukali i ponoć nie ma.

\* \* \*

Rzecz w kwestii owego metalu też nie okazała się pomocna:

— „Wątpię, byście byli przygotowani na energię atomową” — oznajmiła. — „Spróbujcie wiatraków.”

Masklin skończył pakować swój dobytek do niezbyt dużej torby.

— Gdy opuścimy Sklep, przestaniesz mówić — stwierdził nagle. — Przecież potrzebujesz elektryczności do picia.

— „To prawda.”

— To powiedz mi, póki możesz, w którą stronę powinniśmy się udać.

— „Kierunku ci nie wyznaczę, jednakże mogę powiedzieć, że z północy odbieram sygnały radiowe wskazujące na aktywność lotniczą.”

Masklin znieruchomiał.

— To dobrze, prawda? — spytał po chwili niepewnie.

— „To znaczy, że tam są jakieś urządzenia latające.”

— Którymi możemy dolecieć do domu! — dokończył Masklin.

— „Nie możecie! Ale mogą się wam przydać w następnym etapie. Być może okaże się możliwe nawiązanie łączności ze statkiem-bazą. Ale najpierw musicie wyjechać stąd ciężarówką.”

— Jak nam się to uda, to wszystko będzie możliwe — mruknął Masklin ponuro.

Ponieważ odpowiedziała mu cisza, spojrzął na Rzecz i ku swemu przerażeniu dostrzegł, że kolejno gasną Światelka na jej powierzchni.

— Rzecz!

— „Porozmawiamy, jak wam się uda.”

— Przecież masz nam pomagać!

— „Proponuję, żebyście się poważnie zastanowili nad znaczeniem słowa pomoc. Albo jesteście inteligentnymi nomami, albo sprytnymi zwierzętami. Sami sprawdźcie.”

— Co?!

Zgasło ostatnie światełko.

— Rzecz?



Żadne się nie zapaliło, a czarny sześcian wyglądał niczym uosobienie śmierci i ciszy.

— Myślałem, że nam pomożesz w kierowaniu i we wszystkim! Liczyłem na ciebie! A ty co? Zostawisz mnie tak?

Pudełko stało się jeszcze ciemniejsze. O ile to możliwe.

Masklin przyglądał mu się z urazą, rozżalony. Pewnie: tak było wygodniej — wszyscy liczą na niego, tylko on nie ma na kogo liczyć. Nawet Rzecz wybrała to, co wygodniejsze dla niej. . . Teraz dopiero zrozumiał, jak musiał się czuć stary opat. Niewiarygodne, że tak długo wytrzymał. . . Bo w końcu zawsze wychodziło na jedno: to on (znaczy się Masklin) musi wszystko robić, a nikt się nie zastanowił, czego on by potrzebował albo na co miał ochotę. . .

Tekturowe drzwi odsunęły się gwałtownie i do pudełka weszła Grimma. Przeniosła wzrok z ciemnego sześcianu na Masklina i powiedziała cicho:

— Wszyscy pytają o ciebie. . . Dlaczego jest cały ciemny?

— Bo się właśnie pożegnał, cwaniak jeden! Powiedział, że już nam nie pomoże! — wyjęczał Masklin. — Powiedział, że musimy udowodnić, że sami potrafimy sobie poradzić, a kiedy nam się uda, to się znowu odezwie! I co ja mam robić?

O odrobinie zrozumienia, sympatii i spokoju wolał nie wspominać, choć w głębi ducha miał nadzieję, że Grimma go zrozumie.

— Powinieneś przestać się mazgać, zebrać do kupy, wyjść i zabrać się wreszcie do roboty!

— Coo. . .

— Najwyższy czas, żeby zrobić nowe plany i zorganizować pracę! Weź się w garść!

— Ale. . .

— I to już!

Masklin wstał.

— Nie powinnaś tak do mnie mówić — oznajmił urażony. — W końcu podobno jestem tu przywódcą.

Przyjrzała mu się nieżyczliwie.

— Naturalnie, że jesteś! Czy ja mówię, że nie? Wszyscy wiedzą, że jesteś! Teraz wylaż i zachowuj się, jak przywódca!

Odruchowo ruszył ku wyjściu, ale zdążyła go jeszcze stuknąć w ramię.

— I naucz się słuchać — dodała.

— Jak? . . . Co masz na myśli?

— Rzecz to rodzaj myślącej maszyny, prawda? Tak przynajmniej twierdzi Dorcas. Maszyny podobno mówią dokładnie to, o co im chodzi, tak?

— Chyba tak, ale. . .

Grimma uśmiechnęła się triumfująco.

— Rzecz powiedziała ci, że odezwie się „kiedy”, a nie „jeżeli”.

\* \* \*

Nadeszła noc.

W pewnym momencie Masklin już zaczął się obawiać, że ludzie w ogóle nie wyjdą ze Sklepu. Jeden był szczególnie uparty — z latarką i skrzynką narzędzi oglądał ze wszystkich stron skrzynkę bezpiecznikową i okoliczne przewody w garażu, mrucząc coś do siebie. W końcu jednak i on wyszedł, z trzaskiem zamykając za sobą drzwi.

Po paru minutach zapłonęły lampy w garażu.

W ścianach coś zachrobotło i spod ławek runęła ciemna fala ku samotnie stojącej ciężarówce. Idące na przód młode nomy miały kotwiczki abordażowe i haczyki wędkarskie, które wprawnie pozaczepiali o brezent. Ledwie upewniono się, że haki trzymają, zaczęła się gremialna wspinaczka po linach.

Inni przynieśli grube sznury, które przywiązano do lin od haków i stopniowo wciągnięto na górę...

Tymczasem w cieniu pod silnikiem zespół Dorcasa przepychał i przeciągał do kabiny wyposażenie niezbędne do jazdy. Dorcas był już w kabinie, na wpół schowany w grubej wiązce różnokolorowych kabli. Coś tam zasyczało i zaiskrzyło, i w kabinie zapaliło się światło.

— No! — mruknął Dorcas. — Wreszcie będzie widać, co się robi... Dalej, chłopaki, przyłóżcie się choć trochę!

Dorcas odwrócił się, spostrzegł Masklina i spróbował schować dłonie za plecami, ale zastanowił się i przestał się wygłupiać. Dłonie miał wsunięte w coś, co wyglądało na palce obcięte z gumowych rękawiczek.

— Uhm... nie wiedziałem, że już jesteś. — Dorcas uśmiechnął się niepewnie. — To taka tajemnica zawodowa: przez gumę elektryczność nie może cię ugryźć. Widać się nie lubią.

Dorcas przykucnął. Nad jego głową przemknął długi kij, który jego pomocnicy zaczęli przywiązywać do dźwigni biegów, ledwie znalazł się we właściwym położeniu.

— Ile czasu wam to zajmie? — Masklin natężył głos, gdyż w kabinie pojawił się następny zespół rozwijający za sobą sznurek.

Kawałki drewna i pęki lin przemieszczały się zresztą po kabinie we wszystkich kierunkach i Masklin miał jedynie nadzieję, że Dorcas panuje nad tym, co dla niego było czystym chaosem.

— Z godzinę — ocenił Dorcas i dodał: — Poszłoby szybciej, gdyby nikt postronny nie pałętał się nam pod nogami.

Masklin zrozumiał i zajął się badaniem tylnej części kabiny. Ciężarówka była stara, toteż szybko znalazł jakiś otwór z zardzewiałymi resztkami drutów, przez który przecisnął się z lekkim trudem. Wypełził między rurami i przewodami, odszukał następną dziurę i znalazł się na platformie ciężarówki.

Pierwsi, którzy wdrapali się po linach, wciągnęli koniec cienkiego kawałka drewna służącego następnym za schodnię. Deska ugięła się nieco pod obciążeniem, ale płynął po niej na górę nieprzerwany strumień nomów. Tę część operacji nadzorowała Babka Morkie, a ona miała wrodzony talent zmuszania przerażonych nomów do robienia różnych rzeczy.

— Strome?! — rozdarła się właśnie, głośniejsz niż zwykle, do grubego jegomościa, który mniej więcej w połowie przejścia padł na czworaki i trzymał się kurczowo deski. — To ma być strome?! To jest proste jak deska, a nie strome! Sam się puścisz, czy mam tam wejść i ci pomóc?!

Propozycja miała magiczny efekt — grubas odczepił się od deski i prawie biegiem pokonał resztę drogi, z ulgą znikając w cieniu brezentu.

— Niech każdy poszuka sobie czegoś miękkiego do leżenia — oznajmił głośno Masklin. — To może być nierówna podróż. A najsilniejsi niech się zgłoszą do kabiny: na pewno będą potrzebni.

Babka Morkie skinęła głową i zajęła się kolejnymi nomami blokującymi drogę — tym razem była to jakaś rodzinka.

Patrząc na wchodzących i czekających na swoją kolej do wejścia, Masklin z pewnym zdziwieniem stwierdził, że właściwie zrobił wszystko, co mógł, a co dziwniejsze, to wszystko działało niczym... no, niczym coś, co tak powinno działać. Teraz zostały tylko dwie możliwości: albo się uda, bo wszyscy będą zgodnie działać, albo nie będą i się nie uda.

Przypomniał mu się wizerunek Guliwera, który jak twierdził Gurder, w ogóle nie istniał. Książki ponoć często mówiły o rzeczach, których w rzeczywistości nigdy nie było. A jednak miło pomyśleć, że kiedyś nomy mogły zgodzić się ze sobą na tyle długo, by postępować tak, jak w tamtej książce...

— Cóż, wszystko na razie idzie dobrze — powiedział cicho sam do siebie.

— Powiedzmy: nie najgorzej. — Babka Morkie miała wciąż doskonały słuch.

— Dobrze byłoby wiedzieć, co dokładnie jest w tych wszystkich pudłach i skrzyniach — zaproponował Masklin — bo jak się zatrzymamy, to może się okazać, że wysiadać będziemy musieli raczej szybko i...

— Powiem Torritowi, żeby się tym zajął — obiecała Babka. — Możesz być spokojny!

— Aha... — mruknął. — Dobrze.

Okazało się, że nic mu nie zostało do zrobienia.

Do kabiny zawędrował nie tyle z potrzeby czy znudzenia, ile z beczynności.

Dorcas i jego „chłopcy” skończyli już budowę drewnianej platformy ponad kierownicą i na wprost przedniego okna. Sam Dorcas znajdował się na podłodze, nadzorując ćwiczenia.

— Dobrze! No to... pierwszy bieg! — zarządził.

— Pedał w dół, dwa, trzy... — rozległ się chór zespołu przy sprzęgle.

— Pedał w górę... dwa, trzy... — To był zespół gazu.

— Dźwignia w górę... dwa, trzy... — odezwali się ci przy dźwigni biegów.  
 — Pedał w górę... dwa, trzy, cztery! — Dowodzący sprzęgłowymi wyprężył się i zameldował: — Jest pierwszy bieg!  
 — Ślicznie! — skrzywił się Dorcas. — A kto przyciśnie gaz? Właśnie zgasiłście silnik, talenty!  
 — Ooops... przepraszamy...  
 Masklin szturchnął Dorcasa w ramię.  
 — Powtórzyc! — polecił Dorcas. — I to do czwartego biegu! Tak?! Co znowu? A, to ty.  
 — To ja. Załadunek prawie zakończony. Kiedy będziesz gotów?  
 — Ta banda nigdy nie będzie gotowa!  
 — O!  
 — Więc możemy zaczynać, kiedy zechcesz, i zobaczymy, co wyjdzie. Sterowania naturalnie nawet nie możemy spróbować, dopóki nie ruszymy.  
 — Przyślę ci więcej pomocników — obiecał Masklin.  
 — Wspaniale! — jęknął Dorcas. — Właśnie tego mi brakowało: kupy nomów nie rozróżniających prawej od lewej!  
 — A jak będziesz wiedział, w którą stronę skręcać?  
 — Semafor — odparł zwięźle Dorcas.  
 — Seco?  
 — Sygnalizacja flagami. Powiesz mojemu chłopakowi tam, na platformie, co ma być zrobione, a ja będę go cały czas obserwował. Jakbyśmy tak mieli z tydzień, to pewnie bym zmontował jakiś telefon...  
 — Flagi... To będzie działać?  
 — Lepiej, żeby działało. Wypróbujemy za chwilę.

\* \* \*

W końcu nastąpiło to „za chwilę”.

Ostatni zwiadowcy załadowali się po sprawdzeniu, że naprawdę nikt w Sklepie nie został, a większość nomów umościła się już, jak mogła najwygodniej, i czekała, wpatrując się w mrok.

Na platformie w kabinie znajdowali się: Masklin, Angalo, Gurder, Grimma, sygnalista i Rzec. Gurder co prawda o ciężarówkach wiedział jeszcze mniej niż Masklin, ale ten wziął go na wszelki wypadek. Kradli przecież ciężarówkę Arnolda Brosa (zał. 1905) i gdyby trzeba się było tłumaczyć, to lepiej mieć kogoś wprawionego pod ręką.

Kategorycznie natomiast odmówił prawa pobytu szczurowi, tak więc Bobo znalazł się razem ze wszystkimi pod brezentem. Gurder co prawda spytał, co robi tu Grimma, na co Grimma odparła pytaniem o to samo, i oboje spojrzeli wyciekająco na Masklina.

— Pomoże mi w czytaniu — odparł tenże, przyznając, że mimo starań za dobrze mu ta sztuka nie idzie. Grimmie natomiast szło to jakby odruchowo, bez wysiłku. Jeśli przy tej okazji mózg jej się gotował albo i eksplodował, to robił to w niezauważalny sposób. Grimma miała przed sobą otwarty „Kodeks drogowy”, z którym konsultowała się na bieżąco.

— Zanim się ruszy, trzeba zrobić kilka rzeczy. — Masklin nie był zbyt pewien swego, ale wolał to powiedzieć głośno. — Trzeba spojrzeć w uls...

— ...lusterko... — podpowiedziała mu Grimma.

— ...lusterko. Tak tu pisze: lusterko — powtórzył i spojrzął pytająco na Angala.

Ten wzruszył ramionami.

— Nic o tym nie wiem — przyznał. — Mój kierowca faktycznie w nie spoglądał, ale nie wiem dlaczego.

— Mam tam jakoś specjalnie patrzeć? Minę zrobić albo język pokazać czy co? — zainteresował się Masklin.

— Cokolwiek byś robił, zrób to właściwie — poradził mu kategorycznie Gurder. — Lusterko jest tam, przy suficie.

— Durne miejsce — mruknął Masklin, ale zabrał się do dzieła.

Hak złapał za trzecim razem, a wspinaczka nie była zbyt trudna, gdyż wcześniej na wszelki wypadek powiązał węzły na linie.

— Widzisz coś?! — zawołał Gurder, gdy Masklin dotarł do lusterka.

— Siebie.

— Nieważne. Zejdź. Zrobiłeś, co należy, a to najważniejsze.

Masklin zsunął się na platformę, która lekko zachwiała się pod jego nogami.

Grimma siedziała z nosem w „Kodeksie”.

— Potem należy zasygnalizować, co się chce zrobić — przeczytała i dodała: — To przynajmniej jasne, prawda?

— Sygnalista!

Jeden z asystentów Dorcasa, wyznaczony do tej roli, przestąpił z nogi na nogę, uważając jednak, by nie poruszyć trzymanyh w dłoniach białych flag.

— Słucham?

— Powiedz Dorcasowi... — Grimma spojrzała na pozostałych. — Powiedz mu, że możemy zaczynać.

— Przepraszam! — obruszył się Gurder. — Jeśli już ktoś komuś musi mówić, żeby zaczynać, to jest to na pewno moje zadanie. I chcę, żeby to było zupełnie jasne od samego początku: to ja mówię innym, kiedy zaczynać! A więc... ekhm... możemy zaczynać!

— Tak jest! — Sygnalista zamachał ramionami.

W odpowiedzi z dołu rozległ się stłumiony ryk:

— Gotowi!

— No... — bąknął Masklin. — To chyba zaczynamy, nie?

— Zaczynamy — zgodził się Gurder, spoglądając wymownie na Grimme. — Nie zapomnieliśmy o czymś?

— Na pewno o kupie rzeczy — pocieszył go Masklin.

— I tak już na nie za późno — dodała promiennie Grimma. — To co?

— Tak.

— Tak.

— Dobrze.

— No to dobrze...

I przez chwilę wszyscy stali w milczeniu.

— To każesz w końcu, czy ja mam to zrobić? — Masklin zniecierpliwił się, gdy cisza zaczęła się przeciągać.

— Zastanawiałem się, czy prosić Arnolda Brosa (zał. 1905), żeby miał nas w opiece i zapewnił bezpieczeństwo. W końcu opuszczamy Sklep jego ciężarówką... — Gurder uśmiechnął się nieszczęśliwie. — Chciałbym, żeby dał nam jakiś znak, że pochwała.

— To możemy zacząć czy nie?! — ryknął z dołu Dorcas.

Masklin podszedł do barierki i spojrzał w dół. Cała podłoga kabiny pełna była nomów trzymających liny albo czekających przy dźwigniach i deskach. Pełna też była absolutnej ciszy, a wszystkie twarze spoglądały w górę z mieszaniną strachu i podniecenia.

Masklin machnął im ręką i powiedział:

— Uruchomcie silnik. — Sam się zdziwił, jak donośnie zabrzmiał w panującej ciszy jego głos.

W garażu pozostało ledwie kilka ciężarówek parkujących pod przeciwległą ścianą i kilka niewielkich, żółtych pojazdów używanych do ładowania ciężarówek, stojących tam, gdzie zostawili je ludzie. Masklin, patrząc na opustoszałe pomieszczenie, uśmiechnął się: i pomyśleć, że nazywał je gniazdem ciężarówek, a właściwie nazywało się „garaż”. Zaskakujące, jakie to przyjemne uczucie, gdy zna się właściwe nazwy. Czuje się wtedy, że ma się nad nimi kontrolę, jakby znajomość właściwej nazwy dawała jakąś władzę.

Gdzieś z przodu coś warknęło, zawirowało, a zaraz potem ryknęło i platforma zatrzęsała się w takt gromu, który wypełniłabinę. Tylko że w przeciwieństwie do normalnego gromu, hałas nie ucichł. Nie było wątpliwości, że silnik zaskoczył.

Masklin złapał się barierki i poczuł, że ktoś szarpie go za ramię.

— Po jakimś czasie można się przyzwyczaić! — wrzasnął Angalo, przekrzykując silnik.

— Dobrze!

To nie był hałas — za głośne, żeby tak się nazywać. To było drgające powietrze pełne ryku.

— Lepiej chwilę poćwiczmy, żeby się przyzwyczaić. Dać sygnał, że chcemy powoli do przodu?

Masklin skinął głową.

Sygnalista namyślił się i zamachał chorągiewkami.

Masklin usłyszał, że Dorcas ryczy polecenia, ale co konkretnie, tego nie był już w stanie zrozumieć. Coś zgrzytnęło, ciężarówką szarpnęło, i to tak, że wylądował na czworakach. Gdy uniósł wzrok, napotkał znajdujące się na tym samym poziomie przerażone oczy Gurdera.

— Poruszamy się! — pisnął przeraźliwie Gurder.

Masklin spojrzął za szybę i zdębiał.

— Ano, ruszamy się: do tyłu! — wrzasnął, zrywając się.

Angalo, zataczając się, dopadł sygnalisty i tak nim potrząsał, że tamtemu chorągiewki powypadały.

— Powiedziałem ci: powoli do przodu! Do przodu, kretynie!

— Sygnalizowałem „Do przodu”!

— To dlaczego jedziemy do tyłu?! Sygnalizuj jeszcze raz!

Sygnalista czym prędzej pozbiierał flagi i zaczął gorączkowo machać.

— Nie! — ryknął Masklin. — Nie sygnalizuj „Do przodu”, tylko „Sto... ”

Nie zdążył dokończyć, bo nagle z tyłu ciężarówki dobiegł przeciągły, trudny do opisania odgłos, oznaczający zniszczenie o charakterze metalowym. Towarzyszył mu wstrząs, który posłał Masklina na deski.

I wszystko ucichło.

Silnik też.

— Przepraszalski! — dał się słyszeć okrzyk Dorcasa, a potem znacznie cichszy i znacznie nieprzyjemniejszy monolog: — Zadowoleni? Ja myślę, że zadowoleni! Jak mówię „dźwignia biegów w górę i w lewo, i w górę”, to mam na myśli w górę i w lewo, nie w górę i w prawo! Rozumiemy się?

— Twoje prawo czy nasze prawo, Dorcas?

— Zwykłe prawo!

— Ale...

— Tylko bez „ale”.

— Tak, ale...

Masklin przestał słuchać i skoncentrował się na tym, by usiąść, co po chwili mu się udało. Gurder pozostał tam, gdzie był, czyli rozciągnięty na deskach.

— Naprawdę się poruszyliśmy! — szepnął z podziwem Gurder. — Arnold Bros (zał. 1905) miał rację: Wszystko Musi Iść!

— Tylko jak nie masz nic przeciwko, to ja osobiście wolałbym pojechać — stwierdził ponuro Angalo. — I to znacznie dalej niż teraz.

— Hej tam, na górze! — rozległ się sztucznie radosny głos Dorcasa. — Mieliśmy małe problemy techniczne, ale już wszystko w porządku. Jesteśmy gotowi!

— Jak myślisz, znowu mam patrzeć w lusterko? — Masklin spojrzął pytająco na Grimmę.

Grimma wzruszyła ramionami.

— Ja bym sobie tym głowy nie zawracał — wtrącił się Angalo. — Ruszajmy wreszcie, byle do przodu, i to najlepiej najszybciej, jak się da. Coś tu śmierdzi i mocno mi się wydaje, że to paliwo. Musieliśmy wywrócić jakieś beczki albo co.

— To źle, tak? — upewnił się Masklin.

— Ono się pali, stąd pewnie mówi się o nim <i>paliwo</i> — wyjaśnił Angalo. — Wystarczy iskra, żeby się zapaliło.

Silnik ryknął i ożył ponownie. Tym razem ruszyli wolno do przodu, czemu towarzyszył krótki, przeraźliwy zgrzyt z tyłu. Ciężarówka jednak bez przeszkód toczyła się dalej, aż z lekkim szarpnięciem zatrzymała się przed stalowymi wrotami.

— Chciałbym poćwiczyć kilka skrętów! — ryknął Dorcas. — Myślę, że to się przyda.

— Naprawdę uważam, że nie powinniśmy tu zostać dłużej. — Sądząc po głosie, Angalo faktycznie tak uważał.

— Masz rację — zgodził się po namyśle Masklin. — Im szybciej nas tu nie będzie, tym lepiej. Daj sygnał Dorcasowi, żeby otworzył drzwi.

Sygnalista milczał przez chwilę, najwyraźniej myśląc intensywnie, a w końcu przyznał:

— Takiego sygnału nie ustalaliśmy.

Masklin przechylił się przez poręcz i wrzasnął:

— Dorcas!

— Tak?

— Otwieraj wrota! Wyjeżdżamy zaraz!

Dorcas przyłożył dłoń do ucha.

— Co mówisz?

— Mówiłem, żebyś otworzył wrota garażu! Zaraz!

Dorcas zdawał się rozważać przez chwilę ten pomysł, po czym uniósł megafon.

— Uśmiejesz się, jak ci coś powiem.

— Co on mówi? — wtrąciła się Grimma.

— Mówi, że będziemy się śmiać — przekazał jej Angalo.

— To dobrze.

— Dlaczego?! — ryknął w dół Masklin.

Odpowiedź Dorcasa zniknęła w ryku silnika.

— Co?! — wrzasnął Masklin.

— Co „co”?

— Co mówisz?!

— Mówiłem, że przez ten pośpiech zupełnie zapomniałem o wrotach!

— Co on mówi? — wtrącił się Gurder.

Masklin bez słowa odwrócił się i uważnie przyjrzał metalowym wrotom, z których zamknięcia Dorcas był tak dumny. Miały nadzwyczaj zamknięty wygląd.



I jeśli coś, co nie ma twarzy, może wyglądać na zadowolone z siebie, to one właśnie tak wyglądały.

Powoli odwrócił się, nie wiedząc, co robić. Równocześnie dostrzegł, że małe drzwi prowadzące do reszty Sklepu otwierają się powoli i staje w nich ciemna postać, poprzedzona kręgiem jaskrawego światła... Postać, którą niedawno już gdzieś widział...

Drastyczna Obniżka!

Masklin poczuł, że nagle może myśleć bardzo jasno i bardzo wolno.

To był tylko człowiek, a więc nic strasznego. Miał wypisane swoje imię, gdyby go zapomniał, tak jak te wszystkie kobiety w sklepie nazywające się „Tracy” albo „Sharon” albo „J.E. Williams, Kierownik”. A ten nazywał się „Security” i żył w kotłowni, pijąc herbatę. Teraz się tu zjawił, bo usłyszał hałas. I przyszedł znaleźć jego przyczynę.

Czyli znaleźć ich.

— Nie! — szepnął Angalo, podążając za spojrzeniem Masklina. — Widzisz, co on ma w ustach?

— Papierosa. Wielu ludzi z nimi chodzi, co z tego?

— Jest zapalony! Czy on nie czuje paliwa?

— A co będzie, jak ten papieros i to paliwo się spotkają? — spytał na wszelki wypadek Masklin, czując, że zna odpowiedź.

— Wtedy będzie „wrrm” — powiedział poważnie Angalo.

— Tylko wrrm?

— Wrrm wystarczy. To będzie duże wrrm.

Człowiek podszedł na tyle blisko, że Masklin mógł dostrzec jego oczy. Nie było to groźne, gdyż ludzie nie byli dobrzy w zauważaniu nomów, nawet gdy stały nieruchomo. Lecz nawet człowiek musiał się zastanawiać, dlaczego ciężarówka jeździ sobie sama po garażu, i to w środku nocy.

Security dotarł do ciężarówki i sięgnął po klamkę, oświetlając przy okazji wnętrze kabiny latarką. I w tym momencie Gurder powstał, trzęsąc się z wściekłości.

— Zgiń, maro nieczysta! — wrzasnął, ignorując to, że jest idealnie oświetlony. — Przepadnij, jak nie umiesz odczytać Znaków Arnolda Brosa (zał. 1905): Zakaz Palenia! i Tędy do Wyjścia!

Twarz Security'ego aż się skrzywiła z zaskoczenia, które po chwili wolno niczym chmury zmieniło się w panikę. Puścił klamkę, odwrócił się i ruszył ku drzwiom, którymi wszedł, naprawdę szybko. Jak na człowieka.

W tym momencie zapalony papieros wypadł mu z ust i obracając się, opadał powoli ku podłodze. Masklin i Angalo spojrzeli po sobie, potem na sygnalistę i ryknęli zgodnie:

— Szybko do przodu!

Chwilę później w kabinie zapanowało coś na kształt zorganizowanego chaosu, a potem ciężarówka ruszyła do przodu.

— Szybciej! — ryknął Masklin.

— Co się dzieje? — zainteresował się z dołu Dorcas. — I co z drzwiami?

— Zaraz je otworzymy! — odwrzasnął Masklin.

— Jak?

— No... nie wyglądają na grube, prawda?

Dla ludzi nomy poruszają się błyskawicznie. Dla nomów z kolei w świecie ludzi wszystko dzieje się bardzo powoli, toteż ciężarówka zdawała się dryfować wpierw po podłodze, potem po rampie, nim uderzyła we wrota garażu jakby od niechcenia. Rozległ się głęboki łoskot i dźwięk towarzyszący rozdieraniu kawałków metalu, a potem inny, gdy metal szorował po dachu kabiny. W końcu nie było już żadnych wrót, tylko ciemność upstrzona światłami.

— W lewo! — ryknął Angalo.

Ciężarówka powoli skręciła, odbiła się leniwie od ściany i potoczyła w dół ulicy.

— Do przodu! Nie stawać! Wyprostować! — wyrzucał z siebie polecenia Angalo.

Na ścianie, obok której się znajdowali, zapłonęła nagle jaskrawa poświata.

Po chwili za nimi rozległo się naprawdę wielkie „wrrm”.

## Rozdział trzynasty

I. I rzekł Arnold Bros (zał. 1905): „Wszystko się skończyło.”

II. „Zasłony, Dywany, Łóżka, Bielizna, Zabawki, Kapelusze, Pasmanteria, Towary Żelazne, Elektryka wszelaka.”

III. „Ściany, podłogi, sufity, windy i także ruchome schody.”

IV. „Wszystko Musi Pójść.”

*Księga nomów, Wyjście, Rozdział 3, v. I-IV*

Później, w kolejnych rozdziałach „Księgi nomów”, napisano, że koniec Sklepu zaczął się od dużego bum. Nie była to prawda, ale zgodzono się, że ładniej brzmi i robi większe wrażenie. W rzeczywistości zaś żółto-pomarańczowej kuli, która wytoczyła się z garażu wraz z resztkami wrót, towarzyszył dźwięk przypominający chrząknięcie olbrzymiego psa.

Wrrm.

\* \* \*

Prawdę mówiąc, nomy nie bardzo zwróciły uwagę na ten dźwięk, ponieważ były bardziej skoncentrowane (zwłaszcza te w kabinie) na innych odgłosach wydawanych przez różne rzeczy, które prawie w nich trafiły.

Masklin był przygotowany na obecność na drodze innych pojazdów — „Kodeks drogowy” mówił na ten temat naprawdę obszernie. I podkreślał, że najważniejsze to nie wjeżdżać w nie. Natomiast nie był przygotowany na to, z jaką determinacją inne pojazdy będą próbowały wjechać w ciężarówkę. Ryczały przy tym przeciągle niczym chore krowy.

— Trochę w lewo! — zażądał Angalo. — Potem ździebko w prawo i prosto!

— Ździebko? — powtórzył z namysłem sygnalista. — Na ździebko chyba nie ma sygnału, czy nie...

— Zwolnić! Teraz trochę w lewo! Musimy znaleźć się na prawnej stronie drogi!

Grimma uniosła głowę znad „Kodeksu”.

— Przecież jesteśmy po prawej stronie.  
 — Ale prawna strona to lewa strona!  
 Masklin dźgnął palcem kartkę, którą zażarcie studiował przez ostatnich kilka sekund.  
 — Tu pisze, że należy okazywać uszy... uchano...  
 — Uszanowanie — podszeptała Grimma.  
 — ...właśnie, innym użytkownikom drogi — dokończył i nagle wszystkimi szarpnęło. — Co to było?  
 — Krawężnik. W prawo! Musimy zjechać z chodnika. W prawo, mówię!  
 Przelotnie Masklin dostrzegł jasno oświetlone okno wystawowe jakiegoś sklepu. Przelotnie, bo uderzyli w nie bokiem i wrócili na jezdnię w fontannie szkła.  
 — Teraz w lewo! W lewo!... Teraz w prawo!... Dobrze... Prosto!... W lewo, powiedziałem... — Angalo zamilkł, wpatrując się w oszałamiającą mozaikę światła i kształtów przed nimi. — Tu jest druga droga... W lewo! Dużo w lewo, albo i więcej! Więcej w lewo...!  
 — Tu jest znak! — odpowiedział mu Masklin  
 — Lewo! — zawył Angalo. — Teraz prawo! Prawo!  
 — Chciałeś w lewo — odezwał się oskarżycielsko sygnalista.  
 — A teraz chcę w prawo! Dużo w prawo! Padnij!  
 — Nie ma sygnału na...  
 Tym razem było to definitywne bum. I to z dodatkiem łubu-du.  
 Ciężarówka uderzyła w ścianę, przejechała po niej bokiem, sypiąc na wszystkie strony iskrami, rozjechała zgromadzenie koszy na śmieci i stanęła.  
 Zapadła cisza, jeśli nie liczyć syku i pingania w silniku.  
 A potem z dołu odezwał się Dorcas, wolno i groźnie cedząc słowa:  
 — Czy bylibyście uprzejmi powiedzieć nam tu, na dole, co wy, do cholery, wyprawiacie na górze?!  
 — Musimy wymyślić lepszy sposób kierowania — odparł mu radośnie Angalo. — I zapalić światło, tam gdzie musi być pstryczek do światła.  
 Masklin wstał i rozejrzał się. Zdaje się, że utknęli w wąskiej, ciemnej drodze. I nigdzie nie było widać żadnych światła. Pomógł wstać Gurderowi i otrzepał go z lekka przy okazji.  
 — Dojechaliśmy? — spytał ogólnie wyglupiony Piśmienny.  
 — Nie całkiem — wyjaśnił Masklin. — Zatrzymaliśmy się żeby... hm... wyjaśnić parę spraw. A zanim oni to zrobią, myślę, że byłoby dobrze, gdybyśmy sprawdzili, czy z tyłu wszystko w porządku. Ty też chodź, Grimma, bo pewnie będą zdrowo przestraszeni.  
 Wyszli akurat w połowie zacieklej dyskusji toczonej przez Dorcasę i Angala, dotyczącej: kierowania, światła, zrozumiałych poleceń i konieczności ich właściwego wykorzystania.

Skrzynia ciężarówki pełna była głosów zmieszanych z płaczem dzieci. Sporo nomów było posiniaczonych z powodu dotychczasowych wyskoków pojazdu, a Babka Morkie kończyła zakładać łubki na złamaną nogę najbardziej poturbowanej ofiary, która przy ostatnim spotkaniu ze ścianą oberwała pudełkiem gwoździ.

— Krzynkę mocniej rzuca niż ostatnim razem — skomentowała Babka, zawiązując bandaż na węzeł. — Dlaczego się zatrzymaliśmy?

— Żeby załatwić parę spraw. — Masklin wysilił się na beztróskę. — Wkrótce ruszymy w dalszą drogę. Teraz wszyscy wiecie, czego się spodziewać... A przy okazji, jak mamy czas, to wyjrzej na zewnątrz.

— Po co? — zdziwiła się Grimma.

— Żeby się rozejrzeć — odparł spokojnie Masklin i szturchnął Gurdera. — Też chcesz?

— Co? Na zewnątrz?! Ja? — Gurder nawet nie próbował ukryć przerażenia.

— Wiesz, wcześniej czy później będziesz musiał. Dlaczego nie teraz?

Gurder osłupiał, pomyślał, obliznął wargi i w końcu z rezygnacją wzruszył ramionami.

— A zobaczymy stąd Sklep? — spytał. — Z zewnątrz?

— Prawdopodobnie. — Masklin wspiał się na szczyty swych umiejętności dyplomatycznych. — Nie odjechaliśmy znowu aż tak daleko...

Znalazło się wielu pomocników do spuszczenia ich za tylną ścianę skrzyni, szybko więc znaleźli się na ziemi, którą Gurder odruchowo nazwał podłogą. Siąpiła mżawka, ale Masklin z radością wciągnął w płuca mokre powietrze. Na pewno byli na zewnątrz, bo powietrze było prawdziwe, choć lekko chłodne. I pachniało jak powietrze, a nie jak coś, czym wcześniej oddychało tysiące nomów.

— Zrzaszacie się włączyły — odezwał się niespodziewanie Gurder.

— Co się włączyło?

— Zrzaszacie. Są w suficie na wypadek poża... — Gurder urwał, uniósł głowę i jęknął. — O rany!

— Chciałeś powiedzieć, że deszcz pada — odpowiedział mu uprzejmie Masklin.

— O rany!

— To tylko woda spadająca z nieba. — Masklin poczuł, że tamten spodziewa się po nim czegoś więcej, więc dodał: — Deszcz jest mokry i można go pić. I nie musi się mieć spiczastej głowy, bo i tak spłynie na ziemię.

— O rany!

— Dobrze się czujesz?

Gurder zaczął dygotać.

— Nie ma sufitu! — jęknął. — I jest taki wielki!

Masklin poklepał go po ramieniu i zacytował:

— Naturalnie, że dla ciebie to wszystko jest nowe, ale nie musisz się bać wszystkiego, czego nie rozumiesz.

— Śmiejesz się ze mnie w duchu? Wiem, zasłużyłem.

— Nie śmieję się. Wiem, jak to jest, kiedy wszystko jest nowe i straszne. Wiem, jak to jest być przestraszonym.

Gurder zmobilizował się z wyraźnym wysiłkiem.

— Przestraszony? Kto?! Ja czuję się zupełnie normalnie, tyle że trochę... hm... zaskoczony. Przyznaję, że nie spodziewałem się, że to będzie takie... takie zewnętrzne. Teraz, jak się przekonałem, jakie jest, czuję się znacznie lepiej. Tak... no to takie jest to Zewnątrz... Duże. To wszystko, co widać, czy jest tego więcej?

— Znacznie więcej. Tam, gdzie mieszkaliśmy, od jednego krańca świata do drugiego było tylko Zewnątrz.

— Aha — bąknął słabo Gurder. — Cóż... chyba tego dla wszystkich wystarczy... No i dobrze.

Masklin zajął się oglądaniem ciężarówki — była prawie wklonowana w wąską alejkę pełną śmieci i jakichś odpadków. No i z tyłu była solidnie pogięta.

Przeciwniegi koniec alejki był jasno oświetlony. Akurat ulicą przemknął jakiś pojazd błyskający niebieskim światłem i śpiewający. Może nie było to najwłaściwsze określenie, ale inne nie przychodziło Masklinowi do głowy.

— Dziwne — uznał Gurder.

— W domu też czasami takie jechało — przypomniał sobie Masklin, w głębi ducha zadowolony, że tym razem to on wie różne rzeczy. — Gdy jedzie autostradą, to go tak słycać: Dee-dah dee-dah DEE-DAH DEE-DAH dee-dah. Wydaje mi się, że on tak świeci i śpiewa, żeby mu inni ustępowali z drogi.

Przemaszerowali wzdłuż rynsztoka i ostrożnie wyjrzeni ponad chodnikiem za róg, akurat gdy przejechał następny świecący-śpiewający.

— On bardziej wyje... — zaczął Gurder. — O Raju Przecen!

Sklep płonął.

Płomienie migotały w górnych oknach niczym zasłony na wietrze, a nad dachem unosił się słup dymu, wyraźnie widoczny jako ciemniejsza kolumna na tle deszczowego nieba. Sklep miał ostatnią wyprzedaż — Wielką Finałową Wyprzedaż wszelkiego rodzaju iskier, płomieni i dymów, i to całkiem za darmo (czyli Dla Każdej Kieszeni).

Na ulicy miotali się w zwolnionym tempie ludzie, przed Sklepem stało kilka czerwonych ciężarówek z drabinami i czymś, z czego polewano go wodą...

Masklin przyjrzał się kątem oka Gurderowi, zastanawiając się, czy ten przypadkiem nie wpadnie zaraz w histerię albo i co gorszego. Gurder tymczasem był tak spokojny, że Masklin nigdy by w to nie uwierzył, gdyby na własne oczy tego nie widział. O tym, że spokój nie jest naturalny i całkowity, świadczył jedynie głos Gurdera, gdy powiedział albo raczej wychrypiał:

— Nie... nie tak to sobie wyobrażałem.

— Ja też nie.

— My... wydostaliśmy się w ostatniej chwili!

— Tak.

Gurder odchrząknął, jakby właśnie skończył długi spór z samym sobą, i oznajmił kategorycznie:

— Dzięki Arnoldowi Erosowi (zał. 1905).

— Słucham? — zdziwił się Masklin.

Gurder spojrział mu poważnie w oczy i odparł:

— Gdyby cię nie wezwał... gdyby nie wysłał po ciebie ciężarówki, wszyscy wciąż bylibyśmy w Sklepie.

Sądząc po głosie, z każdym słowem upewniał się co do słuszności własnych słów.

— Ale... — zaczął Masklin i umilkł.

Przecież to nie miało sensu — gdyby nie próbowali opuścić Sklepu, nie byłoby pożaru. Choć z drugiej strony trudno mieć co do tego pewność — a nuż ogień wydostałby się z którejś butli z pożarem. Lepiej się nie kłócić — są takie sprawy, o których nikt nie lubi dyskutować.

— Dziwne, że pozwolił, żeby Sklep się spalił — zauważył Masklin dyplomatycznie.

— A nie musiał — przyznał Gurder. — Są przecież zraszacze i te specjalne wyjścia pożarowe, żeby pożar sobie poszedł. Pozwolił, żeby Sklep się spalił, ponieważ my go już nie potrzebujemy.

W oddali z hukiem zapadło się najwyższe piętro razem z dachem.

— Właśnie zniknęła Rachuba — mruknął Masklin. — Mam nadzieję, że wszyscy ludzie zdążyli wyjść.

— Jak to?

— Różni tacy. Widzieliśmy ich imiona na drzwiach: Płace, Rachunki, Personalny, Dyrektor.

— Jestem pewien, że Arnold Bros (zał. 1905) tego dopilnował.

Masklin wzruszył ramionami. I wtedy dostrzegł na tle płomieni Drastyczną Obniżkę z latarką, w czapce i zajętego rozmową z kilkorgiem ludzi. Kiedy się odwrócił, mógł też zobaczyć jego twarz — Security był wściekły.

I był człowiekiem.

Bez oślepiającego światła, cieni Sklepu i przesądów nomów był po prostu człowiekiem.

Choć z drugiej strony...

Nie, to wszystko było zbyt skomplikowane, a mieli znacznie ważniejsze problemy, toteż Masklin postanowił na nich właśnie się skoncentrować.

— Wracamy — oznajmił Gurderowi. — Wydaje mi się, że powinniśmy jak najszybciej znaleźć się jak najdalej stąd.

— Powinienem poprosić Arnolda Brosa (zał. 1905), by nas chronił i prowadził — odparł równie zdecydowanie Gurder.

— Jak musisz. . . ale możesz go poprosić w kabinie, no nie? A teraz naprawdę musimy. . .

— Czy jego Znak nie mówił: „Jeśli nie widzicie tego, czego szukacie, pytajcie, proszę”? — przerwał mu Gurder.

Masklin przestał dyskutować, złapał go pod ramię i poprowadził ku ciężarówce. Skoro Gurder musi w coś wierzyć, mówi się trudno. Zresztą nie tylko on. A poza tym tak naprawdę to nigdy nic nie wiadomo. . .

\* \* \*

— Gdy pociągnę za ten sznurek, to szef zespołu lewoskrętu będzie wiedział, że chcę skrócić w lewo. — Angalo wskazał sznurek nad swoim lewym ramieniem, znikający w dole kabiny. — Zresztą sznurek jest przywiązany do jego ręki. Gdy pociągnę za ten, to samo będzie wiedział szef prawoskrętu. Dzięki temu będziemy potrzebowali znacznie mniej sygnałów, a Dorcas będzie mógł się skoncentrować na biegach i takich tam. Aha, i na hamulcu. W końcu nie zawsze można liczyć na jakąś podręczną ścianę, kiedy będziemy chcieli się zatrzymać.

— A co ze światłami? — spytał Masklin.

Angalo sam prawie pojaśniał.

— Daj sygnał „Włączyć światło” — polecił sygnaliście. — Przywiązaliśmy sznurki do przełączników i. . .

Coś kliknęło.

Przed szybą poruszyło się wielkie, metalowe ramię, oczyszczając ją z kropel deszczu. Wszyscy przyglądali mu się w niemym osłupieniu.

— Ładne — oceniła w końcu Grimma. — Ale jaśniej się od tego nie robi. . .

— Nie ten przełącznik! — jęknął Angalo. — Każ im wyłączyć wycieraczki, a włączyć światło!

Z dołu dała się słyszeć stłumiona dyskusja i kolejny klik. Metalowe ramię schowało się. Następny klik iabinę wypełnił basowy pomruk ludzkiego głosu.

— W porządku, to tylko radio — uspokoił ich Angalo i polecił sygnaliście: — Przekaż Dorcasowi, że to też nie są światła.

— Wiem, co to jest radio, nie musisz mi mówić! — oburzył się Gurder.

— A co to jest? — spytał Masklin, który nie wiedział.

— 29,95, Bez Baterii — oznajmił Gurder. — Ma Długie, Krótkie i UKF. Okazyjna Cena. Tylko Ten Jeden Raz.

— Ukaef? — spytał słabo Masklin.

— Właśnie.

Radio tymczasem mówiło, choć nikt na nie nie zwracał uwagi:

— „. . . kszy pożar w historii miasta. W gaszeniu biorą udział wszystkie jednostki straży ściągnięte nawet z tak odległych miejscowości jak Newtown. Tym-



czasem policja poszukuje jednej ze sklepowych ciężarówek. Widziano, jak wyjeżdżała z budynku tuż przed...”

— Światła! — powtórzył z naciskiem Angalo.

Znów coś kliknęło. Alejkę przed maską auta załąło białe światło.

— Powinny być dwa — wyjaśnił Angalo — ale jedno się zepsuło, gdy wyjeżdżaliśmy z garażu. — No to jak? Jesteśmy gotowi?

— „...Każdy, kto widziałby taką ciężarówkę, powinien skontaktować się z policją w Grimethorpe lub w Blackbu...”

— I wyłączcie to radio! — wrzasnął Angalo. — Te mamroty działają mi na nerwy!

— Szkoda, że ich nie rozumiemy — powiedział Masklin. — Jestem pewien, że oni są wcale inteligentni... Dobra, Angalo. Jedziemy!

Tym razem poszło znacznie lepiej.

Co prawda ciężarówka przez chwilę ocierała się o ścianę, ale w końcu uwolniła się i bez kłopotów ruszyła alejką ku światłom widocznym na jej drugim końcu. Gdy wyjechali pomiędzy ciemnych ścian, Angalo kazał zahamować. Stanęli jedynie ze średnim wstrząsem.

— W którą stronę? — spytał Angalo.

Masklin popatrzył na niego bezradnie.

Gurder gorączkowo przerzucił kartki swego notatnika.

— To zależy, dokąd chcemy dotrzeć — poinformował pozostałych. — Patrzcie na znaki z napisem „Afryka”... albo „Kanada”... prawdopodobnie.

— Tu jest jakiś znak. — Angalo zmrużył oczy. — Pisz: „Centrum”. A potem jest strzałka i pisze: „Jedny...”

— Jednokierunkowa ulica — odpowiedziała Grimma.

— Centrum nie wygląda na dobry pomysł — ocenił Masklin.

— Na mapie też go nie mogę znaleźć — dodał Gurder.

— To jedziemy w drugą stronę — zdecydował Angalo, ciągnąc za odpowiedni sznurek.

— Nie jestem pewien tej Jednokierunkowej ulicy — odezwał się ponownie Masklin. — To chyba znaczy, że powinno się nią jeździć w jedną stronę.

— Przecież jedziemy w jedną stronę, nie w dwie naraz? — zdziwił się Angalo. — Jedziemy w tę stronę.

Ciężarówką łagodnie wstrząsnęło, gdy przejeżdżała przez chodnik i wjechała na ulicę.

— Spróbujmy drugi bieg — zaproponował Angalo. — I trochę więcej gazu!

Przed nimi powoli zjechał z drogi samochód, co brzmiało niczym róg przeciwnogłowy.

— Takich kierowców nie powinno się wpuszczać na ulicę! — zirytował się Angalo.

Coś łupnęło i obok ciężarówki zwały się pogięte resztki latarni ulicznej.

— Co za kretyn ustawił lampy na środku drogi! — Nerwy Angala ponownie dały znać o sobie.

— Pamiętaj okazywać uszanowanie innym użytkownikom drogi — przypomniał Masklin.

— Przecież okazuję, no nie? Nie wpadam na nich, prawda? Co to był za hałas?

— Jakies krzaki — poinformował go uprzejmie Masklin.

— No widzisz? Dlaczego oni poustawiali takie rzeczy na tej drodze?!

— Wydaje mi się, że droga jest jakby bardziej na prawo — odezwał się nieśmiało Gurder.

— I jeszcze do tego jest ruchoma! — rozżalił się Angalo i nieznacznie pociągnął za prawy sznurek.

Była prawie północ, a Grimethorpe czy leżące po sąsiedzku Blackbury nie były metropoliami, tętniącymi nocnym życiem. Prawdę mówiąc, po zmroku życie w nich raczej zamierało. Dlatego też nikt nie wpadł pod ciężarówkę, która wypadła z Alderman Surley Way i w blasku ulicznych latarni pognąła z rykiem wzdłuż John Lennon Avenue. Deszcz już nie padał, ale nad jezdnią zaczęły się pojawiać pasma mgły.

Było prawie spokojnie.

— No to trzeci bieg — zaordynował Angalo. — I trochę szybciej, jak się da. Co to za znak przed nami?

Grimma i Masklin wyteżyli wzrok.

— Wygląda jak „Z przodu działająca droga” — przeczytała zaskoczona Grimma.

— To dobrze — ucieszył się Angalo. — No to gazu!

— Po co komu taki znak? — zdziwił się Masklin. — Rozumiem, gdyby był znak „Z przodu nie działająca droga”. Po co komu mówić, że droga jest w porządku?

— Może to znaczy, że przestali na niej stawiać latarnie, krawężniki i krzaki — przypuścił Angalo. — Może...

Masklin nagle pochylił się i wytrzeszczył oczy. A zaraz potem ryknął:

— Stop! Cała masa stop! I to już!

Zespół hamulcowy usłyszał go, zdziwił się, ale posłuchał. Zapiszczały opony, rozwrzeszczeli się ci, których rzuciło bez ostrzeżenia do przodu, a od strony maski rozległy się trzaski, zgrzyty i łomoty, gdy ciężarówka przedarła się przez zestaw barierek i innych przeszkód na drodze, demolując je przy okazji.

— Lepiej byłoby — oznajmił groźnie Angalo, wstając, gdy ciężarówka wreszcie się zatrzymała — żeby była naprawdę ważna przyczyna tego, co się właśnie stało.

— Uderzyłem się w kolano — poskarżył się Gurder.

— Czy brak drogi jest wystarczającym powodem? — spytał spokojnie Masklin.

— Jaki znowu brak drogi? — warknął Angalo. — Droga jest, przecież na niej stoimy, nie?

— Pod nami jest. Przed nami nie ma — wyjaśnił Masklin. — Sam zobacz.

Angalo spojrział i zbladł. Najbardziej interesujące bowiem, co można było dostrzec przed maską, to brak drogi. I bezmiar głębokiej dziury.

— Moglibyśmy się trochę cofnąć? — spytał cicho sygnalistę.

— Ździebko? — upewnił się tamten.

— Tylko bez takich.

Grimma także przyglądała się dziurze, w której kryło się kilka rur.

— Czasami wydaje mi się, że ktoś wreszcie powinien nauczyć ludzi właściwego używania języka — oceniła i zabrała się do wertowania „Kodeksu”.

Ciężarówka ostrożnie wycofała się znad pułapki i po rozjechaniu jeszcze kilku przeszkód, które ustawiono na jezdni, objechała po trawie podejrzany kawałek. Na drogę wrócili, gdy znowu zrobiła się czysta.

— Tym razem lepiej być ostrożnym — zaproponowała po chwili. — Ponieważ nie możemy zakładać, że to jest napisane faktycznie, to znaczy należy jechać wolno.

— Prowadziłem bezpiecznie! — oburzył się Angalo. — To nie moja wina, że cały czas ktoś mi coś złośliwie ustawia na drodze: jak nie doły, to latarnie.

— Więc jedź wolno.

W milczeniu wpatrywali się w przesuwający się za szybami krajobraz, dopóki nie pojawił się następny znak.

— „Karuzela” — przeczytał Angalo. — I rysunek koła. Ktoś ma jakiś pomysł? Grimma gorączkowo kartkowała „Kodeks”.

— Kiedyś widziałem rysunek karuzeli — odezwał się Gurder. — W książce „W wesołym miasteczku”. To duże, błyszczące, okrągłe i ma dużo złotych koni.

— To na pewno nie jest to — mruknęła Grimma, pospiesznie przewracając kartki. — Ten znak nie nazywa się „karuzela”. . . on gdzieś tu jest. . .

— Złote? — upewnił się Angalo. — To powinno być z daleka widoczne. Poza tym można chyba wrzucić trzeci bieg.

— Jak najbardziej — zgodził się sygnalista.

Grimma, do której adresowana była wypowiedź Angala, w ogóle nie zwróciła na nią uwagi, zajęta „Kodeksem”.

— Nie widzę nigdzie żadnych złotych koni — odezwał się Masklin. — Niezłotych też nie. I nie jestem tak całkiem pewien. . .

— I powinna też być radosna muzyka — dodał Gurder zadowolony, że może się na coś przydać.

— Nie słyszę żadnej mu. . . — zaczął Masklin i nagle usłyszał.

Długi klakson samochodowy.

Droga się skończyła, zastąpiona pagórką z krzakami. Ciężarówka wspięła się nań z rykiem, po czym z łomotem wylądowała po drugiej stronie pagórka,

gdzie był ciąg dalszy drogi. Kołysała się nieco, ale jechała. Tyle że krótko, bo zaraz stanęła.

Ciszę panującą w kabinie przerwał czyjś jęk.

Masklin podczołgał się do jego źródła, czyli do skraju platformy, i wyjrzał. Zobaczył przerażoną twarz Gurdera trzymającego się kurczowo desek.

— Co się stało? — jęknął Gurder.

Masklin pomógł mu wrócić na platformę, odruchowo otrzepał go i przyznał:

— Myślę, że choć znaki mają znaczyć to, co mówią, to, co mówią, wcale tego nie znaczą.

Grimma wypęzła spod „Kodeksu”, najwyraźniej wściekła.

Angalo wyplątał się ze zwojów sznurka i przekonał się, co to znaczą stać się obiektem damskiej wściekłości.

— Jesteś totalnym idiotą! — warknęła. — Karuzela?! Kretyn! To jest rondo, nie karuzela, tumanie, bo to jest znak drogowy! A do tego jesteś maniakiem szybkości! I nie umiesz słuchać? Mówiłam, żeby jechać wolniej? Mówiłam! Jak do ściany!

— Nie możesz do mnie tak mówić! — odpysknął Angalo, cofając się jednak przezornie. — Gurder, powiedz jej, że nie może mnie wyzywać!

Gurder, siedząc na wszelki wypadek, przyjrzał mu się z dziwną miną i odparł spokojnie:

— Jeśli o mnie chodzi, to może cię nazywać, jak tylko ma ochotę. I zrobić z tobą, co tylko zechce. Nie przeszkadzaj sobie, moja droga!

— Zaraz! To ty mówiłeś o złotych koniach! — oburzył się Angalo. — Nie widziałem żadnych złotych koni; a ktoś widział złote konie? Jakbyś mnie nie wygłupił tymi złotymi końmi...

— Przestań się mnie czepiać... — ostrzegł Gurder.

— A ja nie jestem żadna „twoja droga”! — dodała Grimma pod adresem Gurdera.

— Nie chciałbym przeszkadzać — rozległ się z dołu głos Dorcasa. — Ale jak coś takiego zdarzy się jeszcze raz, to tu jest kupa wkurzonych nomów, które wtedy znajdują się tam. Czy wyraziłem się wystarczająco zrozumiale?

— To tylko małe problemy kierownicze — odezwał się uspokajająco Masklin, po czym dodał cicho, a groźnie: — Przestańcie się już kłócić! Za każdym razem, gdy natykamy się na problem, zaczynamy się sprzeczać. To bez sensu!

— Wszystko było w najlepszym porządku, dopóki on... — zaczął Angalo.

— Zamknij się! — Masklina zatrzęsło ze złości, aż wszyscy wytrzeszczyli się na niego. — Mam was wszystkich dosyć! — krzyknął. — Wstyd mi za was! Tak nam dobrze szło, a teraz co?! Nie trudziłem się nad tym wszystkim tylko po to, żeby jakiś komitet kierowniczy wszystko zepsuł! Teraz wstawać i zabierać się do roboty! Tam jest cała kupa nomów, które liczą, że dowieziemy ich bezpiecznie na nowe miejsce. I tylko to jest ważne! Zrozumieliście?

Spojrzeni po sobie zawstydzeni. Angalo rozplatał sznurki, a sygnalista pozbiierał flagi.

— Ehem — zagał cicho Angalo. — Myślę... myślę, że należałoby wrzucić pierwszy bieg, jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu?

— Dobry pomysł — zgodził się Gurder. — Wrzucamy.

— Ale ostrożnie — dodała Grimma.

— Dziękuję. — Angalo był wcieleniem uprzejmości. — Co ty na to, Masklin?

— Hm? Co? A tak, jak najbardziej.

Przynajmniej w okolicy nie było już budynków — jechali pustą drogą, oświetlając jedynym działającym reflektorem coraz gęstsza mgłę. Z przeciwka minęły ich ledwie dwa pojazdy.

Masklin zdawał sobie sprawę, że wkrótce powinni poszukać jakiegoś stosownego miejsca, by zakończyć podróż. Powinno być osłonięte i znajdować się z dala od ludzi — ale nie za bardzo, bo był pewien, że nadal będą potrzebować od nich całej masy rzeczy. Może nawet jechali na północ, ale jeśli tak, to wyłącznie dzięki szczęściu.

I właśnie w takiej chwili: zmęczony, zły i nie bardzo uważający na to, co widzi przed maską, zobaczył tam Drastyczną Obniżkę.

Drastyczna Obniżka stał na środku drogi i machał latarką. Za nim, nieco z boku, stał samochód z błyskającym na dachu błękitnym światłem.

Inni też go zobaczyli.

— Drastyczna Obniżka! — jęknął Gurder. — Dotarł tu przed nami!

— Gazu! — zażądał zdeterminowany Angalo.

— Co chcesz zrobić? — spytał Masklin.

— Zobaczymy, czy jego latarka jest silniejsza od ciężarówki.

— Nie możesz rozjeżdżać ludzi!

— To Drastyczna Obniżka, nie ludzie! — warknął Angalo.

— On ma rację — przyznała Grimma. — Sam powiedziałeś, że nie możemy się zatrzymywać.

Masklin, zamiast się kłócić, złapał za sznurki i pociągnął. Ciężarówka skręciła w ostatnim momencie, akurat gdy Drastyczna Obniżka ze wzbudzącą podziw szybkością puścił latarkę i skoczył w krzaki. Coś łomotnęło, gdy tył ciężarówki spotkał się z błyskającym samochodem, a potem Angalo kategorycznie odebrał Masklinowi sznurki i wyprowadził pojazd na mniej więcej prosty kurs.

— Nie musiałeś tego robić — sarknął. — Drastyczną Obniżkę można przejechać, prawda, Gurder?

— Cóż... no... — Gurder łypnął na Masklina. — Prawdę mówiąc, nie jestem do końca pewien, czy to był Drastyczna Obniżka. Miał ciemniejsze ubranie... no i ten samochód z lampą na dachu.

— Ale czapka i latarka były te same! — Ciężarówka podskoczyła, zjeżdżając na pobocze, toteż Angalo skupił się na wyprowadzeniu jej na drogę i dopiero

potem dodał z satysfakcją: — Jak by nie było to już przeszłość. Zostawiliśmy Arnolda Brosa (zał. 1905) w Sklepie i nie potrzebujemy już tych wszystkich przesądów. Nie na zewnątrz.

Słowa te wywołały ciszę na platformie. Tym głębszą, że poza nią inne odgłosy wypełniały kabinę.

— Przecież to prawda. — Angalo nie miał zamiaru ustąpić. — Dorcas też tak myśli. I cała masa młodszych też.

— Zobaczmy — odezwał się Gurder. — Podejrzewam jednak, że skoro Arnold Bros (zał. 1905) był wszędzie, to i jest wszędzie.

— Co masz na myśli?

— Sam do końca jeszcze nie wiem — przyznał Gurder uczciwie. — Muszę to przemyśleć.

— To myśl, póki co — zgodził się Angalo. — Ale ja w to nie wierzę, ostrzegam od razu. Dla mnie to już się nie liczy. I może się na mnie wściec Raj Przecen, jeśli kłamię.

Nim Gurder zdążył zareagować na bluźnierstwo, w lusterku obok kierownicy — nieco wygiętym, ale to z drugiej strony było całkiem rozbite — dał się zauważyć błysk błękitnego światła.

— Kimkolwiek jest ten na drodze, to nas goni. — Masklin sam się zdziwił, że jest taki spokojny.

— I wyje tak samo jak tamte przy Sklepie — dodał Gurder.

— Wydaje mi się — powiedział powoli Masklin — że niezłym pomysłem byłoby, gdybyśmy zjechali z tej drogi.

Angalo rozejrzał się uważnie i ocenił:

— Za dużo krzaków.

— Mam na myśli zjechanie na inną drogę. Możesz to zrobić?

— Jasne. Hej, on próbuje nas wyprzedzić! Bezczelność! — Ciężarówka gwałtownie odbiła, blokując drogę, a Angalo dodał: — Szkoda, że nie można otworzyć okna. Kierowca, z którym jechałem, gdy ktoś z tyłu trąbił, to wystawiał przez okno rękę i wykrzykiwał różne rzeczy. Pewnie tak trzeba.

— Tym się nie przejmuj — poradził mu Masklin. — Poszukaj mniejszej drogi. Zaraz wracam.

Masklin zszedł po sznurowej drabince na podłogę. Panował tu wyjątkowy spokój — jedynie zespoły przy kierownicy lekkimi szarpnięciami utrzymywały prosty kurs pojazdu, a grupa przy pedale gazu pilnowała, by nacisk na niego był równy. Większość obecnych siedziała, korzystając z wolnego czasu. Na widok Masklina podniosły się wesołe okrzyki. Dorcas siedział samotnie, zapisując coś na kawałku papieru.

— A, to ty — powitał Masklina. — Wszystko działa czy tylko skończyły się nam przeszkody do wjechania?

— Jedzie za nami ktoś, kto chce, żebyśmy się zatrzymali.

— Inna ciężarówka?  
— Samochód. Z ludźmi w środku.  
Dorcas podrapał się po brodzie.  
— I co ja mam z tym zrobić? — spytał po chwili.  
— Przeciąłeś czymś przewody w ciężarówce, kiedy chcieliśmy, żeby nie odjechała.  
— Obcęgami. A bo co?  
— Masz je jeszcze?  
— Naturalnie. Ale trzeba dwóch nomów, żeby ich użyć.  
— To będę potrzebował ochotników. — Masklin uśmiechnął się i powiedział mu, co planuje.  
Dorcas popatrzył nań z czymś na kształt uznania, ale potrząsnął przecząco głową.  
— To się nie uda, bo nie starczy nam czasu — ocenił. — Ale pomysł sam w sobie niezły.  
— Jesteśmy znacznie szybsi od ludzi! — sprzeciwił się Masklin. — Zdążymy przeciąć i wrócić do ciężarówki, zanim się zorientują.  
— Hm. — Dorcas uśmiechnął się paskudnie. — I jesteś zdecydowany wziąć w tym udział?  
— Bo... no, nie jestem pewien, czy poradzi sobie ktoś, kto nigdy nie był poza Sklepem.  
Dorcas ziewnął i wstał.  
— No cóż... najwyższy czas spróbować tego tam... świeżego powietrza — uznał. — Podobno dobrze robi.

\* \* \*

Gdyby ktoś obserwował, na przykład zza krzaków, zamgloną boczną drogę, zobaczyłby zbliżającą się z całkiem niezdrową szybkością ciężarówkę i mógłby po przyjrzeniu się stwierdzić, że wygląda ona niecodziennie, ponieważ straciła kilka rzeczy, które mieć powinna, i zyskała kilka, których mieć nie powinna. Do straconych należały między innymi: jedno przednie światło i większość farby na jednym boku. Do zyskanych zaś kawałki różnych krzaków i zadziwiająco dużo wgnieceń.

Mógłby też się zastanawiać, dlaczego z jednej z klamek zwisa pogięty znak „Roboty drogowe”.

A już na pewno zastanowiłoby go, dlaczego ciężarówka nagle się zatrzymała.

Wóz policyjny jadący za nią na sygnale zatrzymał się bardziej spektakularnie, bo z piskiem opon i w półobrocie. Prawie wypadło z niego dwóch policjantów i rzuciło się biegiem ku kabynie. Dopadli drzwi i otworzyli je gwałtownie, i gdyby obserwator rozumiał ludzki język, usłyszałby, co następuje:

— Dobra, kolego, na dzisiejszą noc wystarczy!... Gdzie on się podział?!... Tu są tylko jakieś sznurki?!...

— Założę się, że prysnął w pole, nim dobiegliśmy.

Tymczasem, korzystając z tego, że uwaga policjantów skoncentrowana była wpięrw na kabinie, potem na krzakach, które oświetlali latarkami, ów obserwator mógłby dostrzec dwa naprawdę małe cienie, które przebiegły spod ciężarówki pod wóz policyjny. Cienie poruszały się bardzo szybko, zupełnie jak myszy. I podobnie jak u myszy, ich głosy były wysokie i piszczące.

Natomiast w przeciwieństwie do myszy niosły ze sobą obcęgi.

Kilka sekund później wróciły pod ciężarówkę, która prawie natychmiast odjechała.

Policjanci pędem pobiegli do swego wozu.

Ale ten zamiast z rykiem pognać za ciężarówką, rozjęczał się tylko.

Po chwili jeden z policjantów wysiadł i podniósł maskę.

Ciężarówka zdążyła zniknąć w mgle, błyskając jednym tylnym światłem, nim policjant przyklęknął, sięgnął pod wóz i wyciągnął garść równo przeciętych przewodów...

To wszystko mógłby zobaczyć ktoś, kto by obserwował ten kawałek bocznej drogi. Ale obserwowały ją tylko krowy, które nic z tego nie zrozumiały.

\* \* \*

Właściwie ta historia prawie się kończy w tym miejscu.

Kilka dni później znaleziono ciężarówkę w rowie, daleko za miastem. Dziwne było jedynie to, że zniknęła część jej ładunku, akumulator, wszystkie przewody, żarówki i przełączniki. Aha, także i radio.

W kabinie zaś pełno było kawałków sznurka.



## Rozdział czternasty

XV. I rzekli mu nomowie: „Oto jest Nowe Miejsce nasze na Zawsze.”

XVI. I Przybysz nie rzekł im Nic.

*Księga nomów, Wyjście, Rozdział 4, v. XV-XVI*

Kiedyś był to kamieniołom.

Nomy wiedziały o tym, gdyż na bramie wisiał zardzewiały znak mówiący:

„Kamieniołom. Niebezpieczeństwo. Nie wchodzić!”

Znaleźli go po panicznej ucieczce przez pola. Jeśliby słuchać Angala, to dzięki szczęściu. Jeśliby słuchać Gurdera, to dzięki Arnoldowi Brosowi (zał. 1905).

Nie jest aż takie ważne, jak się osiedlili, zagospodarowali kilka opuszczonych budynków i zbadali wyrobiska, jaskinie i hałdy. Ani jak pozbyli się szczurów. To wszystko nie było specjalnie trudne — najtrudniejsze było przekonanie starszych, by wyszli na zewnątrz, gdyż czuli się znacznie bezpieczniej, mając nad głową jakąkolwiek podłogę. Niezastąpiona okazała się Babka Morkie, tak z uwagi na sprawdzone skłonności dyktatorskie, jak i na świecenie przykładem, czyli pokazowe spacerowanie na świeżym powietrzu. W końcu skończyło się jedzenie zabrane ze Sklepu i zaczął się głód. A na polach były króliki. I warzywa. Co prawda nie tak dorodne i czyste, jakie powinny być według Arnolda Brosa (zał. 1905), tylko powtykane w ziemię i brudne. Nomy narzekały, ale jadły je. Mnóstwo kretowisk na pobliskim polu nie miało z kretami nic wspólnego — było efektem pierwszej eksperymentalnej kopalni ziemniaków...

Po serii niemiłych doświadczeń lisy nauczyły się trzymać z dala od okolicznych pól.

A potem Dorcas odkrył elektryczność w przewodach prowadzących do skrzynki w jednym z opuszczonych baraków. Z pomocą kijów od szczotek, gumowych rękawic i planowania dorównującego prawie temu przed Wielką Jazdą udało mu się dostać i wykorzystać tę elektryczność.

Po długim namyśle Masklin podsunął pod przewody Rzec, ale tylko zamrugała światełkami i wciąż milczała jak głaz. Nie uległa natomiast wątpliwości, że słucha. Prawie dało się słyszeć, jak słucha, toteż Masklin zabrał ją spod przewodów i schował w szczelinie w ścianie. Miał niejasne przeczucie, że czas użycia

Rzeczy jeszcze nie nadszedł. Im dłużej nie korzystali z jej pomocy (nieważne dla-  
czego), tym dłużej musieli sami dawać sobie radę, czyli myśleć. Masklin stwier-  
dził, że może to i trudniejsze, ale daje więcej satysfakcji. A potem będzie się  
można pochwalić...

Gurder po długich wysiłkach umysłowych doszedł do przekonania, że praw-  
dopodobnie są gdzieś w Chinach.

Tymczasem z zimy zrobiła się wiosna, a z wiosny lato...

\* \* \*

Ale siedzący ponad kamieniołomem na straży Masklin czuł, że to wcale nie  
koniec.

Wartę trzymano zawsze na wszelki wypadek, a wartownik miał obok jeden  
z wynalazków Dorcasa: przełącznik ukryty pod kamieniem i połączony drutem  
z żarówką umieszczoną pod jednym z baraków. Na wypadek niebezpieczeństwa  
ostrzeżenie docierało do pozostałych praktycznie natychmiast. Dorcas obiecał, że  
kiedyś zamiast przełącznika będzie radio, i to „kiedyś” mogło nastąpić wcześniej,  
niż się można było spodziewać, ponieważ Dorcas miał teraz mnóstwo pomocni-  
ków i uczniów. Spędzali większość czasu w jednym z baraków, otoczeni zwojami  
kabli, kawałkami drutu i innych elektrycznych rzeczy, i wyglądali strasznie po-  
ważnie.

Dyżury wartownicze stały się całkiem popularnym zajęciem, ale z zasady tyl-  
ko w słoneczne dni.

Przyzwyczaili się do okolicy, zadomowili i zaczęli traktować ją jak swoją. Jak  
dom.

Zwłaszcza Bobo.

Szczur zniknął pierwszego dnia, by potem pojawić się dumnie jako przywód-  
ca lokalnych szczurów i ojciec gromadki szczurząt. Może dzięki temu szczury  
i nomy jakoś współżyły ze sobą, uprzejmie schodząc sobie z drogi i nie zjadając  
się wzajemnie.

Szczury zdecydowanie bardziej pasowały do kamieniołomu, przynajmniej  
w opinii Masklina. Kamieniołom zresztą należał do ludzi, którzy po prostu chwilo-  
wo o nim zapomnieli, ale kiedyś na pewno sobie przypomną i wrócą. A wte-  
dy nomy będą musiały się wynieść — jak zwykle. Kiedyś do nich należał cały  
wszechświat, a teraz próbują stworzyć swój mały świat w wielkim świecie ludzi,  
co przecież na dłuższą metę nie może się udać.

Z miejsca, w którym siedział, miał doskonały widok nie tylko na okolicę, ale  
także na sam kamieniołom. I na Grimme, siedzącą w słońcu i uczącą czytać grupę  
młodych nomów. Jemu samemu co prawda czytanie nie szło najlepiej, ale mło-  
dzi łapali je znacznie szybciej, co było jedną z niewielu miłych niespodzianek.  
Niemitych problemów było znacznie więcej. Choćby stare rody działowe. Teraz

nie było działów ani stoisk, toteż nie było czym rządzić, za to było się o co kłócić. Masklinowi wydawało się, że większość czasu większość nomów spędza na kłótniach. Tematy były najrozmaitsze, ale zawsze wszyscy oczekiwali, że to on rozsądzi każdy spór. Wyglądało na to, że są w stanie działać zgodnie tylko wtedy, gdy myślą o czymś innym. . .

Słuchając brzęczenia pszczoł i patrząc w niebo, przypomniał sobie, co mówiła Rzecz. Co prawda gwiazd w dzień nie było widać, ale był przekonany, że jeśliby zdołali dotrzeć do tego statku, który na nich czekał, wróciliby do gwiazd. Wiadomo, że nie zaraz, bo to nie taka znów prosta sprawa, a najtrudniejsze znów będzie wytłumaczyć wszystkim, o co chodzi. Bo z nomami już tak jest, że wejdą stopień wyżej i zamiast iść do końca schodów, siądą i zaczną się sprzeczać.

Ale już choćby to, że wiedzą o istnieniu schodów, było dobrym początkiem.

Z miejsca, w którym siedział, miał doskonały widok na wiele mil wokoło. Między innymi także na lotnisko. Co prawda, gdy pierwszy raz przeleciał nad nimi odrzutowiec, prawie zaczęła się panika. Na szczęście kilku widziało w książkach samoloty i po naradzie okazało się, że to tylko odmiana ciężarówek, które jeżdżą po niebie.

Masklin nie powiedział nikomu, dlaczego jest przekonany, że należy się jak najwięcej dowiedzieć o lotnisku, lataniu i o samolotach. Wiedział, że kilkoro coś podejrzewa, ale dotąd zawsze znalazło się coś, co wymagało natychmiastowego zaangażowania głowy i rąk. A on zachowywał ostrożność. Póki co argument, że trzeba jak najszybciej dowiedzieć się jak najwięcej o otaczającym ich świecie, tak na wszelki wypadek, trafił wszystkim do przekonania. Nikt nie pytał, na jaki wypadek, a i tak było więcej nomów niż zajęć, toteż przy dobrej pogodzie nie brakowało ochotników do różnych dziwacznych przedsięwzięć.

Osobiście poprowadził wyprawę przez pola — trwała co prawda tydzień, ale było ich trzydziestu i nie było żadnych problemów. Musieli przejść przez autostradę, ale znaleźli tunel zbudowany dla borsuków. Był też w nim co prawda borsuk, lecz na ich widok zrobił w tył zwrot i zwiął, aż się kurzyło. Złe wieści zawsze szybko się rozchodzą, a dla borsuków i lisów nadejście uzbrojonych nomów było zdecydowanie złą wieścią.

Potem dotarli do drucianego płotu, wspięli się nań kawałek i przez kilka godzin obserwowali startujące i lądujące samoloty. Masklin miał wtedy nieodparte wrażenie, że to, co widzi i robi, jest bardzo ważne. Samoloty wyglądały groźnie i były wielkie, ale kiedyś tak samo wyglądały ciężarówki. Gdy zdobyli wiedzę o nich, poznali ich nazwy, stały się bardziej normalne. Samoloty, tak samo jak ciężarówki, mogą być użyteczne. A pewnego dnia nomy mogą ich potrzebować. By zrobić następny krok.

A co śmieszniejsze, Masklin był w tej sprawie optymistą: uwierzył, że w końcu mimo trudności i sporów dopną swego. A upewnił go w tym Dorcas, obserwujący samoloty z jak najbardziej zainteresowaną miną.

Masklin nie mógł powstrzymać się od pytania:

— Zakładając... teoretycznie, ma się naturalnie rozumieć, że musielibyśmy ukraść któryś, uważasz, że dałoby się to zrobić?

Dorcas podrapał się w zamyśleniu po brodzie.

— Kierować takim nie powinno być zbyt trudno. — Uśmiechnął się i dodał: — W końcu mają tylko po trzy koła.